

Tadeusz Pieńkowski

PODRÓŻ

Z DOMU - DO DOMU

Polanica - Kołobrzeg

październik 1985 - listopad 1989

HISTORIA EST MAGISTRA VITAE

Warszawa, dn. 12 lutego 1997 r.

Synom -
Tadeuszowi, Ludwikowi i Andrzejowi
wspomnienia te poświęcam -

Ojciec

Całość relacji

Tom I	WOJNA	Okres: od 1.09.1939 r. do 21.12.1939 r.
Tom II	WIĘZIENIE	Okres: od 22.12.1939 r. do wrzesień 1940 r.
Tom III	OBÓZ	Okres: od wrzesień 1940 r. do 10.02.1942 r.
Tom IV	WIERCHOTURJE	Okres: od 11.02.1942 r. do 21.09.1943 r.
Tom V	SWIERDŁOWSK	Okres: od 22.09.1943 r. do 25.02.1944 r.
Tom VI	WOJSKO	Okres: od 26.02.1944 r. do 24.10.1945 r.

- TOM II

W I Ę Z I E N I E

Okres: od 22 grudnia 1939 r.

do września 1940 r.

①

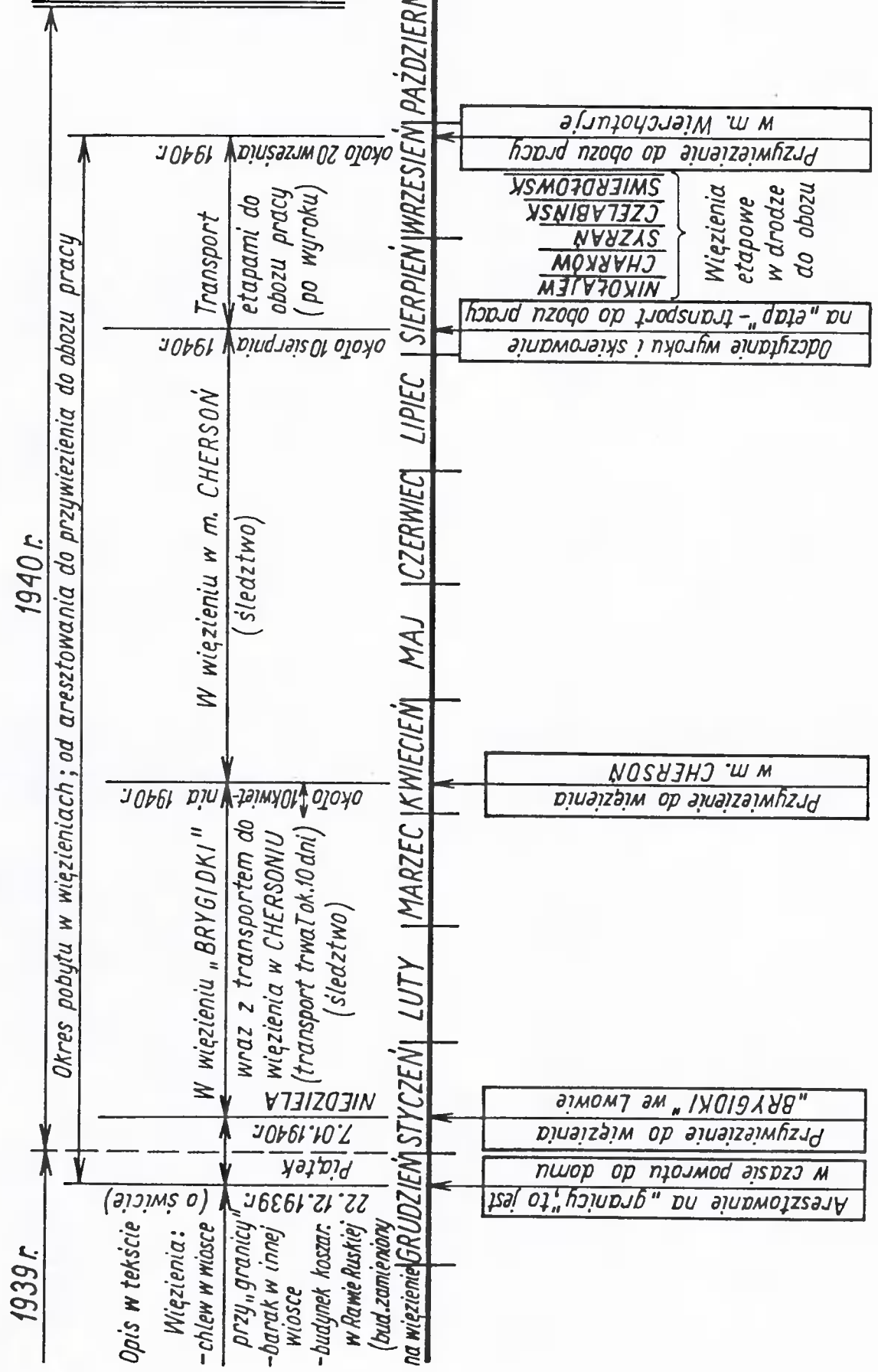
Spis treści

L.p.	Temat	Strona
1.	Informacje ogólne, w tym:	
1.1.	Wykres czasowy	5.
1.2.	Odległości na trasie "podróży"	6.
1.3.	Wrys z mapy - trasa "podróży"	7.
2.	Aresztowanie	8.
3.	Więzenie w Rawie Ruskiej	26.
4.	Transport do więzienia we Lwowie	45.
5.	Więzenie "Brygidki" we Lwowie	52.
6.	Etap LWÓW - CHERSON	79.
7.	Więzenie w CHERSONIU, wyrok	93.
8.	Etap CHERSON - NIKOŁAJEW	150.
9.	Więzenie w NIKOŁAJEWIE	163.
10.	Etap NIKOŁAJEW - CHARKÓW	173.
11.	Więzenie w CHARKOWIE	175.
12.	Etap CHARKÓW - SYZRAŃ	179.
13.	Więzenie w SYZRANIU	181.
14.	Etap SYZRAŃ - CZELABIŃSK	185.
15.	Więzenie w CZELABIŃSKU	186.
16.	Etap CZELABIŃSK - SWIERDŁOWSK	196.
17.	Więzenie w SWIERDŁOWSKU	197.
18.	Etap SWIERDŁOWSK - WIERCHOTURJE	198.
19.	Przypisy	201.

SPIS RYSUNKÓW i ZAŁĄCZNIKÓW

Lp.	T r e ś ć	strona
1.	Moje pierwsze pomieszczenie więzienne w nocy z 22 na 23 grudnia 1939 r. Chlewik w wiosce nad rz. Sołokija	20
2.	Izba, w której byliśmy zamknięci od 23 grudnia 39 r. do 26-28 grudnia 39 r.	23
3.	Rysunek munduru i dystynkcji żołnierzy Armii Czerwonej	28
4.	Szkic fragmentu budynku koszarowego, zamienionego na więzienie, gdzie siedziałem od 27 grudnia 1939 roku do 7 stycznia 1940 roku.	32
5.	Transport więźniów odkrytym samochodem ciężarowym.	46
6.	Pawilon w więzieniu "Brygidki" we Lwowie.	50
7.	Cela w więzieniu "Brygidki" we Lwowie.	53
8.	Załadunek więźniów do towarowych wagonów na bocznicę kolejowej we Lwowie.	77
9.	Towarowy wagon przystosowany do przewozu więźniów.	80
10.	Pierwsza "przejściowa" cela w więzieniu w Chersoniu.	88
11.	Cela w więzieniu w Chersoniu, gdzie początkowo siedziałem z dorosłymi.	94
12.	Pierwsza cela małoletnich więźniów w Chersoniu.	109
13.	Kraty i "kosze" - więzienie w Chersoniu.	110
14.	Transport z celi do celi - więzienie w Chersoniu.	124
15.	Organizacja odczytywania więźniom wyroku na korytarzu więzienia w Chersoniu.	143
16.	Wagon do przewozu więźniów (widok i przekrój całego wagonu).	154
17.	Wagon do przewozu więźniów - widok przedziału - celi, od strony korytarza.	155
18.	Szafa do przechowywania więźniów.	165
19.	Cela więzienia w Czelabińsku.	187
Załącznik 1.	Pismo Prokuratury ZSRR (w języku rosyjskim).	---
Załącznik 1a	Tłumaczenie na język polski Załącznika Nr 1.	---
Załącznik 2.	Zaświadczenie o rehabilitacji (w języku ukraińskim).	---
Załącznik 2a	Tłumaczenie na język polski Załącznika Nr 2.	---

1.1 Wykres czasowy



1.2 Odległości między miejscowościami (więzzeniami)
w których siedziałem

Odległości są podane w przybliżeniu. Mierzone w linii prostej na mapie o skali 1:20 000 000 (1cm ~ 200 km)

	Odł. w linii prostej - ok. kilometrów	Rodzaj transportu
Wioska nad rz. Sołokija Rawa Ruska Lwów	200	Furmanka, ciężarowy samochód z odkrytą platformą
LWÓW — CHERSON	750	wagon towarowy kryty, przystosowany do transp. więźniów
CHERSOŃ — NIKOŁAJEW	80	specjalne wagony więzienne (doczepiane do pociągów osobowych lub towarowych)
NIKOŁAJEW — CHARKÓW	450	
CHARKÓW — SYZRAŃ	900	
SYZRAŃ — CZELABIŃSK	850	
CZELABIŃSK — SWIERDŁOWSK	220	
SWIERDŁOWSK — WIERCHOTURJE	400	
RAZEM kilometrów	3800	

2. ARESZTOWANIE (pierwsze pomieszczenia więzienne)

Decyzja powrotu do domu w Legionowie wynikała po prostu z zaistniałej sytuacji. Po ogarnięciu nas przez armię sowiecką (tak wtedy się mówiło), zabraniu Ojca do niewoli pod Bursztynem wieczorem 19 września 1939 r. (wtorek), zaczęła się właściwie nasza droga powrotu. Bursztyn, Lwów, Żółkiew to tylko poszczególne etapy tej podróży.

W Żółkwi nastąpił pozorny etap chwilowej stabilizacji, nawet rozpoczęcie w końcu października, listopadzie i kilka dni w grudniu 39 r., uczęszczania do III klasy gimnazjum, też nie miało istotnego znaczenia.

Trudno to było nazwać usystematyzowaną nauką. W gimnazjum były bez przerwy reorganizacje. Profesorowie też byli po ciężkim wstrząsie - Polska została podzielona, utraciliśmy niepodległość. Zaczęły się aresztowania. Korzyści z nauki w tym czasie nie miałem praktycznie żadnych. Mama natomiast najbardziej się bała, ażebym "nie stracił roku szkolnego". Oczywiście, miała jeszcze większe troski i zmartwienia walące się na Jej głowę i musiała sama podejmować życiowe decyzje. W Żółkwi już w listopadzie 1939 nie mieliśmy co robić, pozostawała tylko jedna droga: przez "zieloną granicę" powrót do domu w Legionowie.

Zamieszkaliśmy w Żółkwi u p. Fischerowej, żony pułkownika, który do 1937 r. był dowódcą 1-go dywizjonu pociągów pancernych, jednostki, w której służył mój Ojciec. Tam oczekiwaliśmy na otwarcie granicy, ażeby umożliwić takim jak my uciekinierom (tak powszechnie nazywano tę grupę ludzi) powrót do miejsc zamieszkania zajętych przez Niemców. Rzeczywiście, w pierwszych dniach listopada 1939 r. granica została otwarta w rejonie Rawy Ruskiej na okres 2 czy 3 dni. Ja wtedy ciężko się rozchorowałem na an-

ginę i Mama nie zdecydowała się załadować mnie na furmankę i wyjechać. Pani Fischerowa (miała też syna - Seweryna, młodszego ode mnie o 2-3 lata) nie wybierała się wtedy na tamtą stronę.

W domu zajmowanym przez panią Fischerową, a był to duży dom, objęty kwatermistrzostwem wojskowym, przydzielony dowódcy jednostki w stopniu pułkownika, zamieszkał po wkroczeniu wojsk sowieckich też dowódca - pułkownik. Dla pani Fischerowej pozostawiono jeden mały pokój i małą kuchnię. Sytuacja taka, było sprawą jasną, że jest nietrwała i należy oczekiwać wysiedlenia nas wszystkich z tego lokalu. W drugiej połowie listopada 1939 r. przyszedł do pani Fischerowej specjalny posłaniec z Krakowa z listem od pułkownika Fischera. Zawiadamiał, że uniknął niewoli niemieckiej, ukrywa się i wzywa ją z synem natychmiast do Krakowa. Również posłaniec miał adres przewodnika w celu przeprowadzenia przez "granicę". Pani Fischerowa, powszechnie zresztą znana w Żółkwi, przystąpiła b. energicznie i planowo do zlikwidowania wszystkich ruchomości. Sprzedała wszystko co chciała, łącznie z meblami znajdującymi się w części domu zajętej przez sowieckiego dowódcę. Mama do ostatniej chwili była przekonana, że wyjedziemy razem. Tymczasem p. Fischerowa odmówiła, powiedziała, że 4 osoby + przewodnik, to za duża grupa, poda Mamie kontakt do przewodnika. Odmowa ta była bardzo kategoryczna. Mamę bardzo poruszyło to stanowisko p. Fischerowej. W praktyce okazało się, że myśmy posłużyli jako osłona po zniknięciu p. Fischerowej. Mama miała mówić, że gospodyni wyjechała na kilka dni do Lwowa. Tak też się stało. W końcu listopada lub na początku grudnia 1939 r. p. Fischerowa z synem wyjechała. Mama otrzymała przez posłańca wiadomość, że przeszła granicę, dotarła do Krakowa i Mama otrzymała kontakt do przewodnika, tego samego, który przeprowadził p. Fischerową. Myśmy mieszkali tam jeszcze tylko

kilka dni, przenieśliśmy się do znajomych p. Fischerowej w innej części Żółkwi. Przewodnik się zgłosił i została umówiona data dn. 21 grudnia 1939 r. (czwartek) przyjazdu naszego autobusem do Rawy Ruskiej, gdzie z furmanką miał czekać na nas przewodnik. Ta część naszej drogi została zrealizowana zgodnie z planem. W autobusie wynikła tylko drobna trudność - nie chciano sprzedąć biletów za złotówki, a tylko za ruble - polskie pieniądze zostały już przez władze sowieckie unieważnione. Na szczęście Mama przypadkiem miała kilka rubli, które wystarczyły na kupno biletów.

Jeszcze kilka słów o życiu w Żółkwi. Sytuacja nasza materialna była trudna. Mama miała tylko tyle, ile wywozła z domu, a dochodów oczywiście żadnych. Zwalił się na nią ogromny ciężar wszystkich decyzji, dramat rozstania się ze swym mężem oraz głęboki wstrząs spowodowany uświadomieniem, że Polska utraciła niepodległość. Dla Mamy bardzo patriotycznie nastawionej, było to ciężkie przeżycie, jak również dodawała trosk przyszłość rysująca się w czarnych kolorach. Ja natomiast patrzyłem szeroko otwartymi oczyma na gwałtowne zmiany. Przemarsze zwartych jednostek obcych wojsk ze śpiewem dziwnie dziko brzmiącym. Wojsko w szarych płaszczach, w szpiczastych czapkach, tak zwanych "budionnówkach", w marnych butach wyglądało biednie w porównaniu z wyglądem żołnierzy naszego wojska. Wyglądało to obco. Represje jeszcze się nie zaczęły w sposób masowy, ale słychać było o aresztowaniach. Natomiast wyszły na ulicę nowe hasła propagandowe oraz przeprowadzano zdzieranie i niszczenie wszelkiego rodzaju znaków polskich, jak godła narodowe, namalowane flagi polskie biało-czerwone, napisy na gmachach państwowych. Pojawili się cywile, przeważnie Żydzi i Ukraińcy, z czerwonymi opas-

kami jako milicja ludowa. W gimnazjum dyrektor (jeszcze wtedy przedwojenny) co kilka dni w asyście jakiś cywilów wygłaszał do całej szkoły krótkie przemówienia - komunikaty. Był, widać było zdenerwowany, że musi wygłaszać takie przemówienia. Były one wygłaszane po polsku, ale np. dowiedziałem się wtedy, że określenie narodowości - Żyd - jest obraźliwe, będzie surowo karane. Żydów należy nazywać *Жевреје* (l. mnoga) lub *Жевреј* (l. pojedyn- cza). Powtarzało się ciągle w tych komunikatach, że armia czer- wona wyzwoliła z pańskiej niewoli mniejszości narodowe, szegól- nie *Жеврејów* i *Українців*, Polska obszarniczo-kapitalistyczna przestała istnieć i wszystkie narodowości nareszcie mają równe prawa. Ukazała się w mieście cała masa napisów propagandowych w niezrozumiałym dla mnie języku ukraińskim. Szczególne wraże- nie zrobił na mnie plakat bardzo dużego formatu (jakieś 1,2 m x 0,8 m), na którym była namalowana karykatura orła białego, ubranego w oficerską czapkę i tę karykaturę orła przebija bag- netem osadzonym na karabinie sowiecki żołnierz w szarym płasz- czu, w "budionnówce", z czerwoną gwiazdą, na głowie. W polu przy torach stacji kolejowej były mogiły, rozrzucone nieregularnie, naszych poległych żołnierzy. Na mogiłach krzyże zbite ze szta- chet, na niektórych był powieszony polski hełm, czasem napis ołówkiem, nazwisko, a przeważnie nic. Rozpoczęły się trudności z kupnem artykułów żywnościowych. Zaczęły się tworzyć kolejki po mąkę, cukier, tłuszcze, mięso, a również po chleb. W kolej- kach królowało raczej prawo pięści, aniżeli porządek. Zostałem wysłany po cukier i mimo, że byłem blisko drzwi, nic nie kupi- łem, zostałem po prostu wypchnięty i wyrzucony poza tłumek sztur- mujący drzwi sklepu. W szkole szczególnie butnie i prowokująco zachowywali się Żydzi, jak wspomniałem nazywani *Жеврејами*, Pola- cy byli spychani na jakiś margines. Oczywiście, cała szkoła zos-

tała obdarta ze wszystkich śladów polskości, ale nauka wszystkich przedmiotów, wtedy w listopadzie i grudniu 1939 r., była nadal prowadzona w j. polskim. Oczywiście, lekcje religii zostały skasowane. Po zajęciach szkolnych, w auli były wyświetlane filmy sowieckie. Byłem raz na takim filmie. Był to film o życiu w kołchozie. Były pokazane olbrzymie pola, po których jeżdżą traktory, nikt pracą się nie męczy, natomiast są ciągłe przerwy w pracy, w czasie których kołchoźnicy jeżdżą dużo i tłusto oraz śpią. Po pracy chodzą wszyscy w eleganckich ubraniach, w butach z cholewami, błyszczących, z pięknej skóry (te buty były szczególnie eksponowane) oraz śpiewają, tańczą, śmieją się i w ogóle cieszą się życiem. Film ten, jak i inne wyświetlali żołnierze sowieccy. Wyświetlanie było z licznymi przerwami, bo była to przenośna aparatura i jeden projektor. W owym czasie nie bałem się, bo przecież nic złego nie zrobiłem, a zupełnie nie rozumiałem, że można być represjonowanym za sam fakt pochodzenia społecznego oraz przynależność do polskiej narodowości.

Państwo, którzy nam dali chwilowe schronienie, mieszkali w obszernym domu. Nazwiska ich nie pamiętam. Mieli syna, Jurka, który był po maturze i wiedział, że będzie powołany do wojska sowieckiego. W rozmowie ze mną nie traktował tego jak katastrofę, martwił się tylko czy przyjmą go do lotnictwa. Chciał koniecznie być wojskowym lotnikiem. Nie wiem kim byli ci ludzie, ale nam nie zrobili krzywdy. U tych państwa była jakaś pani, też z Warszawy. Wiedząc, że idziemy na "tamtą stronę" przez zieloną granicę, poprosiła Mamę, ażeby ją zabrała z nami. Mama zgodziła się.

Zima tego roku rozpoczęła się wcześniej. W początku grudnia leżał już duży śnieg i panował mróz. Śnieg skrzypiał pod nogami. Ponieważ okradziono nas w czasie podróży z Bursztyna do Lwowa,

ja zostałem w letnim ubraniu, Mama zamówiła u krawca ubranie dla mnie z zielonego koca wojskowego. Spodnie, tak zwane "pumpy" i marynarka, były bardzo wygodne i ciepłe, materiał wełniany i mocny. Dojechałem w tym garniturze do obozu w Wierchoturje i dopiero tam ukradli mi marynarkę. Ta kradzież marynarki w obozie była dla mnie katastrofą, bo zostałem tylko w koszuli w czasie zimy na Uralu, ale szczegółowo to w następnym tomie.

Część rzeczy zostawiła Mama u tych państwa, myśmy zabrali tylko tyle ile ja i Mama mogliśmy unieść.

W dniu 21 grudnia 1939 r. około południa wyjechaliśmy z tą panią autobusem do Rawy Ruskiej. Była ładna zimowa pogoda, śnieg i mróz. Podróż przeszła, poza incydentem z kupnem biletów, bez żadnych wrażeń. Autobus był zatłoczony. Przyjechaliśmy do Rawy Ruskiej już jak zaczynał się mrok. Nic dziwnego, bo przecież były to najkrótsze dni roku. Przewodnik czekał z furmanką w umówionym miejscu, załadowaliśmy się na suto wymoszczony świeżą słomą wóz i już w kompletnych ciemnościach, bez trudności, wyjechaliśmy do wioski. Jak widać, praktycznie nie było kontroli (jeszcze) na drogach, bo "na milę" widać było, kto my jesteśmy, ale nikt nas nie zaczepił. Woźnica-przewodnik zakręcając do swoich zabudowań, zobaczyłem, że skręca prosto na zamknięte wrota. Zdziwiłem się, ale okazało się, że trochę wstrzymał konie i wystającym dyszlem rąbnął we wrota, które się otworzyły. Po wjeździe wrota natychmiast zostały zamknięte, a my z bagażami wprowadzeni zostaliśmy do dużej, ładnej i chyba nie starej chaty. W chacie bagaże złożono w komorze, a myśmy usiedli na ławach przy stole. Wszystko odbywało się prawie bez słów, w milczeniu. Przy stole coś zjedliśmy, dostaliśmy po kubku bardzo smacznej śmietany oraz świeży wiejski chleb z masłem własnej roboty. Przewodnik wyszedł na dwór. W oczekiwaniu na dalszą drogę kilka ra-

zy byliśmy wprowadzani do tej komory, przyległej do izby. Do izby wchodzili żołnierze sowieccy, nazywali się wtedy "bojcy" (l. mnoga) lub "bojec" (l. pojedyncza) z wojsk ochrony pogranicza. Słysząc było rozmowę prowadzoną w j. rosyjskim i ukraińskim - zupełnie wtedy dla mnie niezrozumiałym. W tej komorze też trochę spałem, drzemałem. Czy Mama chociaż chwilę spała - nie wiem. Tak przeszła prawie cała noc z 21 na 22 grudnia 1939 r. Wreszcie nad świtem przewodnik kazał nam się zebrać, wyszedł najpierw sam, a po niedługim czasie jak wrócił dał nam znak do wymarszu. Mama zapłaciła przewodnikowi, a on pieniądze oddał swojej żonie. Szliśmy "gęsiego" - najpierw przewodnik, niósł dwa nasze pakunki, potem ja - też z pakunkiem, następnie Mama i ta pani. Wyszliśmy nie na drogę, ale szliśmy na tyłach chat - opłotkami. Był śnieg, dosyć mroźno, nie było zbyt ciemno. Ubrany byłem w płaszcz gimnazjalny, z niebieskimi wypustkami na rękawach, z błyszczącymi z białego metalu guzikami, płaszcz miał podpinkę z futra oposów oraz taki sam futrzany kołnierz. Na głowie miałem czapkę, tzw. "narciarę", rękawiczki, szalik. Garnitur, ten uszyty z koca wojskowego w Żółkwi, ciepłą koszulę, krawat. Na nogach trzewiki i ciepłe skarpetki, podkolanówki, jakie nosiło się do spodni typu "pumpy".

Marsz trwał niedługo, skończyły się opłotki i przewodnik skręcił w kierunku rz. Sołokija. Rzeczka nie była jeszcze zamrznięta, brzegi porośnięte krzakami, wikliną i niewysokimi drzewami. Drugi brzeg na "tamtej stronie" był już dobrze widoczny. Było to równe, płaskie pole, pokryte teraz śniegiem. Za plecami widać było zarysy wioski, z której wyszliśmy. Rzeczka w tym miejscu miała szerokość ok. 10 m, można powiedzieć, podobna do rz. Świder, trochę szersza.

Zbliżając się do zarośli nad rzeczką, na wprost nas, wys-

koczył z krzaków żołnierz sowiecki, krzycząc coś zaczął strzelać w naszym kierunku. Przewodnik rzucił bagaże, zaczął uciekać w kierunku wioski, klucząc pod drodze. Strzały oddane w kierunku przewodnika okazały się niecelne. W momencie rozpoczęcia strzelaniny padliśmy wszyscy na śnieg. Żołnierz wtedy zmierzył się do mnie z karabinu, coś krzycząc. Zacząłem miotać się - pełzać - uchylając się z linii strzału. Mama nie czekając zerwała się i rzuciła się na mnie przykrywając mnie swym ciałem. Ręką starała się przykryć mi usta i słyszałem tylko Jej szept: "Najpierw mnie, najpierw mnie niechaj zabije". Żołnierz stojąc w odległości od nas może 10-15 kroków zorientował się, że nie stanowimy żadnej groźby dla niego, coś krzyknął, Mama zsunęła się ze mnie. Zarepetował karabin i opierając kolbę o brzuch oddał kilka strzałów w powietrze. Karabin był uzbrojony w długi bagnet. Bagnety na karabinach wojsko sowieckie nosiło stale. Po prostu nie przewidywało się, że karabin może być bez długiego, trójgrannego bagnetu. Na odgłos strzałów zobaczyłem, jak z wioski biegnie kilku żołnierzy z karabinami, pies z nimi, tak zwany wilczur, dowódca z rewolwerem w ręku. W tym czasie zrobiło się już widno. Pierwszy podbiegł do nas ten pies i Mama wyciągając rękę, ciągle leżąc na śniegu, pogłaskała tego psa. Zwierzę, przecież wytresowane i groźne, nie zareagowało. Dowódca (oficerów sowieckich w tym czasie nazywało się "komandirami" - nazwanie "komandira" oficerem wywoływało stek obelg i było traktowane jako najgorsza obraza), krótko porozmawiał z żołnierzem, który nas zatrzymał, kazał się podnieść, zebrać bagaże. Otoczeni uzbrojonym konwojem ruszyliśmy do wioski. Wszyscy chyba byliśmy jeszcze w szoku po tym zdarzeniu. Spojrzałem jeszcze na "drugibrzeg", który był tak blisko. Dwie kobiety i ja, w otoczeniu 3. czy 4 żołnierzy, pies i dowódca maszerowaliśmy do chaty zaję-

tej przez wojsko sowieckie jako kwatera wojskowa oraz dowództwo odcinka granicy. W dużej chacie wprowadzono nas do izby, gdzie stał stół i ławy. Kazali złożyć pakunki w kącie. Pod nadzorem "komandira" jeden z żołnierzy dokonał pobieżnej rewizji - po prostu obmacał ubranie, a pytał tylko o to czy mamy broń (Orużje jest'?). Następnie wezwali do drugiej izby nas wszystkich, po kolei, na przesłuchanie. Najpierw była Mama, potem ta pani, a na końcu ja. Byłem ciągle w płaszczu, tylko rozpiąłem się. Za stołem siedział jakiś inny dowódca, obok ten co nas z rewolwerem doprowadził z granicy oraz jakiś trzeci. Wydaje mi się, że z boku siedział pisarz notujący przebieg przesłuchania.

Pytania zadawał ten najważniejszy, siedzący po środku, ja stałem przed stołem. Pytania zadawane były oczywiście po rosyjsku, powoli, kilkakrotnie powtarzane. Najpierw kazali położyć mi na stole dokumenty. Miałem przy sobie i położyłem: legitymację szkolną (gimnazjalną), legitymację wojskową - świadczącą, że jestem synem oficera zawodowego i należę do rodziny wojskowej oraz jeszcze jakieś świstki, które miałem w portfelu. Pierwsze pytania, to dane personalne, a potem kim jest ojciec i gdzie jest. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jest kapitanem, oficerem zawodowym i został wzięty przez nich do niewoli pod Bursztynem we wrześniu 1939 r. Po tej ostatniej odpowiedzi zobaczyłem na wszystkich trzech twarzach przesłuchujących wyraz ogromnego zadowolenia i jakiejś zjadliwej satysfakcji. Potem pytali dlaczego chciałem przekroczyć granicę. Znowu odpowiedziałem, że chciałem z Matką wrócić do domu. Zapytali również, jak mieszkaliśmy, czy mieliśmy służbę. Powiedziałem, że mieliśmy dom własny składający się z trzech pokoi i kuchni oraz, że w domu była służąca. Upewnili się również, że jestem gimnazjalistą. Na wszystkie te pytania odpowiadałem spokojnie, oczywiście

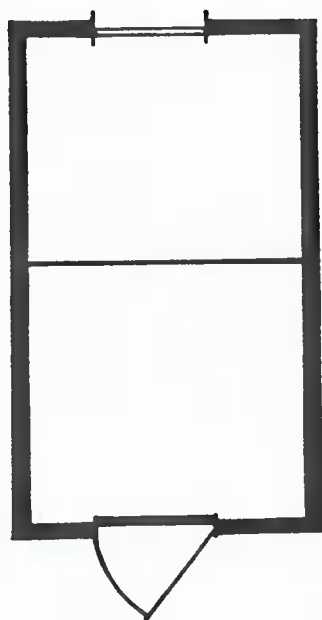
po polsku. Zapytali również, jakie znam obce języki - powiedziałem, że w gimnazjum uczę się łaciny, języka niemieckiego, a nadobowiązkowo od pół roku zacząłem się uczyć języka angielskiego. Wtedy przeszli do pytań - kim był przewodnik i gdzie mieszka. Powiedziałem, że nie znam go, a gdzie mieszka to nie wiem. Naradzili się krótko między sobą i ten co nas doprowadził z granicy kazał mi iść ze sobą. Wyszliśmy do jakiejś innej izby, tam był żołnierz z karabinem oraz cywil. Ten cywil, widać chłop z tej wioski, pełniący prawdopodobnie obowiązki sołtysa, zachowywał się w sposób bardzo służalczy wobec wojskowych. Dowódca powiedział, ażebym zaprowadził ich do chaty, gdzie nocowaliśmy. Musiałem zrobić zupełnie bezradną minę, ale żołnierz mnie lekko popchnął w kierunku drzwi i poszliśmy. Wyszliśmy na główną drogę wioski, mijaliśmy po kolei zagrody, dowódca co i raz pytał mnie, czy to ta zagroda, ja odpowiadałem, że nie poznaję. Cywil bez przerwy coś gadał do dowódcy. Tak przeszliśmy całą wioskę, a oprowadzający bacznie mnie obserwowali. Był dzień, a w wiosce jakby życie zamarło. Pytał mnie dowódca, jak wyglądały wrota, mówiłem, że była noc i nie wiem. W pewnym miejscu cywil mówiący po ukraińsku wskazał wrota do jakiejś zagrody mówiąc, że to na pewno tu. Ja odpowiadałem nadal, że nie poznaję, ale chyba były to te wrota. Nie zatrzymując się poszliśmy dalej środkiem tej wiejskiej drogi, mimo pełnego pogodnego dnia zupełnie opustoszałej, do końca wioski. Wróciliśmy spowrotem, cywil perorował coraz energiczniej, wojskowi milczeli. Przed wejściem do chaty, z której wyszliśmy dowódca wydał jakiś rozkaz, cywil z żołnierzem gdzieś poszli, a mnie wprowadzono do tej izby, gdzie czekała Mama i ta pani. Dowódca kazał po kolei rozpakować wszystkie bagaże. Rozwijając ten nasz, jak mi się wydawało, skromny dobytek, jeden z wojskowych wyszeptał - "ach, co za bogac-

two!". Z bagaży nic nie skonfiskowano, kazano spowrotem zapakować. Wszystkie drobne przedmioty pozostawiono nam. Miałem nadal przy sobie srebrny kieszonkowy zegarek (dostałem go w prezencie po zdaniu egzaminów do gimnazjum), pióro wieczne, ołówek, portmonetkę z jakimiś drobnymi polskimi pieniędzmi, portfel, nawet scyzoryk. Również nie zabrano ani paska, sznurowadeł, krawata ani szalika. Jedynie zabrano dokumenty. Mama miała również nadal przy sobie wszystkie drobiazgi osobiste. W trakcie tych wszystkich zdarzeń, wyjście do ubikacji (na dworze domek z "serduszkim", czyli tak zwana "sławojka") odbywało się pod eskortą. Wartownik stał przed wychodkiem.

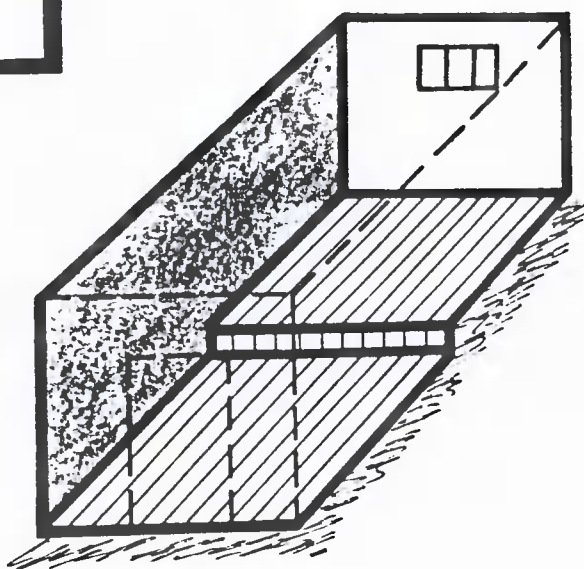
Pozwolono nam usiąść za stołem, żołnierz przyniósł czajnik z wrzątkiem, a może nawet z herbatą i korzystając z własnych zapasów (b. skromnych), które Mama zabrała na drogę, zjedliśmy posiłek. Zaczął zapadać mrok, kończył się dzień 22 grudnia 1939 r. (był to piątek). U nas nastąpiło pewne odprężenie, na razie nic od nas nie chcieli nasi "opiekunowie", zjedliśmy posiłek, siedzieliśmy w ciepłej izbie. Prawie nie rozmawialiśmy, wydawało się, że chyba nas zaraz wypuszczą, bo co mają z nami zrobić? No, jeżeli już mają ukarać, to chyba najwyżej 1, najwyżej 3 miesiące aresztu. W izbie zapalono światło. Niestety, nie pamiętam dokładnie, ale chyba lampę naftową, Zastanawiałem się, gdzie będziemy spali, sądziłem, że w tej izbie, na ławie, ewentualnie na podłodze. Na dworze, widać było na szybach, temperatura spadała, wzmagął się mróz. Już było zupełnie ciemno na dworze, jak wszedł dowódca i żołnierz z karabinem uzbrojonym w bagnet, w rękę. (Żołnierze sowieccy nosili wtedy zawsze ^{w rękach} karabiny z nasadzonymi bagnietami - długimi, trójgrannymi. ~~w rę-~~ ~~kach~~). Karabiny nie miały pasów, widocznie regulamin nie pozwalał). Powiedział, żebyśmy się ubrali, wszystkie rzeczy kazał

zostawić i skierował nas do wyjścia pod tym konwojem. Wyszliśmy na dwór idąc za tym dowódcą, śnieg skrzypiał pod nogami, a pochód zamykał żołnierz z karabinem. Sądziłem, że prowadzą nas na nocleg, na kwaterę. I rzeczywiście, nie myliłem się. Marsz trwał krótko, w ciemnościach nie zorientowałem się, gdzie jesteśmy, bo wyszliśmy na tyły zabudowań, jak zobaczyłem już przy otwartych drzwiach jakiegoś pomieszczenia tego dowódcę dającego znak ręką, że mamy tam wejść. Weszliśmy. Drzwi za nami zatrzaśnięto. Ogarnęły nas ciemności, tylko przez niewielkie okienko pod sufitem sączyło się trochę poświaty. Po chwili wzrok się przyzwyczaił. Rozejrzałem się: było to murowane pomieszczenie, z betonową podłogą posiadającą dwa poziomy; pod okienkiem wyższy, pod drzwiami niższy o jakieś 20 cm. Na tej betonowej posadzce poniewierały się niewielkie ilości brudnej, zanieczyszczonej nawozem słomy. Szyba w okratowanym okienku była chyba trochę rozbita. Panowało przeraźliwe, przenikliwe zimno. Pomieszczenie miało wymiary: szerokość ok. 2 m, długość ok. 4 m. Był to po prostu chlew dla świń, a raczej taki mały chlewik. Nasi opiekunowie zamykając nas w tym chlewie nic nie mówili, ale dla wszystkich stało się jasne, że tu mamy naszą "kwaterę" na noc z 22 na 23 grudnia 1939 r. Nie bacząc na nic poczułem straszne znużenie i senność. Położyłem się na tym zmarzniętym gnojku, a raczej prawie na betonie i usnąłem. Mama stała. Stała tak całą noc budząc mnie co pewien czas, ażeby nie zamarznął na śmierć, bo mróz był solidny. Tak przeszła ta cała noc. Przez całą noc praktycznie nikt nie mówił. Nikt z nas się nie skarżył ani nie lamentował. Czy przed tym chlewikiem wystawiono specjalny posterunek wartowniczy - nie wiem. Tak minęła w końcu ta noc. Przez okienko widać było, jak zaczyna się zimowy dzień 23 grudnia 39 r. Zrobiło się całkiem widno. Mimo ciepłego ubrania wszy-

Moje pierwsze pomieszczenie więzienne w nocy
z 22 na 23 grudnia 1939 r. Chlewik w wiosce nad rz. Sołokija



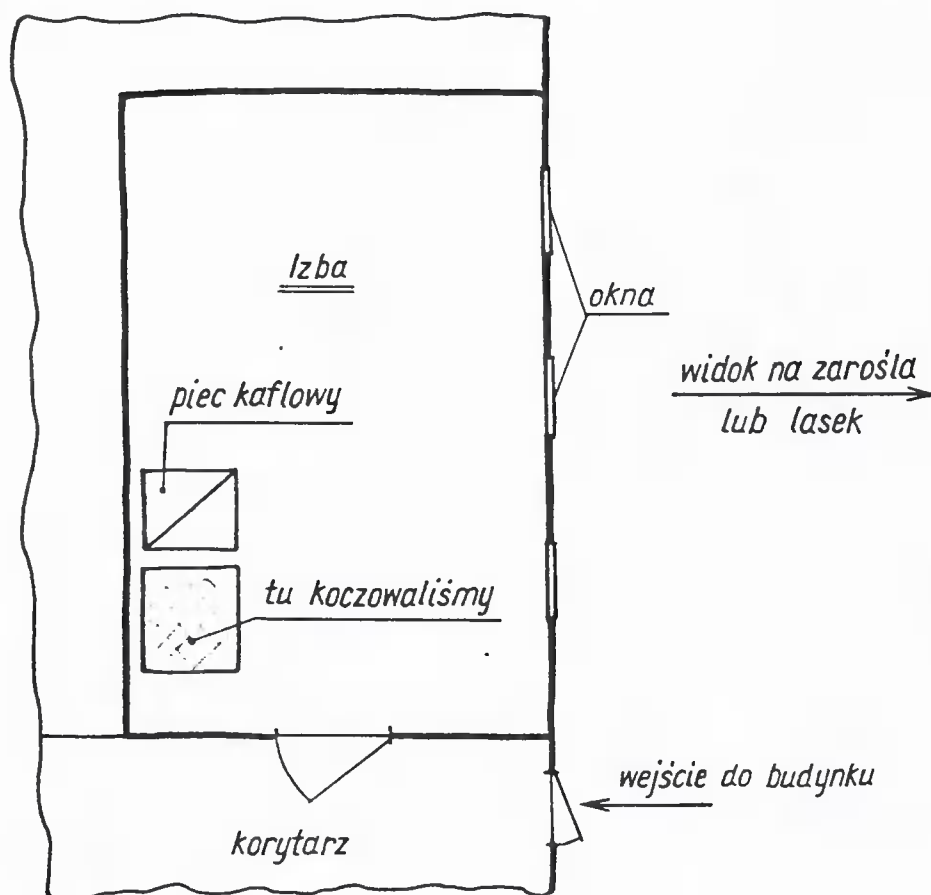
Wymiary w tekście należy traktować jako maksymalne. Raczej był mniejszy. Wysokość nie przekraczała ok. 2,2 m. Nie wiem czy był to „obiekt” wolno stojący, czy też pomieszczenie w dużym budynku gospodarskim.



scy byliśmy skostniali z zimna. Nikt nic nie mówił, czekaliśmy. Już był dzień, jak wartownik otworzył drzwi i kazał nam iść. Zaprowadził nas z powrotem do tej izby, gdzie leżały nasze bagaże. Usiedliśmy na ławie, przy stole, w cieple, nadal nic nie mówiąc. Żołnierz przeniósł znowu czajnik wrzątku, czy herbaty i zjedliśmy coś z naszych skromnych zapasów. W pewnym momencie, jak były otwierane drzwi do drugiego pomieszczenia, zobaczyłem tam siedzącego, już aresztowanego przewodnika. Oglądając bagaże widać było, że w czasie naszej nieobecności zostały przetrząśnięte. Jeżeli coś zabrano, to raczej jakiś drobiazg, a na pewno z podręcznej torby zniknęła butelka alkoholu. Mama powiedziała do mnie, że była to butelka "Maślacza". Mama nic nie mówiła na ten temat. Żadnej skargi z naszej strony nie usłyszeli żołnierze, czy "komandiry". Przez tę izbę wielokrotnie przechodzili różni żołnierze, czy dowódcy, rzucając na nas baczne spojrzenia, jak gdyby oczekując, że zaczniemy się skarżyć. Nic takiego z naszej strony nie nastąpiło. Mama liczyła wtedy 37 lat, siedziała skupiona, na twarzy Jej malowała się troska i jednocześnie zaciętość i wola walki. Koło południa przyszedł komandir, kazał się ubrać, zabrać rzeczy i wyjść z izby. Przed chatą stała fura, z przodu obok jednego żołnierza siedział przewodnik, nie wykluczam, że miał skute ręce, myśmy z bagażami usiedli z tyłu, dosiadło się chyba jeszcze 2 żołnierzy uzbrojonych w karabiny z bagnetami i pojechaliśmy. Jak fura już ruszyła, podbiegła kobieta z dwojgiem dzieci lat 8 - 12, zawodząc i płacząc oraz wołając po ukraińsku, ażeby nie zabierali jej męża - przewodnika. Straż nie reagowała na to, przewodnik siedział nieporuszony, widziałem tylko jego plecy, a powożący żołnierz zaciął tylko mocniej konie. Zawodząca kobieta z dziećmi została w tyle na wiejskiej drodze. Podróż trwała krótko, może pół godziny,

może godzinę. Zawieziono nas do sąsiedniej wioski, tylko dalej położonej od granicy. Zaczął już zapadać wczesny zimowy zmierzch dn. 23 grudnia 39 r. (sobota - Dzień Wigilii - bo Wigilia wypadła w niedzielę 24.XII.39). Furmanka zatrzymała się przed jakimś dość dużym, parterowym, drewnianym budynkiem, przed którym chodził wartownik. Najpierw odprowadzono pod strażą przewodnika. Po chwili nas wprowadzono, z bagażami do dużej izby w tym budynku. W izbie panowało lodowate zimno. W izbie znaleźliśmy się sami. Izba miała drewnianą podłogę, stał piec kafłowy (zupełnie zimny), obok leżało trochę drewna, nie było żadnych sprzętów. Wymiary tego pomieszczenia oceniam na ok. 5 m x 8 m, czyli ok. 40 m². Były tam 2 lub 3 normalne, dwuskrzydłowe okna, okratowane, z widokiem na niedaleko położone zarośla czy lasy. Oświetlenia nie było żadnego. Po zatrzaśnięciu za nami drzwi straż praktycznie przestała się nami interesować. Zaczął zapadać mrok. Ta pani, która została z nami aresztowana, wykazała inicjatywę i po długich zabiegach rozpałała ogień w piecu. Udało się to, bo miała zapalki. Zrobiło się trochę cieplej, z otwartych drzwiczek pieca było trochę światła i ciepła. Czy zjedliśmy coś z zapasów (resztek), czy też dali nam coś do zjedzenia, nie pamiętam. Ale chyba nic nie dali. Na żądanie, pukanie w drzwi wyprowadzono pod strażą do "sławojki". Jedzenie w tych pierwszych dniach było tak marginesowym zagadnieniem, że niewiele zostało mi w pamięci. Rozmów między nami też prawie nie było. Były tylko myśli - co dalej z nami zrobią? Ciągle jednak przeważał pogląd, że trochę nas potrzyimają i wypuszczą. Bo przecież jacy to groźni jesteśmy przestępcy? Po prostu żadni. Ot, po prostu nie wolno przejść ustalonej między Niemcami, a Rosją granicy, a zatem musimy zostać tu, gdzie jesteśmy. Może potem, za kilka miesięcy, legalnie władze sowieckie

Izba w której byliśmy zamknięci od
dn. 23 grudnia 39, do 26-28 grudnia 39r.
Przyjmuję datę 27 grudnia 39r. Pomyłka
może wynosić plus-minus 1 dzień.



Jak wyglądał cały budynek - nie wiem

pozwolą nam wrócić do domu. Wtedy już nasz dom w Legionowie zaczął się nam jawić jako spokojna i pewna przystań, jako jedyne miejsce na ziemi, gdzie będzie można odpocząć.

Izba, w której byliśmy, wydawała się wspaniałym i dobrym pomieszczeniem w porównaniu z poprzednim. Rozeskaliliśmy koce na podłodze i położyliśmy się spać. Tak przeszła noc z 23 na 24 grudnia 39 r. Dzień 24 grudnia 1939 r. (niedziela) dla nas nie przyniósł żadnych zdarzeń i tak było do 27 grudnia 1939 r., to jest przez cały okres Świąt Bożego Narodzenia.

Natomiast, stopniowo w dzień i w nocy doprowadzano do tego pomieszczenia coraz to nowych złapanych na granicy mężczyzn, kobiety i wyrostków. Przewaga była ludności miejscowej. Trzeba dodać, że izba była nieoświetlona. Straż tego budynku nie była zbyt surowa ani dokładna. Wielokrotnie do okien (okratowanych - ale kraty były marne, raczej symboliczne) podbiegali znajomi czy krewni zamkniętych, przekazując jedzenie, ubranie i chyba wódkę. Rozmowy bardzo głośne, prowadzone były przeważnie w języku ukraińskim. Zamknięci ci ludzie niewiele sobie robili z tego aresztu, panował wśród nich wesoły nastrój, śmiechy, krzyki, a wieczorem popisy, kto głośniej "pierdnie".

Nie pamiętam, czy dawali w tym areszcie coś do jedzenia, czy tylko wodę do picia, ale chyba nic nie dawali do jedzenia. Żywiliśmy się tym, co nam zostało z "zapasów" na drogę. Nasz nastrój odbiegał od humoru tamtych ludzi. Byliśmy przygnębieni, rozmów prawie żadnych nie prowadziliśmy.

Rano 27 grudnia 1939 r. (środa) weszło do izby kilku żołnierzy z okrzykiem: "Sobirajties s wieszczami! Wsie wychodit'" (Zabierać rzeczy! Wszyscy wychodzić). Okrzyk ten był początkiem mojej nauki języka rosyjskiego. Przed budynkiem stała ciężarówka wojskowa - jak teraz wiem samochód ZIS. Znajac polskie sa-

mochody ciężarowe, wyglądała po prostu marnie. Kabina kierowcy - prostokątna, z płaskimi szybami, całość prezentowała się nie- szczególnie. Wszystkim kazali załadować się do tej odkrytej ciężarówki, usiąść na podłodze i nie ruszać się. Jak domyślałam się, dowódcą konwoju, wygłosił krótkie przemówienie, z którego tyle zrozumiałem, że jak ktoś się poruszy to konwój będzie strzelał bez uprzedzenia. Dwóch czy trzech żołnierzy z karabinami usiadło na burcie, z tyłu, dowódca konwoju z rewolwerem wsiadł do kabiny kierowcy i powieziono nas. Dokąd? Oczywiście nie wiedzieliśmy. Była ładna, mroźna pogoda, wszędzie leżał biały, puszysty śnieg.

Podróż trwała krótko, może godzinę, może dwie. Ciężarówka wjechała do miasteczka, a właściwie zaraz do koszar. Aresztowani - miejscowi - od razu powiedzieli, że to jest Rawa Ruska. Samochód zatrzymał się przed jednym z budynków koszarowych, kazali nam wysiąść. Widać było wokoło wielu żołnierzy sowieckich. Konwój wysiadł razem z nami, a ciężarówka gdzieś odjechała.

Budynki koszarowe, z czerwonej cegły, jeszcze pozostałość po carskich wojskach sprzed I wojny światowej. Oczywiście do 1939 r. były tam koszary wojska polskiego.

Nurtowało nas tylko jedno - co dalej?

3. Więzienie w Rawie Ruskiej

Był jeszcze dzień dn. 27 grudnia 1939 r. (środa), już po południu. Stojąc tak przez chwilę przed budynkiem koszarowym patrzyłem na koszary zajęte przez obce wojska. Panował duży ruch; żołnierze różnych stopni wszędzie kręcili się, a przeważnie biegali. Słysząc było bardzo głośno wydawane jakieś rozkazy, docierał głos pieśni żołnierskiej śpiewanej zapewne przez jakiś zwarty oddział, a brzmiała dla mnie ta pieśń jakoś dziko i obco. Był mroźny dzień, leżał wszędzie duży śnieg, świeciło słońce.

Od chwili aresztowania minęło 5 dni, ale już widać było ślady pobytu w podręcznych więzieniach. Przez te dni właściwie się nie myłem, ani razu się nie rozbierałem do snu, mowy nie było o myciu zębów. Bielizna już była brudna. Ciało zaczęło niepokojąco swędzić. Ja zacząłem to wszystko odczuwać, a co dopiero Mama.

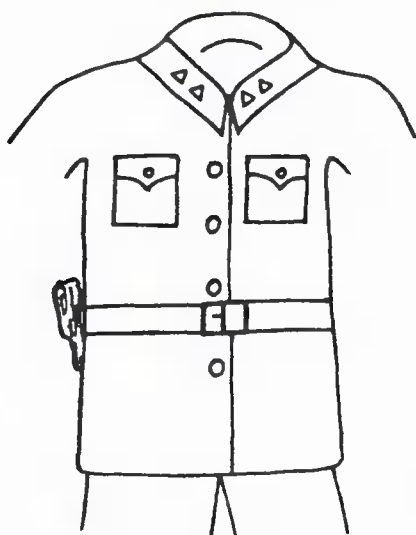
Wprowadzono nas do budynku. Był to budynek zbudowany z czerwonej cegły jeszcze przed I wojną światową z przeznaczeniem na koszary. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., do września 1939 stacjonowało tam wojsko polskie. Teraz budynek ten został zamieniony na przejściowe więzienie. W pozostałych budynkach były koszary, teraz zajęte przez wojska sowieckie. Budynek ten nadawał się na więzienie, bo okna były okratowane i położenie na terenie koszar ułatwiało pilnowanie więźniów. Okna były normalne, dwuskrzydłowe, niczym nie przesłonięte. W oknach szyby też niczym nie zamalowane. Na korytarzu posadzka betonowa, w izbach zamienionych na cele, podłoga z desek.

W budynku panował nieopisany rozgardiasz. Na korytarzach stały lub siedziały na posadzce grupki ludzi aresztowanych (głównie na "granicy"). Między tymi ludźmi biegali, chodzili

tu i tam żołnierze sowieccy różnych stopni, o czymś dyskutowali między sobą, wydawali jakieś polecenia i rozkazy. Wszystkie polecenia i rozkazy były wydawane koniecznie krzykiem i ze złością. Dyskusje między żołnierzami były połączone jak reguła z wymachiwaniem rękami. Polecenia wydawane krzykiem więźniom - Polakom były wydawane oczywiście w języku rosyjskim. Polacy jak reguła nie znali języka rosyjskiego, a więc taki żołnierz (bojec) wrzeszczał coraz głośniejszym głosem na jakiegoś Polaka, sądząc widocznie, że w ten sposób będzie lepiej zrozumiany. Nie widziałem, ażeby jakiś żołnierz bił więźnia; żołnierze tylko krzyčili, przeklinali (wtedy nie rozumiałem tych przekleństw), machali rękami, złościли się, ale bez wyraźnych rękoczynów. W budynku było ciepło i duszno, mimo że pomieszczenia były wysokie.

Dosyć prędko, bo najwyżej po ok. pół godzinie, jakiś żołnierz kazał mnie i Mamie zabrać nasze tobołki i zaprowadził nas na I piętro. Tam, prawie na wprost wejścia ze schodów, w dużym pokoju była urządzona kancelaria. Urzędowało tam za biurkami kilku wojskowych, nie wiem w jakim stopniu, ale chyba byli to podoficerowie. Ten co zajął się mną miał biurko na wprost drzwi. Był to młody człowiek, bardzo ruchliwy, szczupły, niewysoki, a energię przejawiał wprost wulkaniczną. Miał bez przerwy czapkę na głowie, co mnie dziwiło, ubrany był w bluzę drelichową z kołnierzykiem (takim, jakie są przy koszulach), na kołnierzyku były przyłączone dystynkcje (chyba dwa lub trzy trójkąty), na bluzie były naszyte dwie kieszenie. Spodnie, tak zwane bryczesy i długie brezentowe buty. To znaczy cholewy były brezentowe, tylko sama stopa była skórzana. Bluza wypuszczona na spodnie i ściągnięta pasem. Na pasie, w brezentowej kaburze był rewolwer, prawdopodobnie "Nagan". Bardzo dziwnie wyglądał mi ten mundur bez naramienników. Na biurku leżały jakieś papie-

Rysunek munduru i dystynkcje żołnierzy Armii Czerwonej








Dystynkcje wyglądały tak:

 to jest wielkość naturalna.

Podkładka metalowa z obramowaniem metalowym była na zewnątrz wypełniona emalią w kolorze ciemnoczerwonym (prawie ciemnowiśniowym)

Jeszcze w Żółtkwi (obecnie Niestierow) dowiedziałem się ogólnie o znaczeniu dystynkcji:

-  — trójkąty podoficerowie
-  — kwadraty oficerowie młodszy (do kapitana)
-  — prostokąty oficerowie starsi (do pułkownika)
-  — rąby generałowie (widziałem raz w Żółtkwi)
-  — gwiazda (złota) — marszałkowie. (takiej dystynkcji oczywiście nie widziałem)

Wszystkie te dystynkcje były noszone na kołnierzu bluzy bez naramienników.

ry, teczki tekturowe i przybory do pisania. Ten wojskowy (inni podobnie), chwilę coś pisał, przerywał i coś krzyczał do sąsiada, to znowu zrywał się z biurka, wybiegał na korytarz, tam znowu coś do kogoś krzyczał, wracał biegiem za biurko i cykl zaczynał się od początku. Muszę zaznaczyć, że pisano wtedy piórem ze stalówką maczaną w kałamarzu z atramentem. Tak zwane "wieczne pióra" były jeszcze, można powiedzieć, rzadkością. Ja miałem wieczne pióro, ale to było oczywiste, bo należałem do klasy burżuazji, o czym miałem dowiedzieć się nieco później. Stałem przed biurkiem w płaszczu podbitym futrem i chociaż rozpiąłem się, było mi bardzo gorąco. Żołnierz wstał z biurka, pobieżnie obmacał mi kieszenie pytając czy nie mam broni (Orużje est'?), wszystkie drobne przedmioty, jak zegarek, nawet scyzoryk pozostawił mi nadal. Również sznurowadła i krawat pozostały na miejscu, a także pasek, szalik i temu podobne akcesoria, jak np. portmonetka z drobnymi pieniędzmi i portfel. Kazał rozpakować chyba tylko jeden tobołek, ale nic z zawartości nie wzbudziło zainteresowania i kazał zapakować. Usiadł za biurkiem, wyciągnął jakiś papier i zaczął spisywać moje dane personalne. Pytanie: „familja? kak tebia zowut?” Zrozumiałem, że chodzi o nazwisko - mówię Pieńkowski. Żołnierz nie może zrozumieć, krzyczy: kak? Powtarzam, jak mogę najwyraźniej. Żołnierz nie może zrozumieć, rzuca pióro, krzyczy coraz głośniejszy, zrywa się z biurka, ja powtarzam i coraz bardziej się pocę. Wreszcie mój rozmówca wpada na genialny pomysł i pyta jaka litera jest po literze "p". Zrozumiałem pytanie i odpowiadam - "i". Żołnierz już wyraźnie ucieszony mówi, że nazywam się "Pinkowski". Protestuję, ale to już nic nie pomaga, przez wszystkie więzienia i do końca pobytu w obozie zostałem zapisany jako "Pinkowski". Z imieniem moim i imionami moich rodziców po-

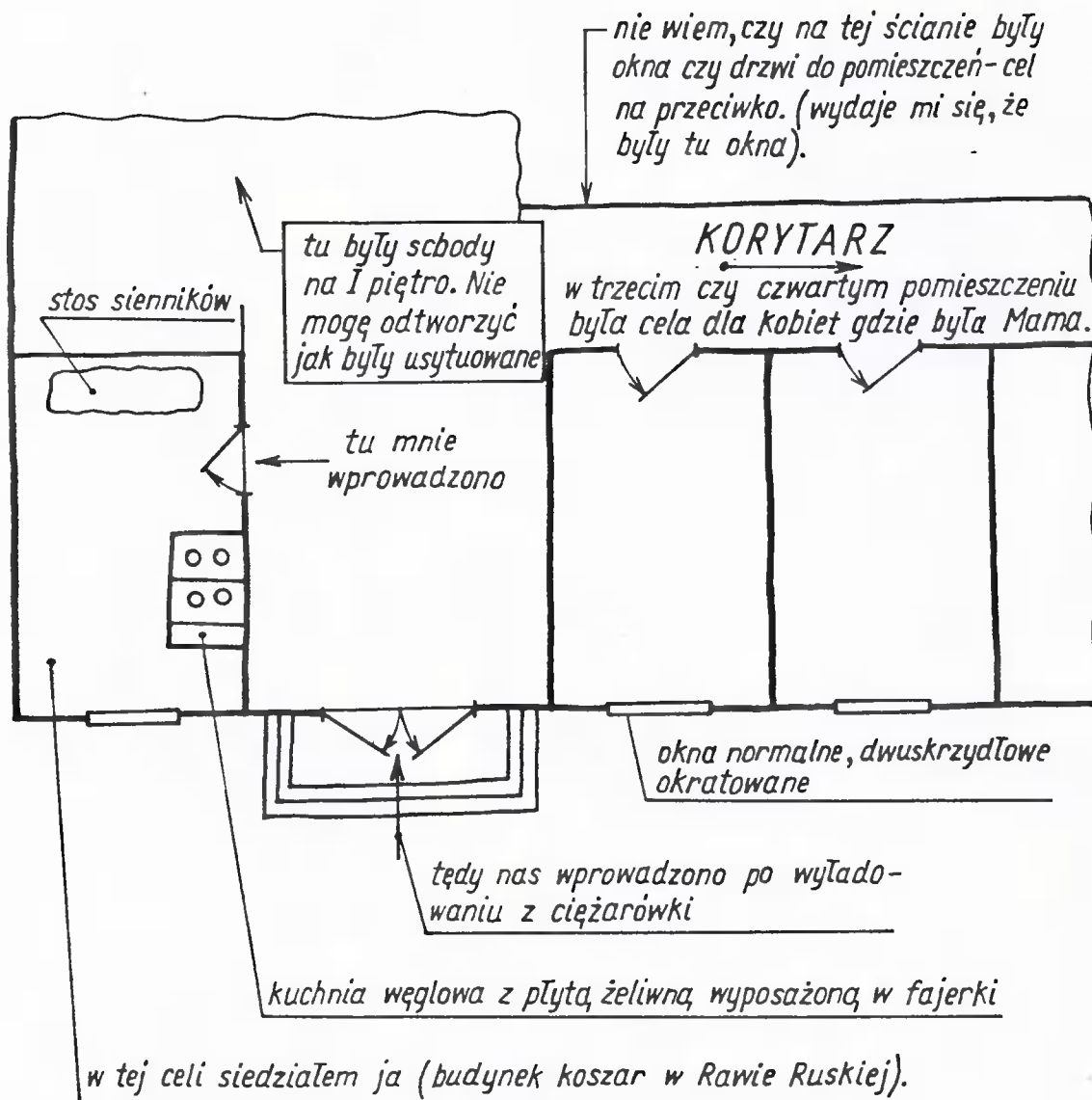
szło gładko. Trudność wynikała przy dacie urodzenia. Mówię: dwunasty sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Dzień i rok urodzenia nie sprawiły trudności. Natomiast dialog wywiązał się w sprawie miesiąca, w którym się urodziłem. Żołnierz krzyczy: „kakoj miesiąc?” Odpowiadam: sierpień. Ten znowu coś pyta czego nie rozumiem, znowu się złości, ja już jestem bezradny. Wreszcie żołnierz mówi: sientiabr’? Ja kiwam głową i zostaje zapisane, że: urodziłem się 12 "sientiabria" 1924 r. czyli 12 września 1924 r. Ta data urodzenia z błędnie podanym miesiącem przetrwała w moich dokumentach aż do 1947 r. Poprawiona została również w indeksie na Politechnice po otrzymaniu przeze mnie odpisu aktu urodzenia z Poznania. Ja natomiast w miarę upływu czasu nawet byłem przekonany, że data 12 września 1924 jest datą prawdziwą. Chociaż w gimnazjum uczyłem się łaciny i języka niemieckiego, nie skojarzyłem w tym momencie, że sierpień - to "august", a wrzesień - to "september". Rosjanie nazwy miesięcy zapożyczyli z łaciny nadając im tylko inne końcówki i wrzesień po rosyjsku to *сентябрь*, a sierpień to *август*. Nie zdawałem sobie oczywiście sprawy, że w tym momencie są zakładane moje akta śledcze iteczka personalna, która będzie mi towarzyszyła przez kilka lat (albo ja będę towarzyszył tej teczce) - jak kto woli. Tak dokładnie opisałem ten moment i sposób załatwienia sprawy, bo skutki okazały się długotrwałe, w moim przypadku aż do 1947 r. Teczka moja, uzupełniona oczywiście całym szeregiem dokumentów, może jeszcze nadal leży w archiwum NKWD. To było dopiero wstępne spisanie podstawowych danych personalnych. Dokładne spisanie danych o więzieniu nastąpiło nieco później, ale nie wybiegajmy w przyszłość.

Mamę "spisywał" inny żołnierz przy sąsiednim stole, ale tamten był chyba mniej nerwowy, więc było mniej emocji. Mama

przez cały czas pobytu w więzieniu i obozie mówiła wyłącznie po polsku, mimo, że umiała kilka słów po rosyjsku.

W tym czasie zapadł mrok, zapalono światło elektryczne. Sprowadzono nas z powrotem na parter. Tutaj Mamę razem z tobołkami odprowadzono korytarzem w jedną stronę, a mnie w drugą i wprowadzono do pomieszczenia, które już można nazwać pierwszą celą więzienną. Szybko żołnierz otworzył drzwi, wszedłem i usłyszałem zatrzaśnięcie i przekręcenie klucza w zamku. W pomieszczeniu panował mrok, żarówka zawieszona u sufitu była słaba, dawała niewiele światła; wtedy nie wiedziałem, jakie to błogosławieństwo. Rozejrzałem się stojąc przy drzwiach. Moją pierwszą celą była po prostu kuchnia, która przed wojną, w tym budynku koszarowym, służyła chyba jako jakieś pomieszczenie pomocnicze, a może jako pomieszczenie służbowe podoficera. Pomieszczenie było niewielkie - oceniam na jakieś 14-16 m². Część zajmowała kuchnia węglowa, taka zwykła kuchnia węglowa z płytą żeliwną wyposażoną w fajerki. W celi było gorąco i panował zaduch. Okno było normalne, dwuskrzydłowe, okratowane, z widokiem na inny budynek koszar. Jak na drugi dzień zobaczyłem, mieściła się tam żołnierska stołówka i kuchnia. Ilość "lokatorów" tego pomieszczenia wahała się od 12 do 16 osób dorosłych, w tym ja jeden jako małoletni - liczyłem wtedy 15 lat i 4 miesiące. Stojąc w pobliżu drzwi z kocem pod pachą zobaczyłem współlokatorów. Prawie wszyscy stali, kilku siedziało na podłodze, a kilku na kuchni. Jedynym sprzętem w tej celi był jeden zwykły drewniany taboret. Pod ścianą leżał stos "gołych" sienników wypchanych, jak się niedługo przekonałem, słomą starą już prawie na drobne źdźbła. Zainteresowanie moją osobą było bardzo nikłe. Jeden ze współwięźniów spytał: za co? skąd jestem? Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: za próbę przekrocze-

Szkic fragmentu budynku koszarowego, zamienionego na więzienie, gdzie siedziałem od 27 grudnia 1939 do 7 stycznia 1940 r.



nia granicy "na tamtą stronę", a jestem z Warszawy. Pytający machnął ręką w nieokreślonym kierunku, a więc precyzyjnie się bliżej okna, zdjąłem płaszcz, zwinąłem, położyłem koc na podłodze i usiadłem na tym tobołku. Rozmowy półgłosem były prowadzone w języku polskim i ukraińskim. Moi współwięźniowie - lokatorzy tej celi to: ludzie wracający do Polski centralnej lub do Lwowa i okolic z tułaczki wojennej - oczywiście wszyscy Polacy; chłopci-Ukraińcy, którzy naraz znaleźli się w sytuacji, że ich gospodarstwa zostały przecięte granicą, no i zostali złapani "na granicy"; kilku chłopów-Polaków - nie wiem dlaczego tu trafili, możliwe, tak jak Ukraińcy; kilku osobników (tu zidentyfikowanie narodowości było trudne), którzy wpadli na granicy trudniąc się handlem połączonym z przemytem; oraz kilka osób Polaków i Żydów, którzy świadomie, stawiając to sobie jako cel podróży przez granicę, ucieczkę z Polski centralnej zajętej przez Niemców, do Lwowa zajętego przez Rosjan. Osoby z ostatniej wymienionej grupy, prawie zawsze chwaliły się, że po przejściu "granicy", niezauważeni przez sowieckich żołnierzy wojsk ochrony granicy, sami zgłaszali się do najbliższej placówki wojskowej. Mówili, że uciekli od prześladowań Niemców i przyszli do sowieckich wyzwolicieli deklarując pełną lojalność i chęć współpracy. Początek spotkania w sowieckiej placówce wojskowej był zawsze przyjacielski, gościnny, połączony z poczęstunkiem napitkami i jedzeniem. Następnie byli zapraszani do ciężarówki, która miała ich zawieźć do Lwowa. W praktyce trafiali najpierw do podręcznego więzienia w Rawie Ruskiej (w tym rejonie), potem do Lwowa, ale nie do miasta, tylko do więzienia Brygidki, a potem - normalnie. No, znowu wybiegam w przyszłość. W tym momencie nikt z nich o tym nie wiedział, że na dalszy bieg jego losów jest bez znaczenia fakt: został

złapany, czy sam się zgłosił po przejściu granicy. Zgłoszenie się było traktowane przez władze sowieckie bardzo podejrzliwie, bo może to tak zgłasza się dla zmylenia czujności prowokator, szpieg lub dywersant. To też zrozumiałem w niedalekiej przyszłości; teraz o tym nie miałem pojęcia.

Wszyscy współwięźniowie byli zwykłymi, normalnymi ludźmi, nie rozumiejącymi dlaczego trafili za kraty, nawet tak zwani "przemytnicy", to też amatorzy. Kryminalistów tu nie było.

Jeszcze tego wieczoru strażnik-żołnierz, wydał wszystkim więźniom po kromce czarnego chleba oraz po kubku herbaty. Potem wyprowadzono wszystkich do ubikacji mieszczącej się w tym budynku. Były tam również umywalnie, więc umyłem się trochę zimną wodą - wszystko w pośpiechu. Zauważyłem, że na korytarzu spacerowali tylko żołnierze-strażnicy. Wprowadzono nas do celi spowrotem, a na zakończenie nastąpiło policzenie stanu osobowego celi. Drzwi się otworzyły, jeden strażnik stanął w drzwiach. Kazał wszystkim wstać i ustawić się w dwóch rzędach przy ścianie. Weszło dwóch żołnierzy i każdy oddzielnie - jeden z jednego końca, a drugi z drugiego - przeliczyli więźniów. Każdy oddzielnie wykrzyknął liczbę, strażnik przy drzwiach zapisał, przeliczający wyszli, strażnik coś jeszcze wykrzyknął i zatrzasnął drzwi. Dowiedziałem się, że zarządził ciszę nocną i mamy spać. Sienniki zostały rozłożone na całej powierzchni podłogi i wszyscy położyli się, oczywiście nie rozbierając się, pokotem, ciasno, jeden przy drugim. Nawet na kuchni, mimo że była dosyć krótka, położyło się dwóch. Odniosłem wrażenie, że miejsce do spania na kuchni jest uważane jako lepsze, bo nie na podłodze. Miejsce to również miało jednak wadę. Mianowicie w nocy straż nie wyprowadzała do ustępu. Niektórzy nie wytrzymywali przez całą noc i siusiali do wnętrza kuchni, odsuwając fajerki na płycie. Oczywiście

cie, ażeby to zrobić, trzeba było obudzić śpiących na kuchni, no i ci dwaj musieli zejść z kuchni. Do snu, chyba wszyscy, zdejmowali tylko buty, które służyły znakomicie jako "poduszka" pod głowę. Ja zrobiłem tak samo i tak jak inni przykryłem się płaszczem i usnąłem twardym snem. Rano łomot do drzwi oznajmił pobudkę. Wszyscy wstali, sienniki zostały złożone na kupę, strażnicy przeliczyli więźniów, wyprowadzono nas do ustępu połączonego z umywalnią, no i wydano śniadanie: kromkę chleba i kubek herbaty. Zrobiło się zupełnie widno, przez okno widać było ruch na terenie koszar: przemarsze oddziałów, pojedynczych żołnierzy i oficerów (stop - wtedy oficerów w Armii Czerwonej nie było, a tylko komandiry. Nazwanie komandira oficerem było traktowane jako obelga). W budynku i na korytarzu też nastąpił ożywiony ruch. Drzwi do "naszej" celi też otwierały się co pewien czas i albo kogoś wywoływano, albo kogoś wprowadzano. Zaczynałem szybko uczyć się procedury więziennej i języka rosyjskiego. Nauczyłem się, że jak strażnik wywołuje więźnia tylko po nazwisku z dodatkiem "wychadi!" (wychodź), to delikwent wróci do celi. Natomiast, jak po nazwisku strażnik powie: "wychadi s wieszczami!" (wychodź z rzeczami), to delikwent nie wróci do celi i nie wiadomo co z nim się stanie. W tym podręcznym, tymczasowym więzieniu panowały tak liberalne stosunki, że można było prosić, a prośba zostawała spełniona, o indywidualne dodatkowe wyprowadzenie do ustępu w ciągu dnia. Co to znaczy, to umie ocenić ten, kto siedział kilka lat, a w celi nie było kibla, czyli kadzi lub wiadra na nieczystości. Co do jedzenia, to w południe wydawano po misce zupy, a wieczorem tak jak rano: kromka chleba i kubek herbaty czy kawy zbożowej osłodzonej raczej symbolicznie. Mężczyźni w tej celi nie mieli nic własnego do jedzenia, to co otrzymywali było niewystarczające i byli po prostu stale głodni. Warunki

sanitarne, a raczej skutki takich warunków były oczywiste - pojawiły się u wszystkich wszy. Ja oczywiście też zostałem obdarzony tym towarzystwem. Zacząłem się uczyć walki z wszami. Ściągałem koszulę i piękne białe okazy rozgniatałem między paznokciami. Wtedy to było jeszcze polowanie na pojedyncze okazy, wszy były jeszcze nieliczne.

Pierwszego dnia, jeszcze przed południem strażnik-żołnierz wywołał mnie z celi i zaprowadził do celi, gdzie siedziała Mama. Była to cela kobiet, wielkości ok. 14-16 m², bez sprzętów, tylko siemniki ze startą słomą leżały na podłodze. W celi było luźno, bo było tam 6 może 8 kobiet - przeważnie chłopki. Mama ubłagała strażnika, żeby mnie przyprowadzono do Niej i tak było przez cały czas pobytu w więzieniu w Rawie Ruskiej, tj. do 6 stycznia 1940 r. Drzwi od tej celi były stale otwarte na korytarz. Wobec rosnącej plagi wszy, Mama zaczęła obawiać się, że mogę zachorować na tyfus plamisty. Postanowiła mnie ratować w sposób następujący: kupiła od jednej siedzącej w tej celi wieśniaczki surowe jajka i cukier. Akurat ta wieśniaczka miała. Z własnych tobołków, które też były złożone w tej celi, wyciągnęła butelkę koniaku. Następnie kręciła kogiel-mogiel, dolewała do tego lampkę koniaku i taki środek jako zabezpieczenie przed tyfusem plamistym, dostawałem codziennie do końca pobytu w Rawie Ruskiej. Oczywiście, nie wiedzieliśmy co z nami zrobią dalej i jak długo będziemy tu siedzieć. Muszę przyznać, że taki kogiel-mogiel z koniakiem bardzo mi smakował.

Mimo tych codziennych wizyt u Mamy, znaczną część czasu spędzałem w swojej celi i słuchałem rozmów. Przeważały dwa poglądy na sprawę zatrzymania na granicy: jeden, że ci co wędrowali "tam" lub "tu" wracając do domu, będą lada dzień zwolnieni, bo przecież wiadomo - wojna spowodowała ich przymusowe wędrówki. Natomiast ci złapani z towarem na granicy będą traktowani suro-

tej przez Niemców na tereny zajęte przez Rosjan, bo tylko tu (to znaczy u Rosjan - jak wtedy się mówiło u Sowietów) będą mogli kontynuować swoją działalność. Klęskę wrześniową i rozbiór Polski uważał za oczywistą sprawę, ponieważ Polacy przed wojną ~~na~~ ^{przez} śladowali Żydów. Granicę przeszli w towarzystwie dwóch dziewczyn, a jedna z nich - nazywał ją Busia - była jego narzeczoną. Na jego prośbę sprawdzałem, czy siedzi Busia w celi razem z Matką, ale takiej tam nie było, widać była jeszcze jedna cela dla kobiet. W trakcie rozmowy jakoś wynikła sprawa narodowości Busi. Zostałem wtedy objaśniony, że Busia jest Żydówką, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo jest bezwyznaniowa. Dalej mój rozmówca powiedział, że gdyby stale Polacy żenili się z Żydówkami, a Żydzi z Polkami, to powstałby jeden naród, w którym by nie było żadnego problemu narodowościowego ani religijnego. Roztaczał ten Blondyn perspektywy, jakie to życie wspaniałe zapanowałoby w Polsce zaludnionej przez jeden naród polsko-żydowski, czy też żydowsko-polski. Jak wtedy nie byłoby problemu antysemityzmu, jacy bylibyśmy potężni. Nie tracił nadziei, że do takiego utworzenia nowego narodu nad Wisłą dojdzie w najbliższej przyszłości. Wtedy w końcu grudnia 1939 r. nikt, ani mój rozmówca, nie przypuszczał, ani do głowy nikomu nie przychodziło co przynieśli wojna. Z racji mego wychowania obce mi były hasła antysemickie, jak również szowinizm narodowy, ale perspektywy utworzenia nowego narodu nad Wisłą wydawały mi się szokujące. Oczywiście, nie dyskutowałem, a tylko słuchołem co mówi mój rozmówca, który widać chciał się wygadać, a ja byłem uważnym słuchaczem. Blondyn próbował ze mną rozmawiać po niemiecku, bo on też uważał za oczywiste, że mnie z Matką odeślą na "tamtą stronę". Recytowałem mu wiersz "Erl König" - twierdził, że mam dobry akcent. Mój rozmówca niezachwianie wierzył, że zarówno on, jego

tej przez Niemców na tereny zajęte przez Rosjan, bo tylko tu (to znaczy u Rosjan - jak wtedy się mówiło u Sowietów) będą mogli kontynuować swoją działalność. Klęskę wrześniową i rozbiór Polski uważał za oczywistą sprawę, ponieważ Polacy przed wojną ^{przez} naśladowali Żydów. Granicę przeszli w towarzystwie dwóch dziewczyn, a jedna z nich - nazywał ją Busia - była jego narzeczoną. Na jego prośbę sprawdzałem, czy siedzi Busia w celi razem z Matką, ale takiej tam nie było, widać była jeszcze jedna cela dla kobiet. W trakcie rozmowy jakoś wynikła sprawa narodowości Busi. Zostałem wtedy objaśniony, że Busia jest Żydówką, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo jest bezwyznaniowa. Dalej mój rozmówca powiedział, że gdyby stale Polacy żenili się z Żydówkami, a Żydzi z Polkami, to powstałby jeden naród, w którym by nie było żadnego problemu narodowościowego ani religijnego. Roztaczał ten Blondyn perspektywy, jakie to życie wspaniałe zapanowałoby w Polsce zaludnionej przez jeden naród polsko-żydowski, czy też żydowsko-polski. Jak wtedy nie byłoby problemu antysemityzmu, jacy bylibyśmy potężni. Nie tracił nadziei, że do takiego utworzenia nowego narodu nad Wisłą dojdzie w najbliższej przyszłości. Wtedy w końcu grudnia 1939 r. nikt, ani mój rozmówca, nie przypuszczał, ani do głowy nikomu nie przychodziło co przynieś wojna. Z racji mego wychowania obce mi były hasła antysemickie, jak również szowinizm narodowy, ale perspektywy utworzenia nowego narodu nad Wisłą wydawały mi się szokujące. Oczywiście, nie dyskutowałem, a tylko słuchałem co mówi mój rozmówca, który widać chciał się wygadać, a ja byłem uważnym słuchaczem. Blondyn próbował ze mną rozmawiać po niemiecku, bo on też uważał za oczywiste, że mnie z Matką odeślą na "tamtą stronę". Recytowałem mu wiersz "Erl König" - twierdził, że mam dobry akcent. Mój rozmówca niezachwianie wierzył, że zarówno on, jego

trzej koledzy, Busia i koleżanka zostaną łąda godzina zwolnieni. Przecież sami zgłosili się w grudniu 39^{roku} do sowieckiej placówki granicznej prosząc o wydanie jakiejś przepustki czy zaświadczenia, ażeby w razie legitymowania mogli legalnie pojechać do Lwowa. Widać trochę czasu potrwa wypisanie tych zaświadczeń. Przy każdym otwieraniu drzwi przez strażnika podskakiwali do wyjścia licząc, że ich wypuszczają. Zostali wszyscy czterej przewiezieni tym samym transportem dn. 7 stycznia 40^{roku} do więzienia Brygidki we Lwowie. Dalsze ich losy są mi oczywiście nieznane. Szczególnie ci czterej, a także Ukraińcy starali się rozmawiać ze strażnikami-żołnierzami. Pozostali więźniowie raczej trzymali się z daleka, ale wszyscy byli ciekawi co powiedział żołnierz. Widać było, jeżeli w danym momencie miał trochę czasu, to chętnie rozmawiał z więźniami. Na wszystkie pytania co z nami zrobią, żołnierze odpowiadali, jak to dobrze się żyje w Związku Radzieckim, jak dużo wszyscy mają chleba - to szczególnie podkreślali - wszyscy mają pracę zgodnie z kwalifikacjami. Teraz jak wyzwolili z pańskiej niewoli Zachodnią Ukrainę i Białoruś, to tutaj też będzie tak dobrze. Twierdzili, że wszystkich niedługo wypuszczą, a w ogóle to odpowiadali: „*Ня нуцего! Все быгем хопово!*” (To wszystko nic - bez znaczenia! Wszystko będzie - to znaczy skończy się - dobrze!). O tej treści rozmów dowiedziałem się od mego rozmówcy - Blondyna, który znajdował w tych oświadczeniach pełne potwierdzenie swoich teorii co do dalszych losów więźniów. Ja nie mogę powiedzieć, ażebym wierzył lub nie wierzył w te oświadczenia. Po prostu czekałem i wiedziałem, że nie wolno mi o nic prosić, bo to by mnie poniżało. Zima panowała nadal, był mróz i leżał duży śnieg.

W niedzielę 31 grudnia zauważyłem duży ruch koło budynku stołówki. Żołnierze wnosili świeże ścięte świerki-choinki. Pra-

wie całą noc rozlegały się stamtąd dźwięki wesołej muzyki, grała orkiestra wojskowa. Śpiewy i śmiechy rozlegały się donośnie. Blondyn objaśnił, że Sowieci robią choinkę i mają wielkie święto na Nowy Rok, bo nie uznają żadnych Świąt Bożego Narodzenia ani innych świąt kościelnych. W celi nastrój był raczej smętny. Jeden z chłopów ukraińskich stale biadolił, jaka to mu się dzieje krzywda i siedzi za nic, bo poszedł tylko do krewnych, którzy byli na "drugiej stronie". Inni uspakajali go, żeby nie biadolił, za kilka dni będzie w domu, bo przecież z nami siedzi taki smarkacz - pokazując na mnie - jest spokojny, to przecież nic złego nikomu się nie stanie. Moja osoba była wielokrotnie przytaczana jako argument: przecież ten smarkacz siedzi z nami, jest tak samo traktowany, to znaczy, że wszystkich lada dzień zwolnią. Bo jak można inaczej potraktować takiego małoletniego, jak tylko zwolnić. Ja słuchałem tych i temu podobnych wywodów i milczałem.

Pewnej nocy, już położyłem się spać, normalnie z butami pod głową, jak wszedł żołnierz, kazał mi się ubrać i wyjść na korytarz. Zrobiłem tak, jak kazał. Wyszedłem ubrany w płaszcz na korytarz, pusty - przechodzali się tylko strażnicy. Obok stał żołnierz ubrany w półkożuszek, w zimowej czapce na głowie. Obmacał mi kieszenie, kazał wziąć ręce w tył, wyciągnął z kabury rewolwer "Nagan" i powiedział: marsz, przede mną, jak pobiegiesz - zastrzelę. Mimo, że mówił po rosyjsku zrozumiałem go dobrze; jak widać szybko postępowała nauka języka rosyjskiego. Wyszliśmy na dwór. Ja z przodu, on z rewolwerem - z tyłu za mną. Byłem zaciekawiony dokąd mnie prowadzi, bo do głowy mi nie przychodziła myśl, że tak może wyglądać, bez sądu i wyroku, droga na tamten świat. A zresztą nie widziałem żadnych powodów ażeby miało mnie, ot tak sobie, zastrzelić. Wyszliśmy z koszar przez war-

townię na dość szeroką, chyba główną ulicę Rawy Ruskiej. Była mroźna noc, gwiazdy błyszcząły, szliśmy wąską, wydeptaną ścieżką. Ulica była zupełnie pusta. Mój "opiekun" od czasu do czasu tylko komenderował: prosto, w prawo, w lewo. Wreszcie skierował mnie na wprost do głównego wejścia oddzielnie stojącego parterowego budynku, raczej dużej willi. Przed budynkiem spacerował wartownik z karabinem. Mój opiekun coś zawołał do wartownika i weszliśmy wewnątrz budynku. Od razu zostałem wprowadzony do obszernego pokoju urządzonego jak gabinet do pracy. Willa ta prawdopodobnie była zamieszkała przed wojną przez polskiego oficera. W pokoju było ciepło, a całe urządzenie przypominało mi normalne warunki, w jakich wyrosłem. Za biurkiem siedział w mundurze oficera marynarki sowiecki oficer. Miał na mankietach mundur naszyte galony, chyba dwa paski wąskie i jeden szeroki. Strażnik, który mnie tu doprowadził, wyszedł. Siedzący za biurkiem oficer marynarki ruchem ręki pokazał ażebym zdjął płaszcz i czapkę i bym usiadł na krześle przed biurkiem. W pokoju świeciła się tylko lampa z ładnym abażurem stojąca na biurku. Marynarz - tak będę nazywał przesłuchującego mnie teraz - zapytał najpierw o podstawowe dane personalne porównując jednocześnie treść moich odpowiedzi z zapisami na arkuszu wpiętym do tekturowej teczki. Z łatwością zorientowałem się, że są to zapisy zrobione w trakcie przyjęcia mnie do więzienia w Rawie Ruskiej dn. 27 grudnia 39 r. Marynarz uznał, że wszystko jest zapisane prawidłowo. Muszę dodać, że marynarz mówił wyłącznie po rosyjsku, a ja wyłącznie po polsku. Był to młody, około 30-letni człowiek, mówił powoli, wyraźnie, czasem kilkakrotnie powtarzał pytania w innym ujęciu, jeżeli widział, że nie rozumiem. Całe to przesłuchanie miało wręcz charakter towarzyskiej, spokojnej rozmowy. Następne pytania to również dane personalne, ale można powie-

dzieć, pogłębione. Od tego miejsca marynarz prowadził notatki. .
Mianowicie: Ojciec - imię - Ludwik, imiona rodziców ojca: Kazimierz i Waleria. Nazwisko panieńskie Matki - Ciemochowska, imiona rodziców matki: Edward i Bronisława. Ojciec: kim był, gdzie służył, w jakim stopniu, na jakim stanowisku i co się z nim dzieje. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą. W tym czasie zobaczyłem, że moje dokumenty skonfiskowane od razu przy pierwszym przesłuchaniu na granicy, leżą na biurku. Matka - to samo, ale tu była sprawa prosta, bo nie pracowała zawodowo. Dalej mój rozmówca powiedział, ażebym opowiedział swój życiorys. Opowiedziałem. Spytał się dlaczego chciałem przekroczyć granicę. Powiedziałem, że chciałem wrócić do domu. Spytał się również i starannie zapisał ostatni adres zamieszkania do wybuchu wojny, to jest adres w Legionowie. Gdzie mieszkaliśmy w Żółkwi nie interesowało go. Dokładnie wypytał o stan majątkowy rodziców. Powiedziałem, że mieli działkę i dom jednorodzinny. Bardzo szczegółowo wypytywał, jaki to był dom, ile pokoi, jak urządzony, jaki duży był ogród. Pytał czy mieliśmy służbę i jaką. Potem przeszedł do pytań dotyczących gimnazjum. Kim byli uczniowie (to znaczy z jakich rodzin pochodzili), dziwił się trochę, że uczniowie pochodzili ze wszystkich warstw społecznych. W mojej klasie było 4 uczniów - synów chłopów ukraińskich, wyznania prawosławnego, było 2 Żydów, byli synowie drobnych rzemieślników czy sklepikarzy. Synów oficerów było kilku. Pytał o naukę religii, jakie były przedmioty, jakich języków obcych się uczyłem, czy uczyłem się o Związku Radzieckim. Dziwił się również, jak mu podałem cały szereg danych znanych mi z lekcji geografii. Pytał dalej czym zajmowałem się w harcerstwie. Interesował się, jak wyglądało nasze życie w domu, czy dużo bywało gości i czy często bywały przyjęcia. Powiedziałem, że goście bywali rzadko, a przyjęć to faktycznie nie było. - Pytał,

co robiło rodzeństwo moich rodziców i gdzie mieszkali. Tu zadowolili się wiadomością, że mieszkają w Warszawie, ale dokładnych ich adresów nie żądał. Po prostu wypytywał mnie o całe moje 15-letnie życie, a ja odpowiadając na wszystkie pytania zgodnie z prawdą, nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, jaki groźny protokół fabrykuje mój sympatyczny marynarz. Wreszcie marynarz przeczytał mi powoli, po rosyjsku cały wielostronicowy protokół i kazał podpisać na każdej stronie. Zrozumiałem to co czytał marynarz piąte przez dziesiąte, ale to co zrozumiałem pokrywało się z tym co mówiłem. Podpisałem każdą stronę, marynarz zawołał strażnika-żołnierza, który mnie przyprowadził. Włożyłem płaszcz, ręce w tył i odbyliśmy spacer z powrotem do tej samej celi w więzieniu na terenie koszar. Kilka godzin trwała ta pogadanka, a było to przesłuchanie. W celi wcisnąłem się na swoje miejsce i usnąłem. Moje nocne przesłuchanie nie wzbudziło w celi specjalnego zainteresowania, gdyż wszyscy inni albo byli już tak przesłuchani, albo miało to nastąpić lada noc. Ja o tym nie wiedziałem wcześniej, bo po prostu twardo spałem, jak zwywano kogoś w nocy. W dzień powiedziałem Mamie o mojej nocnej wizycie. Dowiedziałem się, że Mama była poprzedniej nocy przesłuchiwana przez tego samego sympatycznego oficera marynarki. Do tego tematu nie wracaliśmy, każde z nas powiedziało prawdę o swym życiu nie zdając sobie sprawy, że fabrykuje sam na siebie materiał oskarżycielski. Całe moje dotychczasowe życie, jak potem się okazało, było właściwie jednym pasmem przestępstw, co potwierdzała próba nielegalnego przekroczenia granicy ustalonej w sierpniu 39 r. na terytorium Polski, powiedzmy przez Ribentropa z Mołotowem.

Tak minęły dni w więzieniu na terenie koszar do poranka dn. 7 stycznia 1940 r., była to niedziela. Zaraz po porannych ob-
rządkach i wydaniu chleba i herbaty, strażnik-żołnierz otworzył

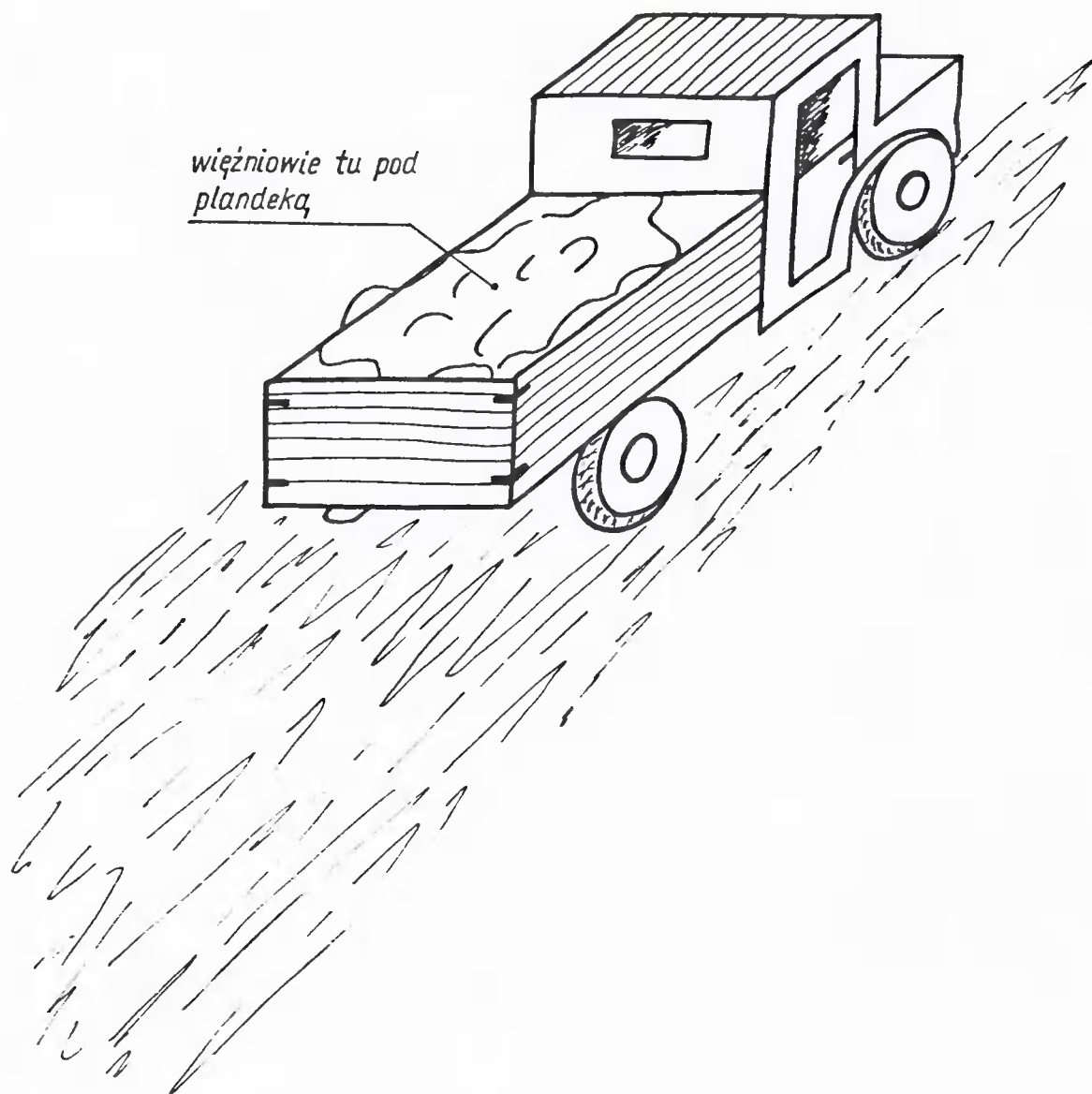
drzwi i wyczytał sporą listę nazwisk, w tym i moje, krzyząc:
„Собирайтесь вещами!” (Wychodzić z rzeczami!). Pobyt w więzieniu
w Rawie Ruskiej trwał od wieczora 27 grudnia 39 do poranka 7
stycznia 1940 r., a zatem pełnych 10 dni i jedną noc.

4. TRANSPORT DO WIĘZIENIA WE LWOWIE

(Etap: Rawa Ruska - więzienie Brygidki, Lwów)

W celi wszyscy byli bardzo poruszeni. Przeważały głosy: patrzcie dziś niedziela, na pewno nas zaraz zwolnią. Próby rozmów ze strażnikami nie dawały rezultatu, bo byli zajęci i odpowiadali: „*Ничего! Хорошо, хорошо*” (Nic takiego! Dobrze, dobrze!). Wyprowadzono wszystkich przed budynek, mnielołączono do Matki stojącej w grupie kobiet. Strażnicy-żołnierze zakazali rozmów, ręce w tył, stać spokojnie. Cały teren przed budynkiem był otoczony żołnierzami i karabinami, uzbrojonymi w bagnety, w rękach. Podjechały cztery ciężarówki z odkrytymi skrzyniami ładunkowymi. Mężczyzn podzielono sprawnie na 3 grupy, a kobietom i mnie kazano wsiadać do czwartej. Mężczyznom żołnierze kazali się położyć lub usiąść na podłodze skrzyni w przygiętej postaci, całość przykryto brezentem. Brezent dokładnie przysznurowano do uchwyty metalowych na brzegach burt samochodu. W czterech rogach usiedli żołnierze z karabinami uzbrojonymi w bagnety. Do każdej kabiny obok kierowcy wsiadł także jakiś starszy stopniem z rewolwerem na pasie. Jeszcze w czasie załadunku i postoju, po zasznurowaniu brezentu, jak ktoś się ruszał, to żołnierz szturchał go kolbą przez brezent i krzyczał, że ma siedzieć albo leżeć spokojnie, bez ruchu. Ciężarówka taka, zresztą oczywiście wojskowa, wyglądała na normalny transport wojskowy i żadnemu przechodnicwi do głowy by nie przyszło, że to jest transport więźniów. Ot, po prostu jakiś wojskowy transport z ładunkiem przykrytym brezentem, a takich ciężarówek jeździło dużo. Chyba nawet ja widziałem takie w Żółkwi. Dla kobiet zrobiono wyjątek. Kazano siedzieć na podłodze skrzyni ładunkowej ciężarówki, ale nie przykryto brezentem. Załadunek przebiegł bardzo sprawnie, bez incydentów, widać było, że ci żołnierze mają dużą wprawę w prowadzeniu ta-

Transport więźniów odkrytym samochodem ciężarowym



kich operacji. Przed odjazdem usłyszałem jeszcze zwrot: „Попытка побега, один шаг бегами, оружие будет применено без предупреждения!”

(Próba ucieczki, jeden krok biegiem, broń będzie użyta bez uprzedzenia). Robiłem postępy w nauce języka rosyjskiego. Oczywiście w rogach skrzyni załadowanej kobietami, ^(do której mnie także wsadzono) również usiedli żołnierze z karabinami uzbrojonymi w bagnety. Transport ruszył. Ach, jeszcze jedno - w czasie załadunku bardzo starannie przeliczono ilość więźniów w całości oraz oddzielnie w każdej ciężarówce. Był mroźny, jasny, nawet słoneczny dzień, pokrywa śnieżna gruba. Szosa była przetarta. Rozglądałem, a raczej gapiłem się, gdyż żołnierze nie pozwalali rozglądać się i kręcić głową lub wykonywać jakieś ruchy rękami. Jechaliśmy tą samą zaśnieżoną drogą, którą kilka dni temu jechaliśmy autobusem do granicy. Teraz wieziono nas w odwrotnym kierunku. Wjechaliśmy do Żółkwi. W czasie przejazdu przez Żółkiew ciężarówki zwolniły. Na chodnikach było dużo ludzi, była niedziela i ludzie wychodzili do kościoła. Kościoły były wtedy jeszcze otwarte. Patrząc na ludzi dojrzałem stojącego na chodniku i przyglądającego się tej kolumnie wojskowej, Jurka, syna tych państwa, u których mieszkaliśmy przez kilka dni przed odjazdem na granicę. Jurek także spostrzegł i poznał mnie. Na jego twarzy jeszcze dojrzałem ogromne zdumienie i przestrasz. Trwało to tylko chwilę. W każdym bądź razie wystarczyło, ażeby po wkroczeniu Niemców do Żółkwi w 1941 r. powiedzieć to pani Fischerowej, która tam przyjechała po resztę swoich gratów, że zostaliśmy aresztowani. Dowiedziałem się o tym oczywiście po wojnie i to dopiero w 1946 r., ale to inna historia.

Konwój skierował się na drogę do Lwowa, znaną mi z czasu pobytu w Żółkwi. Już bez żadnych zdarzeń przejechaliśmy drogę do Lwowa. Tam nie znanymi mi ulicami podjechaliśmy pod żelazną

bramę umieszczoną w bardzo wysokim, szarym murze z drutami kolczastymi na szczycie. Było oczywiste, że podjechaliśmy pod więzienie. Brama, dwuskrzydłowa, szybko została otworzona, ciężarówka wjechała na podwórze i również szybko została zamknięta. Eskorta zaraz zeskoczyła z ciężarówek, rozsnurowała brezenty i kazała wszystkim z rzeczami wysiąść. Znający Lwów szeptem oznajmili: jesteśmy w więzieniu św. Brygidy, tak zwanych Brygidkach we Lwowie. Rozpoczęła się procedura przyjęcia do więzienia. Zaczął zapadać wczesny zmierzch zimowego, krótkiego dnia 7 stycznia 1940 r.

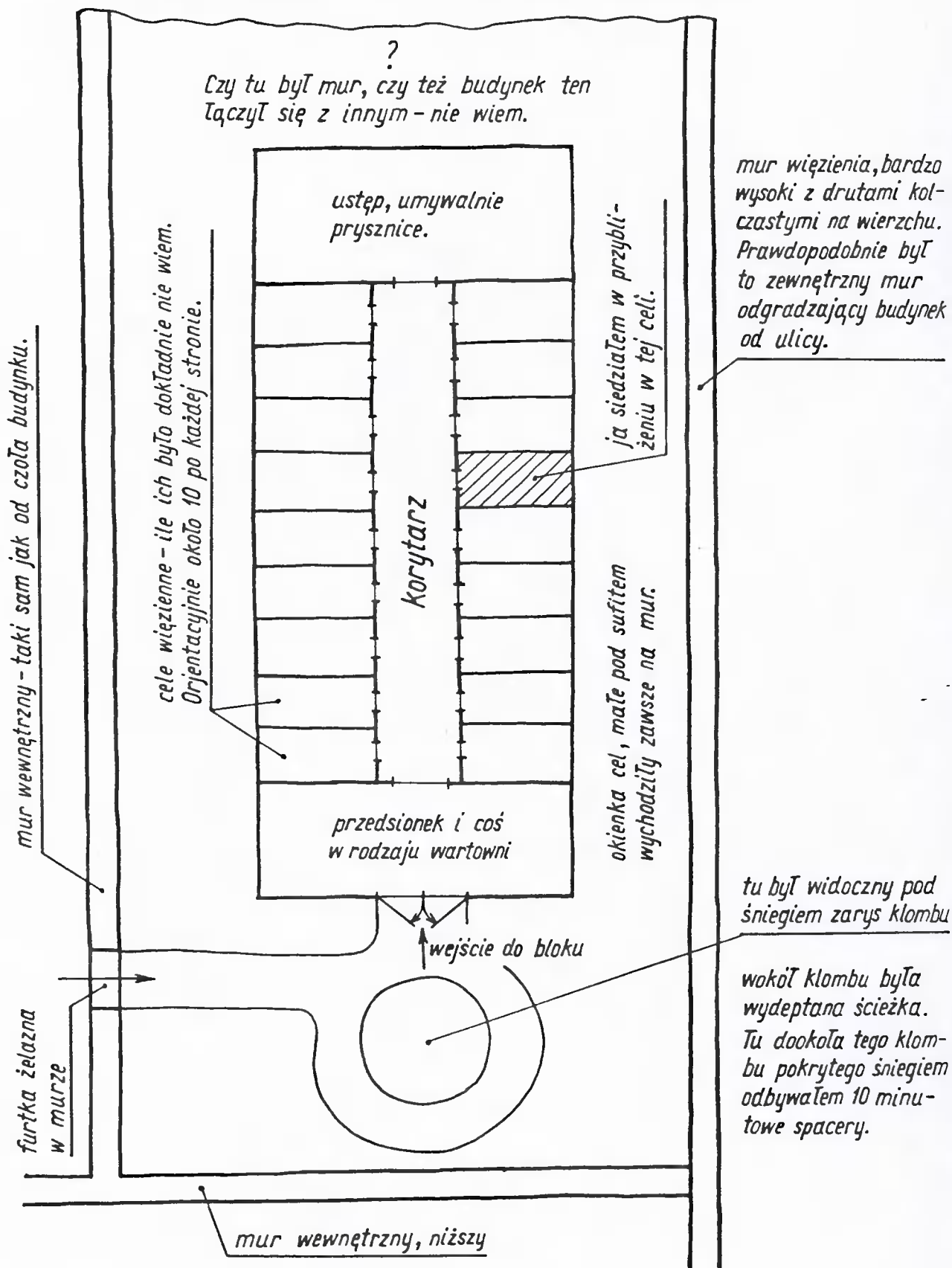
Sprawnie zaczęto więźniów grupami wprowadzać do najbliższego budynku. Mnie z Mamą wprowadzili również, żołnierz nas prowadzący coś powiedział, dając jednocześnie znak, że ja będę odprowadzony w drugą stronę. Na korytarzu więziennym Mama wyjęła z tobołka i dała mi: sweter - ciepły wełniany z rękawami, dwa ręczniki, dwie koszule i po dwie sztuki bielizny. Zawinałem to wszystko w koc. Ucałowałem Mamę, a żołnierz mnie już poganiał: *Швцмpee! Швцмpee!* (szybciej, szybciej!) i zostałem odprowadzony schodami na I piętro. Mama została na korytarzu. Nie myślałem wtedy, że możemy się nigdy już nie zobaczyć. (2)

Zostałem wprowadzony do dość dużej sali. Na przeciw drzwi, w odległości ok. 3 m stały stoły, prawie jeden przy drugim. Za stołami stali lub siedzieli mężczyźni w mundurach, a niektórzy po cywilnemu. Mnie żołnierz doprowadził do cywila. Ten cywil, chyba Polak, mówił normalnie po polsku, kazał mi wypróżnić na stół wszystkie kieszenie ze wszystkich przedmiotów. Położyłem mój srebrny zegarek, portmonetkę, portfel, scyzoryk i jeszcze jakieś drobiazgi. Cywil wyszedł wtedy zza stołu, podszedł do mnie i zrewidował mnie wszystkie kieszenie wykładając na stół dodatkowo wieczne pióro, ołówek i coś tam jeszcze. Następnie ka-

zał zdjęć i położyć na stole szalik (piękny wełniany, szary, duży i ciepły), krawat, pasek, sznurowadła z butów oraz szelki. Wrócił za stół i wypisał pokwitowanie, po rosyjsku. Na pozostałe przedmioty też wypisał drugie pokwitowanie. Obydwa pokwitowania dał mnie. Były to kawałki bardzo cienkiego, tak jak bibułka, papieru formatu A5.

Pióro, scyzoryk, ołówek odłożył na bok, zegarek odłożył do szuflady. Zobaczyłem, że leżało tam dużo różnych zegarków. Pozostałe wszystkie przedmioty zawinął w szalik. Zrobił się z tego mały, okrągły tłumoczek spięty agrafką. Wziął ten tłumoczek i cisnął na kupę analogicznych różnych tłumoczków leżących już w ogromnym stosie wysokości chyba ze 2 metry pod drugą ścianą. Pomyslałem w tym momencie, że trudno będzie znaleźć mój szalik z drobiazgami, jak będę zwalniany z więzienia. W ślad za tą myślą przyszła druga: a może władze tak bardzo nie będą się martwić z problemem oddawania moich przedmiotów. Trwało to tylko chwilę, ta cała procedura była prowadzona sprawnie i szybko, bo strażnicy stale doprowadzali następnych więźniów. Cywil mnie rewidujący skończył ze mną, coś zawołał, podszedł do mnie żołnierz i kazał iść przed sobą. Kierując mną wyszliśmy na podwórze. Była już kompletna noc, mróz panował siarczysty. Każdy blok był oddzielony murami. Na tych podwórzach stali jak posągi żołnierze z karabinami. Przechodząc przez kolejne podwórze usłyszałem straszny, rozdzierający krzyk, wprost nieludzki. Krzyk długi, przeciągły, przechodzący wprost w wycie z bólu. Drgnąłem, mróz przeszedł mi po krzyżach, odruchowo rozejrzałem się. Żołnierz idący za mną ponaglił mnie do marszu naprzód. Weszliśmy do małego podwórka przed parterowym budynkiem. Weszliśmy. Żołnierz coś powiedział żołnierzowi siedzącemu przy wejściu do dość długiego korytarza. W korytarzu było ciepło, jasno świeciły żarówki i widać było drzwi do cel po obu stronach korytarza. Żoł-

Pawilon w więzieniu „Brygidki” we Lwowie



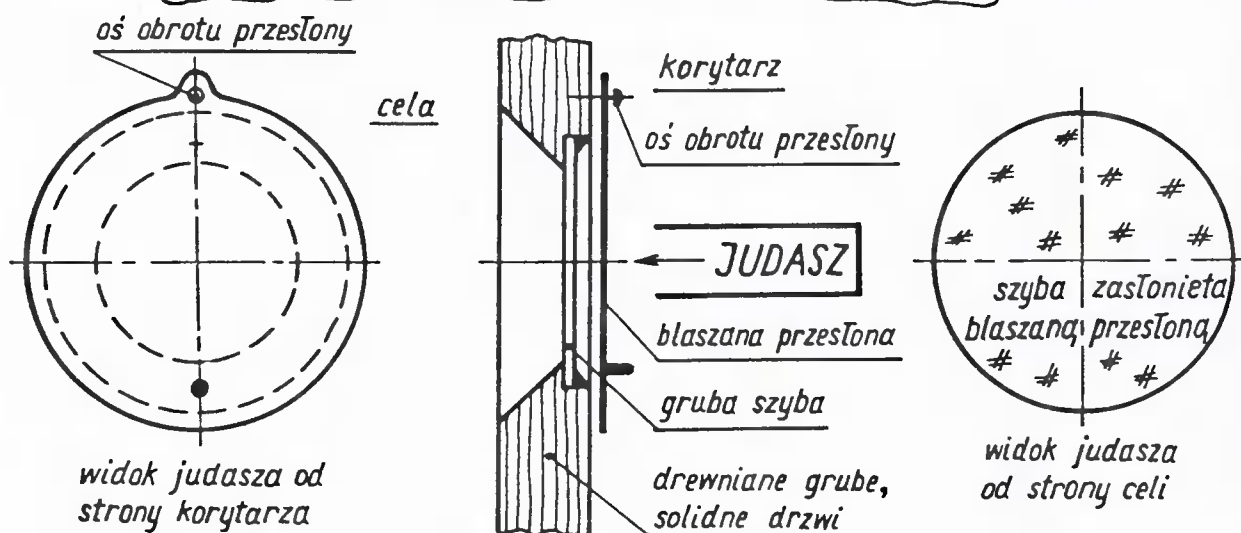
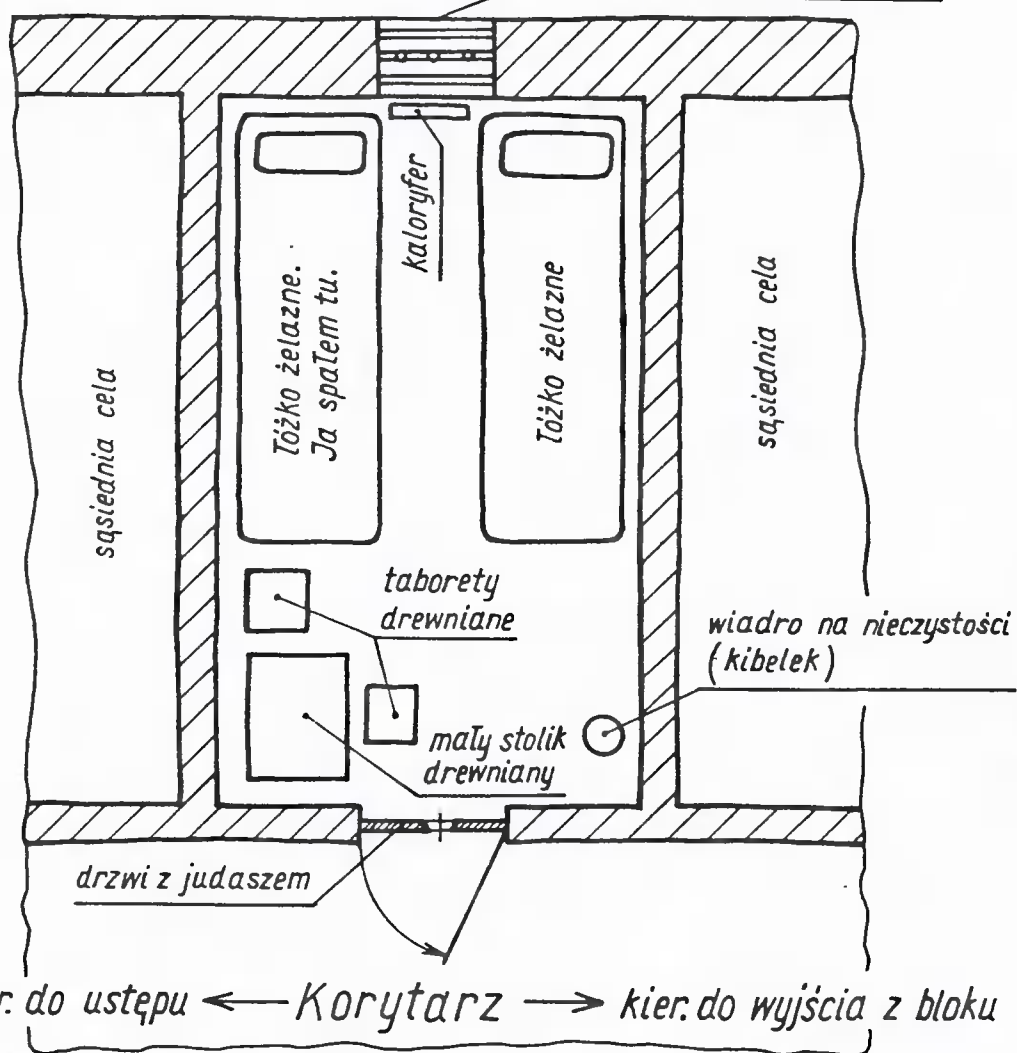
nierz-strażnik na korytarzu kazał mi iść przodem, zatrzymał mnie na wysokości piątych czy szóstych drzwi do celi po prawej stronie. Strażnik popatrzył przez "judasza", odsunął rygle, otworzył drzwi i gestem ręki kazał wejść do środka. Wszedłem, zatrzymałem się w celi jakieś dwa kroki od drzwi. Usłyszałem za sobą zamykanie drzwi celi i trzask rygli. Znalazłem się w celi więzienia Brygidki we Lwowie. Był wieczór dn. 7 stycznia 1940 r. (niedziela).

5. WIĘZIENIE "BRYGIDKI" we LWOWIE

Stojąc niedaleko od drzwi zobaczyłem prawdziwą małą celę więzienną, przeznaczoną na dwie osoby. Pod ścianami stały dwa żelazne łóżka. Na jednym z nich, na prawo, siedział, a właściwie poderwał się z pozycji leżącej, postawny mężczyzna, brunet w wieku 35-40 lat. Patrzył na mnie jak gdyby z rozczarowaniem, że to kogoś nowego wprowadzono. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania wyniesionymi z domu, podszedłem do niego, stuknąłem obcasami butów (z pewną trudnością, bo buty były bez sznurowadeł), powiedziałem "Dobry wieczór", przedstawiłem się imieniem i nazwiskiem i podałem rękę. Współwięzień jak gdyby odruchowo podał mi rękę i wymamrotał nazwisko. Nigdy się nie dowiedziałem, jakie miał nazwisko i właściwie niewiele mnie to interesowało. Zapytał mnie kto ja jestem i jak tu trafiłem. Powiedziałem, oczywiście w wielkim skrócie. Zobaczyłem, że jakieś wrażenie, połączone z zaniepokojeniem, wywołała u niego wiadomość, że jestem synem oficera i zostałem zatrzymany przy próbie przejścia granicy na "tamtą stronę", można powiedzieć z użyciem broni palnej. Ale nie o mnie mój współlokator się zaniepokoił, a tylko o siebie. Na razie pokazał mi wolne łóżko, Ułożyłem swój majątek, rozebrałem się. Tego pierwszego wieczoru już nic specjalnego się nie działo; wyprowadzono nas dwóch tylko do ustępu, gdzie umyłem się trochę oraz otworzył żołnierz drzwi, przeliczył nas dwóch (obok stał drugi żołnierz) i powiedział coś, co miało znaczyć, że mamy spać. Żarówka nad drzwiami świeciła się stale. W budynku panowała kompletna cisza. Łóżko było żelazne, podkład stanowiły deski, na tym leżał cienki włosienny materac, prześcieradło, koc i mała poduszczyca wypełniona słomą. Z ulgą się rozebrałem, po raz pierwszy od 22 grudnia 39 r., położyłem

Cela w więzieniu „Brygidki” we Lwowie

małe okratowane okienko pod sufitem. Widok na mur więzienny.



się i dość szybko usnąłem.

Parterowy budynek, w którym mieściła się moja cela był blokiem więziennym przeznaczonym przed wojną dla kobiet. O tym dowiedziałem się nieco później od bywalców więzień jeszcze za czasów polskich, z którymi spotkałem się jeszcze w "Brygidkach". Budynek ten był otoczony odrębnym murem wewnątrz więzienia. Inne bloki też tak były odseparowane od siebie. Widziałem to, jak mnie prowadzono do tego bloku, przechodząc przez żelazne furtki w murze. Cela miała wymiary: około 3,5 m długości, ok. 2,2 m szerokości, ok. 2,8 m (a może nawet 3,0 m) wysokości. Podłoga z desek. Okienko pod sufitem z bardzo solidnymi, gęstymi, kutymi kratami z grubych (2x2 cm) prętów. Ramy okienne drewniane, podwójne, szyby przezroczyste, nie zamalowane, widok na mur więzienny. Jak się stało pod okienkiem to było widać kawałek nieba. Pod okienkiem był umieszczony kaloryfer. Ogrzewanie w całym tym bloku było centralne, działało bardzo dobrze i przez cały czas w celi było tak ciepło, że w dzień byłem tylko we flanelowej koszuli, czasem jeszcze w swetrze. Mrozy tej zimy 1940 roku były bardzo duże, podobno dochodziły do -30°C , we Lwowie. Wyposażenie celi to dwa żelazne łóżka, które opisałem, dwa taborety, stolik drewniany, nad stolikiem mała drewniana półeczka z dwoma deseczkami, jedna nad drugą. Całe wyposażenie celi było jeszcze polskie. Było czysto. Porządek dnia był następujący: rano klucznik-żołnierz stukał głośno do drzwi - pobudka; wyrowadzenie do ustępu i umywalni; przeliczenie stanu osobowego celi; śniadanie - chleb czarny na cały dzień, kawa zbożowa (słodzona symbolicznie), kawałek kiełbasy (mały!); obiad - zupa, przeważnie jakaś kasza, a czasem trafiało się jakiś strzęp, który mógłby uchodzić za mięso; kolacja - przeważnie bardzo rzadka jakaś zupka. Naczynia, to znaczy blaszane kubki i również bla-

szane miski, łyżki aluminiowe wydawano w czasie wydawania posiłków, a po zjedzeniu zabierano. Jedzenie wydawano przy drzwiach. Klucznik-żołnierz otwierał (częściowo) drzwi, a do misek nalewał osobnik ubrany po cywilnemu, widać było, że to więzień, a drugi taki więzień stał z boku. Tych dwóch więźniów przenosiło kociołek z zupą, chleb i naczynia od celi do celi. Wydawanie posiłków odbywało się w kompletnym milczeniu. Klucznik^k-żołnierz stał tak i trzymał drzwi, że gdyby zauważył próbę porozumienia się więźnia w celi z więźniem wydającym posiłek, to mógł w każdej chwili zatrzaskać drzwi. Przez cały okres czasu pobytu w więzieniu "Brygidki" nie zobaczyłem żadnego z więźniów siedzących w innej celi tego bloku oraz naturalnie z innego bloku. Izolacja wobec innych więźniów była zupełna. Widziałem tylko milczących innych więźniów wydających posiłki. Żeby zakończyć tę problematykę, to dla pełnej jasności dodam: więźniowie każdej celi byli wyprowadzani oddzielnie, np. do ustępu czy do umywalni. Klucznik-żołnierz miał buty podzielowane gumą. Chodził, jak tylko chciał, cicho jak duch i podglądał więźniów w celi. Zbliżając się cichutko do drzwi bezszelestnie uchylał leciutko blaszaną przesłonę i patrzył przez małą szparę co robią więźniowie. Bardzo szybko nauczyłem się spostrzegać, kiedy za szybką judasza drgnęła blaszana przesłona, to wtedy już wiedziałem, że jestem obserwowany. Klucznicy-żołnierze na korytarzu nie posiadali żadnej broni; byli zamknięci z zewnątrz w korytarzu bloku. Jako zasadę stosował klucznik-żołnierz metodę: jeżeli się zastukało w drzwi, to klucznik podchodził, patrzył przez judasza i pytał o co chodzi. Z otwieraniem drzwi się nie śpieszył. Pisząc o wyposażeniu nie wymieniłem naistotniejszego sprzętu: było wiadro z pokrywą na nieczystości. Taki mały kibełek. Sprzęt bardzo potrzebny. Wynosiło się zawartość dwa razy dziennie: rano i wie-

czorem. Dzień kończył się wyprowadzeniem do ustępu i przeliczeniem stanu osobowego celi. Klucznicy na ogół pozwalali w ciągu dnia siedzieć lub leżeć na łóżku, ale było takich jeden czy dwóch, którzy tego zabraniali. Spać musiało się w pozycji głowa przy ścianie, nogi w kierunku drzwi. Nie wolno było nakrywać się na głowę, ani zasłaniać oczu, np. chustką od nosa. Ponieważ żarówka była umieszczona nad drzwiami, to światło świeciło prosto w oczy. Trochę trudno było przyzwyczać się do takiego spania, ale cóż, innego wyjścia nie było. Naruszenie tego przepisu powodowało natychmiast reakcję ze strony klucznika. Stukanie w drzwi, budzenie, grożenie karcerem. Klucznik, jak był sam, to do celi nigdy nie wchodził. Rozpisałem się o tych sprawach, bo we wszystkich więzieniach, w których siedziałem obowiązywały te podstawowe zasady. Obowiązywała pełna izolacja, jak do celi nie doprowadzono nowego więźnia, to nie wiedziało się nic co dzieje się na świecie. Oczywiście, żadnych gazet ani książek nie dawano, każdy kawałek papieru lub chociażby grafit od ołówka był odbierany natychmiast, jeżeli ktoś zdołał to przemycić przez rewizję. Czasem udawało się to, ale posiadanie trwało niedługo.

Warunki, wyposażenie cel w więzieniu "Brygidki" były najlepsze ze wszystkich więzień, w jakich siedziałem. Było to naturalne, bo więzienie "Brygidki" było polskim więzieniem, zmieniła się tylko obsługa oraz lokatorzy. W czasie mego pobytu w tym więzieniu w ciągu 3 miesięcy (styczeń, luty, marzec 1940 r.) warunki stale się pogarszały.

Zaczęły monotennie płynąć dni. Mój współwięzień był Żydem, w znacznym stopniu spolonizowanym, po polsku mówił poprawnie. Oczywiście, zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. A oto, co mi opowiedział: był właścicielem niewielkiego sklepu - niestety, uszło mojej uwadze, w jakiej miejscowości - tak zwanego galanteryjno-

bławatnego, to znaczy z różnymi materiałami. O tym swoim interesie mówił niewiele. Był wdowcem, miał syna 9- czy 10-letniego. Jak przyszli Niemcy zorientował się, że może być źle, więc postanowił przejść na Ruską stronę. Było to również celowe, gdyż miał we Lwowie stale mieszkającą siostrę. Zostawił interes (tzn. sklepik) jakiemuś krewnemu i z synem w połowie października 1939 r. przeszedł bez najmniejszego trudu i kłopotów tak zwaną granicę w rejonie Rawy Ruskiej. Po przejściu granicy, zamiast wsiąść do pociągu lub do autobusu, komunikacja była już uruchomiona, zgłosił się razem z synem do sowieckiego komendanta posterunku w przygranicznej wiosce. Opowiedział skąd jest, że przyszedł do przyjaciół - sowietów i pragnie pojechać do Lwowa do siostry i na stałe zamieszkać we Lwowie. Został przyjęty bardzo życzliwie, komendant i inni sowieccy wojskowi zorganizowali uroczysty obiad, zapewnili o przyjaźni, zaprowadzili na kwaterę w wiosce i powiedzieli, że zawiozą go również do Lwowa, do siostry. Opowiadał o tym wprost z czułością i ogromną sympatią do sowieckich żołnierzy. Rzeczywiście, na drugi, czy na trzeci dzień, a mieszkał na kwaterze, jak mówił, nie pilnowany, podjechał wojskowym samochodem jeden z komandirów z kierowcą, spytali go jeszcze o adres siostry we Lwowie i zawieźli wprost do więzienia w Brygidkach. Zaprowadzili go z synem najpierw do zarządu więzienia, gdzie jakiś ważny komandir wypytał go szczegółowo dlaczego przeszedł granicę, kim jest, gdzie mieszka siostra itd. Po rozmowie powiedzieli mu, że muszą to wszystko sprawdzić i tylko na trochę, no na kilka dni zatrzymają go w więzieniu. Zapewnili go, że nie jest aresztowany, a to zatrzymanie to dla jego dobra. Wsadzono go z synem (9-10-letnim) do tej celi, w której teraz jesteśmy. Potem został, po kilku dniach wezwany, można powiedzieć, na przesłuchanie, ale mój rozmówca twierdził, że była to towa-

rzyska rozmowa. Przesłuchiwał go jakiś inny komandir, spisał wszystko dokładnie, kazał podpisać się i powiedział, że za kilka dni go z synem wypuszczą. Po tygodniu, czy dwóch został znowu poproszony na rozmowę, tym razem z synem. Znowu była towarzyska rozmowa, poczęstowano ich herbatą i kanapkami i obiecano, że za kilka dni spotka się z siostrą. Rzeczywiście, po kilku dniach został wezwany razem z synem, był ten sam co poprzednio komandir i jeszcze jakiś jeden cywil. W pokoju była już siostra. Po powitaniach i zapewnieniach o przyjaźni do władz sowieckich, ten wojskowy powiedział, że syn może wyjść z siostrą ojca, natomiast "stary" musi jeszcze kilka dni pozostać w Brygidkach. Ot, po prostu tego wymagają formalności. Za kilka dni jego też oczywiście, wypuszczą. Oczywiście, jeżeli chce, to siostra może przekazać bratu do więzienia paczkę z ubraniami i jedzeniem. Rzeczywiście, po kilku dniach wezwany został do tego samego komandira, który przekazał mu paczkę z ubraniami, bielizną i jedzeniem od siostry. Komandir zapewnił go, że za kilka dni, no powiedzmy za tydzień, najwyżej dwa, będzie wypuszczony do siostry we Lwowie. Było to w połowie listopada 1939 r., a teraz jest już połowa stycznia 1940, a jego ciągle nie wypuszczają, biadolił. On przyszedł do Sowietów z takim zaufaniem, tak obiecywał komandir, że go wypuszczą, tak życzliwie go przyjmowali, on jest taki lojalny wobec władz sowieckich, a ciągle siedzi - już 3 miesiące. To może zaszkodzić jego zdrowiu, nie wie co robi syn, czy siostra daje sobie radę. Prosił strażników o doprowadzenie do tego komandira, ale zawsze otrzymywał odpowiedź, że komandir jest zajęty, niech się nie martwi, wszystko będzie dobrze. Mój współwięzień był stale podenerwowany, stale nasłuchiwał czy strażnik nie otwiera drzwi. A jak strażnik otwierał drzwi, to jak na sprężynach był już na nogach, już przy drzwiach, że go wypusz-

czają. Słuchałem tego wszystkiego siedząc na swoim łóżku, tłukąc wszy, które przywiozłem z więzienia w Rawie Ruskiej i myślałem, że mnie to raczej nie wypuszczą. W celi było czysto, myłem się codziennie, więc po kilku dniach pozbyłem się tego niechcianego towarzystwa, a rozmowy praktycznie wygasły. On stale, jak na sprężynach, ja raczej sceptycznie nastawiony co do swego losu. Żadnych prognoz nie snułem, przyjmowałem do wiadomości, że jestem w ręku wrogów, a co ze mną zrobią, nie wiedziałem. Zwyczajnie czekałem. Mrozy były bardzo duże, ale w tej celi było ciepło. W korytarzu było cicho, ruch niewielki, na spacer nas nie wypuszczano. Tak monotonnie upłynęły dni do 2 lutego 1940 r. (Data ta została ustalona ściśle - poniżej podam jak).

Dzień ten, 2 lutego 1940 r. - piątek, upłynął jak zwykle. ③
Po kolacji, wyprowadzeniu do ubikacji i przeliczeniu stanu celi, jak zaczęliśmy kłaść się spać, rozpoczął się na korytarzu nadzwyczajny ruch. Jakieś szybkie kroki kilku ludzi, głośne rozkazy, trzaskanie drzwiami cel. Taki nadzwyczajny ruch zawsze budzi ciekawość, a co dopiero u więźniów będących odciętymi od wiadomości ze świata. Nagle otworzyły się drzwi naszej celi, przy kluczniku stał jakiś drugi żołnierz z kartką. Ten drugi odczytał nazwisko mego współwięźnia, kazał ażeby ten podał swe imię i imię ojca oraz datę urodzenia, wykrzyknął: „Собирайся с вещами!” *Собирайся с вещами!* *Быстро!* (Zbieraj się z rzeczami! Szybko!). Po sprawdzeniu danych na kartce z tym ^{co} powiedział więzień, trzasnął z hukiem drzwiami. Zapadła cisza w celi. Mój współwięzień promieniał. Rozebrał się, założył czystą bieliznę, którą trzymał specjalnie na tę uroczystość, spałował wszystkie swoje rzeczy. Ubrał się do wyjścia. Ostatnie jego słowa skierowane do mnie były: "Och, jaki ja jestem szczęśliwy! Zaraz będę u siostry! Nareszcie w normalnym mieszkaniu!". Był pewien, że wychodzi na wolność, że ko-

mandir dotrzymał słowa. Wprost trząśnięty ze szczęścia. Nie okazał ani cienia współczucia dla mnie, ani nie zostawił mi żadnych słów otuchy. Był tylko zajęty sobą. Ze swych rzeczy, będąc przekonany, że wychodzi na wolność, nie zostawił nic, a mógł mi zostawić chociaż ręcznik. Nie pamiętam czy podał mi rękę. Stał ubrany, z tobołkiem swych rzeczy pod pachą na wprost drzwi. Uchylił się judasz, strażnik otworzył drzwi, więzień wyszedł, drzwi strażnik zatrzasnął, zamki i rygle szczęknęły. Zostałem sam. Na korytarzu jeszcze chwilę trwał ruch, ale zaraz zapadła cisza. Wśród tej ciszy doleciał do mnie tylko dzwonek jadącego po ulicy tramwaju. Położyłem się spać. "Wypuszczenie" na wolność mego współwięźnia traktowałem jako sprawę oczywistą. Przyszedł sam do sowietów, zgłosił się do władz sowieckich, podkreślał swoją lojalność, to dlaczego mieliby go trzymać? Ja to co innego. Czuję instynktownie, a może również na podstawie tego co wiedziałem, że mnie to chyba tak zaraz nie zwolnią, nie tylko dlatego, że chciałem przejść granicę "tam", ale również moje pochodzenie socjalne też jest źle widziane.

Zostałem sam, a traktowałem to jako sprawę oczywistą. Mój współwięzień, na podstawie tego co mi powiedział, był tu tylko tymczasowo. Zaczęły płynąć dni jedne podobne do drugich. Na korytarzu była cisza. Milczący strażnik-klucznik otwierał drzwi aby mi wydano posiłki, lub wyprowadzał mnie do ustępu. Zacząłem organizować sobie życie w celi. Przypominałem sobie, jak radził sobie Edmund Dantes - Hrabia Monte Christo. Starąłem się nie myśleć o przeszłości, odtwarzałem w myślach przeczytane książki, starałem przypominać sobie zadania z matematyki, przypominałem historię mej Ojczyzny lub geografii. Trochę się gimnastykowałem i "spacerowałem" - 4 kroki od drzwi do ściany - i z powrotem. (z przeczytanych książek) Przypominałem sobie że więźniowie lepiały różne figurki z chleba.

Pomyślałem (i zacząłem realizować), że ulepię modele (malutkie) naszej floty wojennej, bo nieźle znałem te okręty z ilustracji. Zresztą kleiłem przed wojną w domu takie modele. Muszę dodać, że byłem stale bardzo czujnie obserwowany przez strażników. Niektórzy ze strażników nie pozwalali mi leżeć lub siedzieć w dzień na łóżku, niektórzy nie zwracali na to uwagi, ale podglądany byłem bardzo często. Lepiłem te okręciki kilka dni. Moja flota składała się już z kilku różnych jednostek, a ja opanowywałem coraz lepiej tę technikę. Zajęcie dla rąk oraz myślenie jak najlepiej ulepić ten model były dla mnie wręcz przyjemne. Rankiem, po śniadaniu, jak lepiłem model kontrtorpedowca, strażnik nagle z hałasem otworzył drzwi i groźnym tonem spytał co robię (tak zrozumiałem). Odpowiedziałem, że lepię ze swego chleba modele statków. Strażnik bez słowa zgarnął ze stolika te wszystkie modele okręcików, cisnął ze złością na posadzkę korytarza i powiedział, a chyba dobrze zrozumiałem, że to jest zabronione. A jak będę nadal to robił, to odbiorą mi porcje chleba i posadzą w karczerze. Po tym przemówieniu zatrzęsnął z łoskotem drzwi. Przyjąłem to, można powiedzieć, filozoficznie. Zauważyłem, że strażnik natychmiast zaczął mnie obserwować przez judasza. Usiadłem na taborecie, nieruchomo i myślałem o tym jak można, nawet za drobiazgi, prześladować i grozić karami. Właściwie, powiedziałem sobie, czego mogę oczekiwać od wroga, który na spółkę z drugim wrogiem dokonał IV rozbioru mojej Ojczyzny. Chleba i jedzenia na razie mi wystarczało. Zajście potraktowałem jako dalszy krok w edukacji więziennej. Teraz już zupełnie nie miałem się czym zająć, zostały tylko myśli, miałem wtedy 15 lat i 6 miesięcy. Żeby zupełnie nie stracić czasu, oczywiście w ukryciu, wydrapywałem na ścianie kreski oznaczające upływające dni. Tak minęło przeszło dwa tygodnie. Była już ostatnia dekada lutego 1940 r., jak ran-

kciem któregoś dnia wprowadzono do celi nowego lokatora. Ucieszyłem się, że nareszcie nie będę sam. W tym wieku, przeszło dwa tygodnie w kompletnym osamotnieniu, odcięty od wszelkich wiadomości ze świata, nie mówiąc już o braku wiadomości o Rodzicach, osamotnienie zaczęło mi ciążyć. Ale się nie skarżyłem. Po prostu żadna prośba nie przeszłaby mi przez gardło. Nowym współwięźniem był mój rówieśnik, chłopak o imieniu Icek (nazwiska nie pamiętam). Ze sobą nie miał żadnych rzeczy, a ubrany był tylko w spodnie i marynarkę, nie miał płaszcza, no i czapkę cyklistówkę na głowie. Oczywiście, koszulę i bieliznę miał też, ale tylko to co na sobie. W ciągu kilku najbliższych dni opowiadał swoją historię: pochodził z biednej żydowskiej rodziny, w małym miasteczku (niestety, też zapomniałem nazwy) w Polsce centralnej. Skończył 4 klasy szkoły powszechnej oraz jakieś komplety u rabina przy bożnicy. Mając 13 lat został oddany, jako uczeń-terminator, do piekarni, której właścicielem był jego jakiś krewny - chyba Wuj. O pracy w piekarni mówił dużo i chętnie. Pracował tam od godzin popołudniowych do północy, a nawet do rana. Zarówno on, jak i inni chłopcy mogli jeść w czasie pracy ile tylko chcieli wszystkie wyroby piekarnicze. A więc nie tylko bułki, ale i ciastka, rogaliki, chałki i inne delikatesy. Do tego mogli pić ile chcieli wody sodowej i lemoniady. Jako największą uciążliwość wspominał, że zarówno on jak i inni czeladnicy, mieli krwotoki z nosa w czasie pracy. Wypieki pokropione krwią z nosa trzeba było potem wycierać, nie zawsze to się udawało i niektóre wyroby ulegały zniszczeniu. Szef wtedy bardzo się gniewał. W czasie pracy mówili po żydowsku, bo to była żydowska piekarnia i cały personel również stanowili wyłącznie Żydzi. Okres tych dwóch lat pracy w piekarni wspominał jako czas wszelkiej pomyślności. Za rok, jak mówił, miał zostać czeladnikiem, a po-

tem, w perspektywie nawet majstrem. Och, mówił, żebym miał tu z czego, to bym ci upiekł rogalików, albo chałkę, że tylko palce lizać. Na chleb, który dostawaliśmy, ~~nie~~ był to jeszcze zły chleb, patrzył z politowaniem i mówił: jak tak można psuć dobrą mąkę. To co, że chleb jest tak zwany czarny, ale taki też może być dobry. O jedzeniu też mówił dużo i chętnie, podkreślając jak coraz lepiej żyło się jego rodzinie, jakie dobre jedzenie było na szabas. Opowiedział też historię swego starszego brata, który w 1938 r. miał stawać do poboru, a bardzo bał się służby w wojsku i nie chciał tam być. Wcześniej dowiedział się od kuzyna, który dał się wziąć do wojska, jak tam jest źle. Ten kuzyn dostał przydział do kawalerii i jak ich tam ćwiczyli! Kapral kazał po 20 razy skakać na konia i z konia. A na dodatek kuzyn nie lubił koni, po prostu bał się koni. Rodzina wobec tego uradziła, że jego starszy brat nie może iść do wojska. Można to zrobić bardzo prosto: wojskowa komisja poborowa odrzuca, a co najmniej odracza na dwa lata służbę, jak ktoś ma za małą wagę w stosunku do wzrostu. Jest zbyt wychudzony. Dowiedzieli się przez znajomych się na rzeczy ile jego brat ma ważyć, żeby go nie przyjęli, no i na pół roku przed poborem brat rozpoczął odchudzanie. Oj, mówił Icek, jakie to było straszne. Ale strach przed wojskiem, w którym nie wiadomo po co ma służyć, był większy. Brat schudł tak jak trzeba i komisja go odrzuciła. Pełny sukces. A wtedy, mówił Icek, jak on jadł! Och, jak mu dawali wszystkie delikatesy, gęś pieczoną, rybę faszerowaną, a jakie sosy, jakie zupy, a jak on to wszystko jadł! Icek opowiadając o tym miał wprost błogi wyraz twarzy, pełnej zachwyty. Jak przyszli Niemcy, to zaczęli mówić, że czasem może być źle z Żydami, ale nikt się nie bał. W końcu to nie oni zrobili tę całą wojnę, nie wiadomo po co zrobili ją Polacy. A Ruscy, którzy też przysz-

li są dobrzy, a różni Żydzi znający świat mówili, że Żydom jest najlepiej u Ruskich. Nawet w Palestynie, a tam Icek też miał kuzynów, którzy pojechali tam z Polski, też Żydom nie jest tak dobrze, jak u Ruskich. W listopadzie 1939 r. rodzina postanowiła, że Icek pojedzie do Stanisławowa, bo tam mieszkali też jego kuzyni, dowie się jak jest, wróci, opowie i wtedy się zdecyduje co robić. Bo przecież interesu tak rzucić nie można. Icek w połowie listopada 1939 r., nie zaczepiany przez nikogo przeszedł z kilkoma obcymi ludźmi "granicę". Tamci poszli gdzieś w swoją stronę, a Icek nie wiedział, jak dostać się do Stanisławowa. Zresztą poruszał się z ufnością, bo co kto może takiemu biednemu malcowi żydowskiemu zrobić. Był już w Rawie Ruskiej i zamiast spytać się o drogę jakiegoś Żyda, on na stacji zobaczył Ruskich żołnierzy, a oni są przyjaciółmi Żydów, to podszedł do nich. Powiedział, że przyszedł, a raczej uciekł od Niemców i chce trafić do Stanisławowa. Ci go zabrali ze sobą, wsadzili do aresztu, a po paru dniach był już w więzieniu we Lwowie. Siedział od listopada 39 r. w dużej celi, nie umiał powiedzieć ilu tam było mężczyzn, ale mówił, że dużo. A ludzie siedzieli tam różni. Natomiast szeroko rozwodził się nad losem i niedolą dwóch czy trzech pobożnych rabinów, którzy tam siedzieli, a też przyszli do Ruskich. Mianowicie rabini mogli jeść tylko potrawy koszerne, nie to co zwykły Żydek - Icek, oni nie mogli jeść żadnych potraw. Oni jedli tylko chleb. Wszyscy byli już tak chudzi jak jego brat przed komisją poborową. Prosilili ci rabini Ruskich, aby ich zwolnili, albo żeby rabin ze Lwowa dawał im jedzenie, ale Ruscy tylko się śmieli. Icek mówił, że on tego zupełnie nie rozumia. Ja też nie-bardzo rozumiałem (wtedy) w czym rzecz. Całe opowiadanie Icka trwało kilka dni. Jak się okazało był on w rzeczywistości półanalfabeta, wysławiał się z trudnością mieszając do tego

słowa w żargonie żydowskim z polskimi. Tych w żargonie ja nie rozumiałem, ale zadając mu pytania, jakoś opowiedział to wszystko. Nie pytany milczał zapadając na siedząco ni to w drzemkę, ni to w sen, a na twarzy malowało się kompletne otępienie. Z tej dużej celi to go dorośli Żydzi właściwie wypchnęli, jak strażnik pytał się i małoletnich. Strażnik powiedział, że przenoszą go do celi małoletnich, gdzie mu będzie bardzo dobrze. Icek był spokojnym, cichym chłopakiem, a mnie uważał za szefa i jak coś powiedziałem, że ma zrobić, to robił natychmiast bez gadania. Na przykład spytałem czy ma wszy, powiedział, że ma, to kazałem aby się rozebrał i wytłukł. Zrobił to bez gadania, tak, że wszy nie było. Pluskiew też nie było, a więc pełny komfort. Nastąpiło jeszcze jedno znamienne zdarzenie. Ja codziennie, rano i wieczorem, stojąc przed łóżkiem mówiłem pacierz. Strażnik często podglądał, jak się modliłem, ale nie interweniował. Po kilku dniach Icek spytał się mnie, czy nie mam nic przeciwko temu, czy mu pozwalam, ażeby on też po żydowsku się pomodlił. Oczywiście, zgodziłem się natychmiast. Icek od tego czasu, raz albo dwa razy dziennie, siadał na taborecie, zakładał czapkę na głowę, składał ręce, przymykał oczy i śpiewał (oczywiście bardzo cichutko) swoje modlitwy w obcym dla mnie języku. Pewnego dnia, jak rozumiałem, strażnik powiedział, że mamy się ubrać, bo idziemy na spacer. Była nadal zima, więc pożyczyłem Ickowi sweter i wyprawdzono nas przed wejście do budynku (rys. str. 50), gdzie z rękami założonymi do tyłu mogliśmy chodzić wokół klombu przez całych chyba 10 minut pod czujnym okiem strażnika. Był to koniec lutego 1940 r., a ja prawie przez dwa miesiące nie byłem na zewnątrz budynku. Cały czas w celi i odbywałem tylko krótki marsz korytarzem. Był jasny pogodny dzień, śnieg mnie oślepiał, a powietrze wręcz odurzało. Aż mi się w głowie kręciło. Przez jakies

10 dni wyprowadzano nas chyba codziennie, ale po tym czasie też się skończyło. Odruchowo próbowałem się rozglądać, ale natychmiast zostałem okrzykiem doprowadzony do porządku. Wolno patrzeć tylko na wprost pod nogi, a ręce stale założone do tyłu. Dolatywały tu wyraźnie dźwięki z ulicy, sygnały samochodów, szum i dzwonki jadących tramwajów. Szybko nauczyłem się rozglądać nie wzbudzając uwagi strażnika. Jaką radość sprawił mi widok malutkiej blaszanej chorągiewki biało-czerwonej umieszczonej na szczycie dachu jednego z budynków. Przez wszystkie dni spacerów zerkałem czy jeszcze jest i z ulgą stwierdzałem, że jest. Wracając do rozmów z Ickiem, chciałem się dowiedzieć co dzieje się w świecie, czy i gdzie toczy się wojna. Bo chociaż Icek siedział od listopada, to jednak w tej dużej celi byli na pewno niedawno aresztowani. Niestety, Icek na ten temat nie umiał powiedzieć nic. Początkowo wydawało mi się, że nie chce on mówić, ale przekonałem się, że on naprawdę na ten temat nic nie wie. Dałem więc spokój. Wiedząc, że nasza cela jest na dwóch więźniów, sądziłem naiwnie, że tak we dwóch z Ickiem będziemy siedzieć diabeł wie jak długo. Widząc ogromne braki w jego wiedzy o świecie postanowiłem uczyć Icka. Na moją propozycję zgodził się chętnie. Pamiętałem, jak ksiądz Faria uczył Dantesa. Na pierwszy ogień wybrałem geografię. Po rozmowie z nim na ten temat, zorientowałem się o kompletnej niewiedzy o budowie naszego układu słonecznego. Przez dwa lub trzy dni tłumaczyłem mu, jak wygląda nasz układ planetarny, jak to wszystko się kręci, jak krąży księżyc. Icek słuchał uprzejmie, nawet zadał kilka pytań, ale wynik nauki był żaden. Icka ta cała wiedza się nie miała, jego to wszystko nic kompletnie nie obchodziło. Był absolutnie odporny, nie dopuszczał żadnej dodatkowej wiedzy do siebie. Próbowałem jeszcze wyjaśnić, jakie są części świata, jakie kraje, jak rozkładają się strefy klimatyczne,

ale tu też poniosłem totalną klęskę. Lepszy rezultat byłby, gdybym mówił do ściany. Dałem więc spokój nauce. Natomiast naszym wykształceniem zajął się jeden ze strażników, który przez kilka dni pod rząd miał służbę na tym korytarzu. W ogóle strażnicy zmieniali się często, a jak któryś miał drugi raz służbę, to w czasie nieregularnym i o jakiejś innej porze doby. Ten akurat o zacięciu „profesora” miał w dzień. Gdzieś między posiłkami, jak zapanowała cisza, otworzył, raczej uchylił drzwi do naszej celi i stojąc w tych uchylonych drzwiach przywołał gestem nas do siebie. Podeszliśmy. Wypytał każdego z nas kim są rodzice, co robili, co robił każdy z nas do wybuchu wojny. Każdy z nas powiedział prawdę. Wtedy usłyszałem właściwy wykład: że Związek Radziecki jest krajem wolnych, równych ludzi. Ja pochodzę z rodziny burżujów, jestem gimnazjalistą, a więc dalej już nigdy nie będę się uczyć. Jedyna dla mnie droga, to posłać mnie do roboty i najwyżej pozwolą pracować. A pracować to muszę wyłącznie fizycznie, dużo i ciężko, bo pochodzę z rodziny pańskiej. Natomiast Icek jest proletariuszem, a więc jego będą kształcić, bo pochodzi z robotniczej rodziny. Tak zrobią z nami, ażeby zapanowała równość, a panowie polscy nauczyli się pracy. I tak dalej w tym stylu. Słuchaliśmy tego obaj i sądzę, że obaj jednako nie rozumieliśmy tego naprawiania nierówności. Mnie to wszystko wydawało się nielogiczne, ale zaczynałem coś niecoś rozumieć, jakim to jestem przestępcą z racji mego pochodzenia socjalnego. Następnego dnia spytał nas czy jesteśmy wierzący. Obaj potwierdziliśmy, a strażnik dodał, że widział jak się modlimy. Wyjaśniał długo i kwiecicie, że żadnego Boga nie zna, udowodniono to wszystko w Związku Radzieckim, a kościoły i cerkwie pozamykają jako niepotrzebne. Będą tam kina i sklepy, albo muzea, a popów i księży, jako nierobów, posłać na roboty. On - strażnik wie,

że ja chociaż gimnazjalista, to jestem ciemny i zacofany, nic ze mnie nie będzie, tylko nadaję się do kopania rowów, to z Icka będzie profesor, bo on jest robotnik, tylko brak mu uświadczenia. Oczywiście, nie wszystko z tych wykładów jasno zrozumiałem, bo były prowadzone po rosyjsku, ale sens zrozumiałem dobrze. Co z tego rozumiał Icek - nie wiem - nie próbowałem się dowiedzieć. Tak upłynął nam czas do pierwszych dni marca 40 r., można przyjąć - do 5 marca 40 r. - nie dalej. Jeszcze przed tą datą, jak siedzieliśmy z Ickiem we dwóch, zostałem wezwany w dzień na przesłuchanie. Przyszedł po mnie jakiś żołnierz z rewolwerem u pasa w kaburze i zaprowadził mnie do sąsiedniego budynku administracyjnego. Był, można powiedzieć, spokój. W gabinecie siedział jakiś wojskowy w zielonym mundurze, a na biurku tekturowa teczka. Kazał usiąść na taborecie kilka kroków przed biurkiem i przeglądając teczkę z moimi aktami zadawał, można powiedzieć, kontrolne pytania. Pod koniec tego krótkiego dialogu spytał mnie, czy chcę coś dodatkowo powiedzieć. Ze ściśniętym gardłem spytałem co się dzieje z moją Matką, była przywieziona ze mną do tego więzienia. Poczytał wtedy coś w moich aktach i wymamrotał, że zobaczymy trochę później, a teraz to on nic nie wie. Na tym się zakończyło to krótkie przesłuchanie. Z zachowaniem normalnej procedury - ręce w tył, nie rozglądać się - zostałem doprowadzony z powrotem do swojej celi.

W więc ^(któregoś dnia) w początku marca 1940 r., zaraz po śniadaniu, strażnik otworzył drzwi i wprowadził do celi dwóch nowych lokatorów. Było to dwóch chłopaków, mniej więcej w moim wieku, jeden może był trochę starszy. Byli ubrani po zimowemu, ale tylko to co na sobie, żadnych dodatkowych tobołów. W rękach nie mieli nic. Na pierwszy rzut oka widać było, że znaleźli się w więzieniu niedawno. Po twarzach widać było, że są świeżo z wolności. Miejscami

do spania podzieliliśmy się tak jak nakazywały okoliczności: ja z Ickiem na jednym łóżku, oni we dwóch na drugim. Nastąpiło wzajemne przedstawienie się; ja powiedziałem o sobie i o Icku, który stał się jeszcze bardziej małowówny, oni powiedzieli o sobie. Obydwaj pochodzili z polskich rodzin osiadłych od lat we Lwowie, a rodzice ich byli rzemieślnikami. Rodziny obydwóch były liczne, a znali się od lat. Ten starszy, wyższy, bardziej postawny, silny fizycznie, w długich dobrych butach, bardziej flegmatyczny, miał na imię Tolek. Drugi, drobniejszej postury, mniej więcej takiej jak ja, powiedział, że ma na imię Nastek. Nazwiska też powiedzieli, ale zatarły się w mej pamięci. Zarówno przed wojną, a szczególnie od chwili jak do Lwowa weszli Ruscy, zajmowali się uzupełnianiem zaopatrzenia domowego, dokonując kradzieży różnych artykułów. Z dumą oświadczyli, że nie są żadną szumowiną, ani złodziejami, bo kradną tylko i wyłącznie towary z wagonów kolejowych, a to się nie liczy. Ani domów, ani przechodniów nie okradają. Szczególnie rozmowny był Nastek, a Tolek do relacji dorzucał tylko przerywniki w rodzaju: "O kurwa!". Wpadli na kradzieży kaszy i cukru z wagonu towarowego na bocznicy. Za szczególnych swych wrogów uważali straż kolejową, a teraz to Ruskich pilnujących bocznic. Już taszczyli z wagonu - jeden worek z kaszą, a drugi worek z cukrem, a było to o zmroku, jak Nastek ^enie chcący narobił hałasu, przyleciał strażnik i dopadł go. Tolek, jak sam opowiedział: ^urzuciłem worek i zacząłem uciekać. Ten bydlak, to znaczy strażnik - żołnierz sowiecki - zaczął krzyczeć i strzelać z karabinu. Ja mu zrobiłem cygańskie drogi (to znaczy bieg zakosami) i byłbym uciekł, ale wpadłem wprost w ręce dwóch żołnierzy biegnących temu, trzymającemu Nastka, na pomoc. Doprowadzili ich na posterunek, spisali protokół i od razu odstawili do Brygidek. Tu posadzili ich w dużej celi

z dorosłymi, ale po kilku dniach doprowadzili tu, bo powiedzieli, że jest specjalna cela dla małoletnich. Twierdzili, że jeszcze nie siedzieli, ale zwyczaje więzienne były im doskonale znane. Od razu zaczęli wytrząsać kieszenie w poszukiwaniu tytoniu. Nazbierali tego, razem z różnym pyłem na jednego skręta. Znaleźli u jednego w bucie kawałek gazety, skręcili papierosa i od razu Nastek zaczął stukać w drzwi. Strażnik popatrzył przez judasza, a Nastek pokazując, że go bolą zęby oraz migając tym skrętem, na migi oraz coś mamrocząc, domagał się i prosił o przypalenie papierosa. Po chwili namysłu strażnik uchylił drzwi i przypalił zapalką tego skręta. Po tym popisie oświadczyli obaj, że strażnik się nudzi, więc trzeba dać mu zajęcie. Na zmianę ciągle mieli jakieś interesy: a to, że nagle musi jak nie jeden to drugi wyjść do ustępu. Wobec niechęci strażnika demonstrowali, jak nieludzko cierpią. Strażnik ulegał. Domagali się na zmianę doprowadzenia do lekarza, bo są chorzy, bo bolą ich zęby. Domagali się wody do picia, bo zabrakło w celi. Wreszcie prosili o machorkę lub papierosy, bo bez palenia nie mogą wytrzymać. O dziwo, prośby te były spełniane, nie wszystkie, bo do lekarza ani do dentysty ich nie zaprowadzono. Prosili o widzenie z naczelnikiem, bo chcą otrzymywać paczki z domu - to też nie zostało uwzględnione - aczkolwiek stale się tego domagali. Głośno śpiewali lwowskie piosenki, a na walenie w drzwi przez strażnika, aby byli cicho, Nastek płaczliwym głosem wyjaśniał, że tęskni za Mamusią, musi śpiewać bo jest mu smutno. Groźby posadzenia w karcerze nie robiły na nich żadnego wrażenia, a strażnikowi, też Nastek, wyjaśniał, że dzieci proletariatu nie wolno sadzać do karceru. Każdy z tych numerów był przez nich kwitowany jako dobry kawał. Twierdzili, że Ruscy robią taki bajzel we Lwowie, a to długo nie może się utrzymać. Najdalej na wiosnę i Ruskich i Niem-

ców szlag trafi. Przynieśli też wieści ze świata. Opowiedzieli o nowej polskiej armii organizowanej we Francji przez generała Sikorskiego. Z dumą opowiadali o waleczności wojska polskiego we wrześniu 1939 r., jak twarda była obrona Lwowa. Mówili o wielu ucieczkach polskich oficerów i żołnierzy do Rumunii i Węgier, ażeby dostać się do Francji i walczyć przeciwko Niemcom. A Ruscy łapią takich na granicy, bo kochają się z Niemcami. Anglicy już tak bombardują Niemców, że niedługo nic z nich nie zostanie. Bomby wynaleźli takie, że jak by pieprznęła w środku Lwowa, to na Zamarstynowie zawała się wszystkie kamienice. Wyśmiewali się z Ruskich, opowiadali jak marnie są ubrani, jakie kiepskie mają karabiny, jakie kawały im robili. Wnieśli do celi dużo dobrej pogodnej atmosfery. Do mnie odnosili się z dużą dozą życzliwości, mówili abym nie był smutny i nie przejmował się, bo niedługo to wszystko potrwa. Wprawdzie rozważając co mogą z nami zrobić, uważali swoją sytuację za lepszą - bo zostali złapani tylko na kradzieży. Natomiast moją uważali za trochę gorszą, ale twierdzili: "co mogą ci zrobić za to, że chciałeś wrócić do domu". Mówili też o coraz większym tłoku w więzieniu w Brygidkach i dlatego Ruscy co pewien czas zwalniają grupy ludzi, z którymi nie wiadomo co zrobić. O wywożeniu z więzienia do Rosji nic nie słyszeli i tej ewentualności w ogóle nie brali pod uwagę. Mówili też o aresztowaniach w mieście znanych działaczy polskich, czy wyższych urzędników i policjantów oraz o wysiedlaniu osadników wojskowych. Traktowane to było przez nich jako represje na Polakach. Po kilku dniach zostali po kolei wezwani, w dzień, na przesłuchanie. Po powrocie do celi opowiedzieli, że każdy z nich przyznał się do kradzieży, a uczynił to z głodu, jeden do kilograma cukru, drugi do kilograma kaszy. Mieli to uzgodnione. A właściwie to nawet nie ukradli, tylko mieli zamiar, bo wagon

był otwarty, a oni zabłądzili na bocznicę i patrzyli się na ten cukier i mąkę. Dlaczego żołnierze strzelali i do kogo to oni nic nie wiedzą. W ogóle nie wiedzą dlaczego siedzą w więzieniu. Twierdzili, że przesłuchujący nic nie protestował, ani nie domagał się innych zeznań, a powiedział, że sprawę wyjaśnią. Icek w tych rozmowach nie brał udziału, a oni traktowali go z całkowitą obojętnością. Po kilku dniach wprowadzono do celi piątego lokatora. Był nim, też nasz rówieśnik, mały, szczupły, czarny Żydek. Wobec tego łóżka zostały zsunięte i spaliśmy pokotem w pięciu poprzek dwóch łóżek. Ten mały, czarny też zgłosił się do Ruskich po przejściu granicy, ale nic więcej o nim nie wiem. Skarżył się strażnikowi, że jest ciężko chory na serce. Prosił aby doprowadzono go do lekarza. Strażnicy wysłuchali prośb raz i drugi, a potem jeden poradził, ażeby przykładał sobie kompresy z zimnej wody na serce. A jak to nie pomoże, a będzie nadal się skarżył, to wyleczą go w karcerze. Pomogło, przestał się skarżyć. Po kilku dniach wprowadzono do celi szóstego lokatora. Był nim lwowiak, chłopak raczej wyrośnięty, dobrze wyglądający, który był w celi dla dorosłych, ale zgłosił się jako małoletni, bo sądził, że w takiej celi lepiej dają jeść. Za co siedział i dlaczego, nie wiem. Był bardzo niezadowolony, bo mówił, że jednak jemu u dorosłych było lepiej. Chciał ponownie kombinować, jak dostać się do celi dla dorosłych. Do spania na podłodze został ściągnięty z łóżek jeden materac i ten szósty spał na podłodze. Po kilku dniach znowu wprowadzono siódmego lokatora. Był to chłopak marnie wyglądający z powybijanymi, zepsutymi zębami, ubrany był tylko w marynarkę nałożoną na podkoszulek. Spodnie i półbuty miał w bardzo złym stanie. Też doprowadzony został z celi dla dorosłych. Po rozejrzeniu się w sytuacji powiedział, że nie będzie tu siedział, jest zawodowym złodziejem i to towarzys-

two mu nie odpowiada. Zapowiedział drakę i żeby mu nie przeszkadzać. Po kilku dniach zdobył, nie wiem jak, kawałek szkła, zaczął bić pięściami w drzwi, a jak strażnik popatrzył w judasza, to zadarł podkoszulek i zaczął krajać piersi tym szkłem. Nie tyle krajał, co podrapał się, ale na dodatek udawał, że podcina sobie gardło. Rozmazywał przy tym tę niewielką ilość krwi, no i darł się przeraźliwie. Strażnik otworzył drzwi, wyrzucił go na korytarz. Tam z drugim strażnikiem słychać było, jak go zbili. Do celi nie wrócił więcej. Na dworze, to się czuło, kończyła się zima. Mrozy były mniejsze, ale na spacer nas nie wyprowadzano. Ostatni raz na spacerze byłem z Ickiem. Zbliżały się Święta Wielkanocne, a mimo oczekiwań, ^{a)} p^oczek nikt nie otrzymał. Jedzenie jakby stawało się coraz gorsze, w celi było naprawdę ciasno. Mimo takich warunków konfliktów nie było. Dla zabicia czasu chłopcy opowiadali jakieś wymyślone czy prawdziwe zdarzenia. Ja wtedy zaproponowałem, że opowiem im przeczytaną książkę. Bardzo chętnie się zgodzili, a ja przez kilka dni opowiadałem dzieje Edmunda Dantesa - Hrabiego Monte Christo. Słuchali chętnie, a ja zyskałem uznanie i mogę powiedzieć, pewien szacunek. Strażnik zaglądał przez judasza, co się stało, że w celi jest tak spokojnie, ale nie interweniował. Zacząłem odczuwać już trochę głód, ale czułem się dobrze. Te pierwsze oznaki głodu to było nic w porównaniu z tym, co miało nastąpić. Warunki były już trudne, bo w tej celi przeznaczonej na dwóch, siedziało nas stale sześciu. Wszy też się pojawiły, ale w niewielkich ilościach, bo walka z nimi była prowadzona przez wszystkich. Tak minęły Święta Wielkanocne, skończył się marzec i zaczął kwiecień 1940 r. Rozmowy toczyły się głównie o jedzeniu. O tym, kto kiedy wyjdzie na wolność już rozmów właściwie nikt nie prowadził.

Okolo 10 kwietnia 1940 r. ⁽⁴⁾ jak już kładliśmy się spać, znowu zainteresował wszystkich jakiś duży, nadzwyczajny ruch na ko-

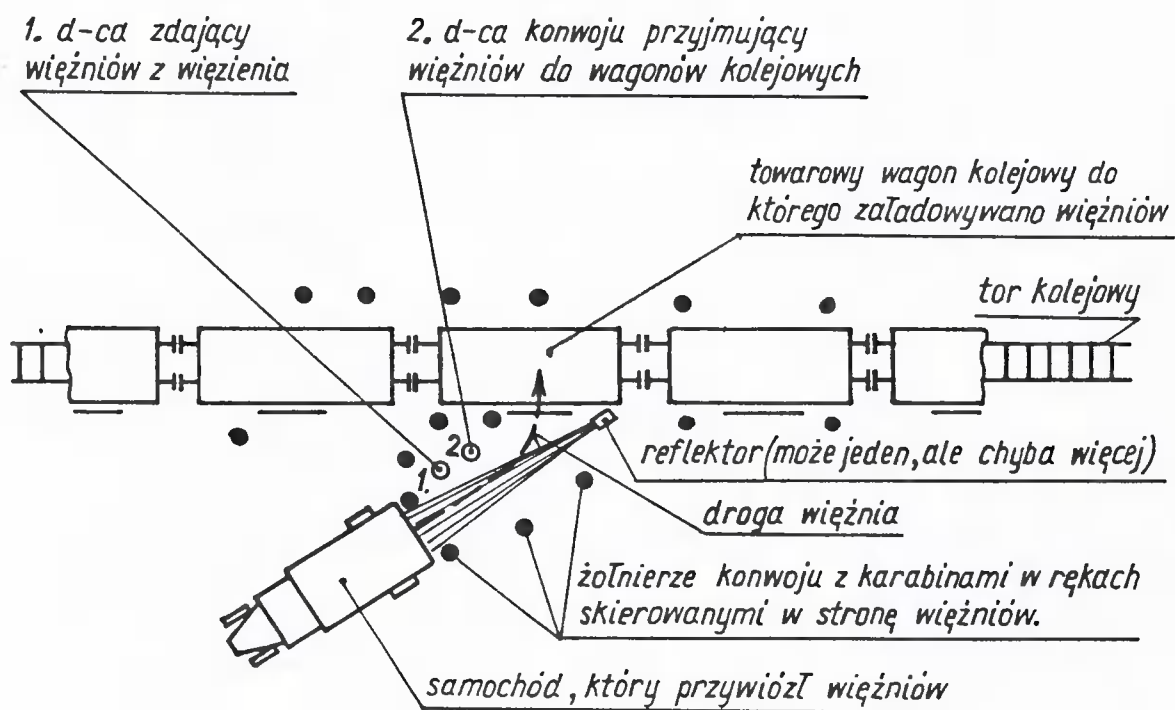
rytarzu. Trzaskanie drzwiami, podniesione głosy kilku strażników-żołnierzy. Wszyscy zaczęli czujnie nasłuchiwać. Nagle otworzyły się drzwi, a w nich dwóch żołnierzy. Jeden z kartką wywołał moje nazwisko, sprawdził dane personalne - imię, imię ojca, data urodzenia - wykrzyknął: „Собирайся с вещами! Быстро!” - i zatrzęsnał drzwi. Wywołał tylko mnie. Tolek i Nastek zaczęli gorączkowo dyskutować co ze mną zrobić. Wreszcie zdecydowali, że chyba wypuszczą mnie na wolność. A zatem, jak wiadomo nie znam nikogo we Lwowie, do dali mi jeden adres. Chyba do swego domu dał mi Tolek (ten starszy). Powiedział: „Śmigaj do mojej matki, na pewno dacie jeść i cię przechowa. Powiedz o nas, że nam nic nie grozi”. Niestety, zapomniałem o tym adresie, bo po paru godzinach wiedziałem, że jest niepotrzebny. Zabrałem swój dobytek, a miałem poza ubraniem koc, trochę bielizny, chyba ze dwie koszule i ręczniki. Zapomniałem zabrać dużego ręcznika, którego mi potem brakowało. Lwowiacy wątpili czy mnie wypuszczą, adres dali na wszelki wypadek, raczej przewidywali, że wyślą mnie do domu poprawczego, gdzieś pod Lwowem. O wywiezieniu do Rosji nikt nie myślał. Może sami nie wierzyli w to co mówili, ale widziałem troskę na ich twarzach i bardzo sympatycznie mnie pożegnali, życząc wiele szczęścia i dodając otuchy. Oczywiście, na pożegnanie podałem wszystkim rękę i powiedziałem, że może się zobaczymy. Byłem zdenerwowany nie wiedząc nic o oczekującej mnie niedalekiej przyszłości. Jednocześnie byłem rad, że kończy się pobyt w więzieniu w Brygidkach. Siedziałem tu już 3 miesiące. Stałem ubrany, z tobołkiem pod pachą, strażnik zajrzał przez judasza i kazał wyjść na korytarz. Była już kompletna noc, wszędzie paliły się światła.

Na korytarzu stało już kilku mężczyzn. Dołączono mnie do nich, znowu sprawdzono wszystkich personalia według listy, którą miał strażnik i pod konwojem żołnierzy z karabinami uzbrojo-

nymi w bagnety, wyprowadzono przez kilka podwórz do innego budynku więziennego. Tam wprowadzono nas do dużej celi - prawie sali. Byli tam już inni więźniowie, ale po wprowadzeniu tej grupy, w której ja byłem, wprowadzano przez jakiś czas jeszcze inne grupy. W każdym bądź razie prawie wszyscy stali, niektórzy siadali na betonowej posadzce, bo sprzętów tam nie było żadnych. Robiło się ciasno i duszno. Trudno mi ocenić ile tam było osób, ale chyba 200-300, a może 400. Po pewnym czasie przestano wprowadzać "nowych". Ludzie byli na ogół zdenerwowani. Bardzo nerwowo dyskutowali, a był tam cały przekrój naszego społeczeństwa. Ja usiadłem pod ścianą na swoim tobołku i słuchałem. Opinie były oczywiście różne - od super optymizmu, że nas zaraz zwolnią, a na mnie pokazując mówili: "No dokąd z nami takiego smarkacza podzieją? Naturalnie, że wypuszczą!". Do pesymistycznych, że transportują nas do jakiegoś obozu pod Lwowem, czy też do innego więzienia, oczywiście w Polsce. Wtedy też usłyszałem po raz pierwszy, że mogą nas wywieźć do Rosji. Te głosy były nieliczne i zaraz zakrzyczane przez innych. Niedługo trwało oczekiwanie. Zaczęło się wywoływanie nazwisk, a w drzwiach stało co najmniej kilkunastu żołnierzy z karabinami (bagnety jak zawsze na karabinach). Wywoływano grupami po kilkadziesiąt osób. W końcu doszła kolejka do mnie. Przechodząc przez drzwi oczywiście nas liczono. Wyprowadzono nas na korytarz. Ustawiono w kolumnę czwórkami i otoczeni konwojem wyszliśmy na jasno reflektorami oświetlone podwórze. Kilkanaście kroków od drzwi stał tyłem samochód ciężarowy z brezentową budą. Klapę tylną miał opuszczoną. Tak jak szliśmy czwórkami kazano nam wchodzić do samochodu i natychmiast siadać na podłodze. Przy wsiadaniu znowu nas liczono. Podniesiono klapę, zasznurowano budę brezentową. Nie wiem czy jeszcze z tyłu siedział konwój, czy też inaczej pilnowano, aby nikt nie wys-

koczył. Ale na pewno pilnowano dobrze. Cały zakładunek odbywał się jak wspomniałem, na podwórzu więziennym. Oczywiście, uprzedzono: "jak ktoś wstanie - będą strzelać bez uprzedzenia. Żadnych rozmów, żadnych okrzyków!". Buda była bardzo szczelna, nic nie było widać. Nie wiem także, czy z więzienia wyjeżdżały samochody pojedynczo czy w kolumnie. W tej grupie, gdzie jechałem byli lwowiaci i jak samochód ruszył, to znając Brygidki z zewnątrz, po skrętach samochodu usiłowali zorientować się, dokąd nas wiozą. Szeptem początkowo informowali, ale oni zaraz też się pogubili - stracili orientację. Była już głęboka noc, miasto spało. Z dochodzących odgłosów wynikało, że ruch był prawie żaden. Jazda samochodem trwała krótko - ile czasu - na pewno mniej jak pół godziny, raczej krócej. Wreszcie samochód wykonał kilka manewrów, zatrzymał się, słychać było kilka jakiś krótkich rozkazów, odsłonięto tył budy i opuszczono klapę. Wnętrze samochodu zalał snop bardzo jasnego, jaskrawego światła. Wszyscy zostali praktycznie oślepieni. Mimo oślepienia dostrzegłem rząd wagonów kolejowych, krytych, dwuosioowych. Tył samochodu został bardzo dokładnie oświetlony jednym lub kilkoma reflektorami. Od drzwi samochodu do wagonu towarowego z otwartymi drzwiami było utworzone wąskie przejście przez dwa szpalery żołnierzy z karabinami. W środku stało dwóch jakiś dowódców. Jeden (na szkicu Nr 1), ten bliżej samochodu trzymał plik teczek w ręku, a ten drugi czekał. Ten z teczkami wywoływał nazwisko, delikwent zlaźił z samochodu - po obu stronach stało dwóch żołnierzy - szedł, a jak mijał tego drugiego (na szkicu Nr 2), to ten pierwszy podawał mu teczkę. Jak łatwo się domyślić, to Nr 1 był dowódcą konwoju z więzienia zdającego więźniów, a Nr 2 był dowódcą konwoju transportującego kolejną więźniów. Przy odsuniętym wejściu (w wagonach towarowych wrota są odsuwane) stało też dwóch żoł-

Załadunek więźniów do towarowych wagonów na bocznicę kolejowej we Lwowie



nierzy liczących wsiadających. Wywołano mnie, wtedy d-ca transportu, jak doszedłem do niego zatrzymał mnie. Zapytał ile mam lat - odpowiedziałem - 15. Za co siedzę - za naruszenie granicy. W którą stronę - do nas - czy tam? Odpowiedziałem: wracałem do domu do Warszawy. A do Warszawy - powtórzył - to tam! - machnął ręką w kierunku wagonu. W wagonie było zupełnie ciemno. Jak żołnierze, liczący wsiadających do wagonu, krzyknęli zgodnie - "sorok" (czterdzieści) - zasunęli z trzaskiem wrota i słychać było, jak z zewnątrz ryglują. W czasie wsiadania słychać było tupot nóg w sąsiednim, widocznie załadowanym już wagonie. Załadowaniu do wagonów towarzyszyło warczenie i poszczekiwanie psów trzymanyh przez konwojentów niewidocznych w mroku. Po drugiej stronie pociągu też chodziła straż, stukając od czasu do czasu kolbami karabinów o drewniane poszycie wagonów, zabraniając hałasować, głośno mówić czy tupać nogami. Był to pociąg składający się z wagonów wypełnionych więźniami, ale ile liczył wagonów - nie wiem. Jeżeli transport liczył 400 więźniów, to byłoby 10 wagonów. Sądzę jednak, że był to pociąg liczący ze 30 wagonów z więźniami, a nie mniej jak 20. Takie mam wrażenie z podglądania pociągu na łukach przez szparę w drzwiach, już w czasie jazdy. Operacja transportu z więzienia do pociągu była przeprowadzona bardzo sprawnie, prawie w ciszy, z dużą znajomością rzeczy. Na dworze było przeraźliwie zimno, wilgotno, pod nogami błoto, a chyba nawet leżały jeszcze niewielkie płachetki śniegu.

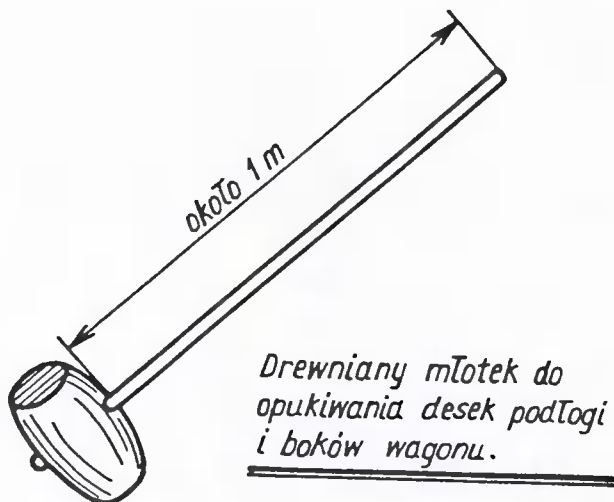
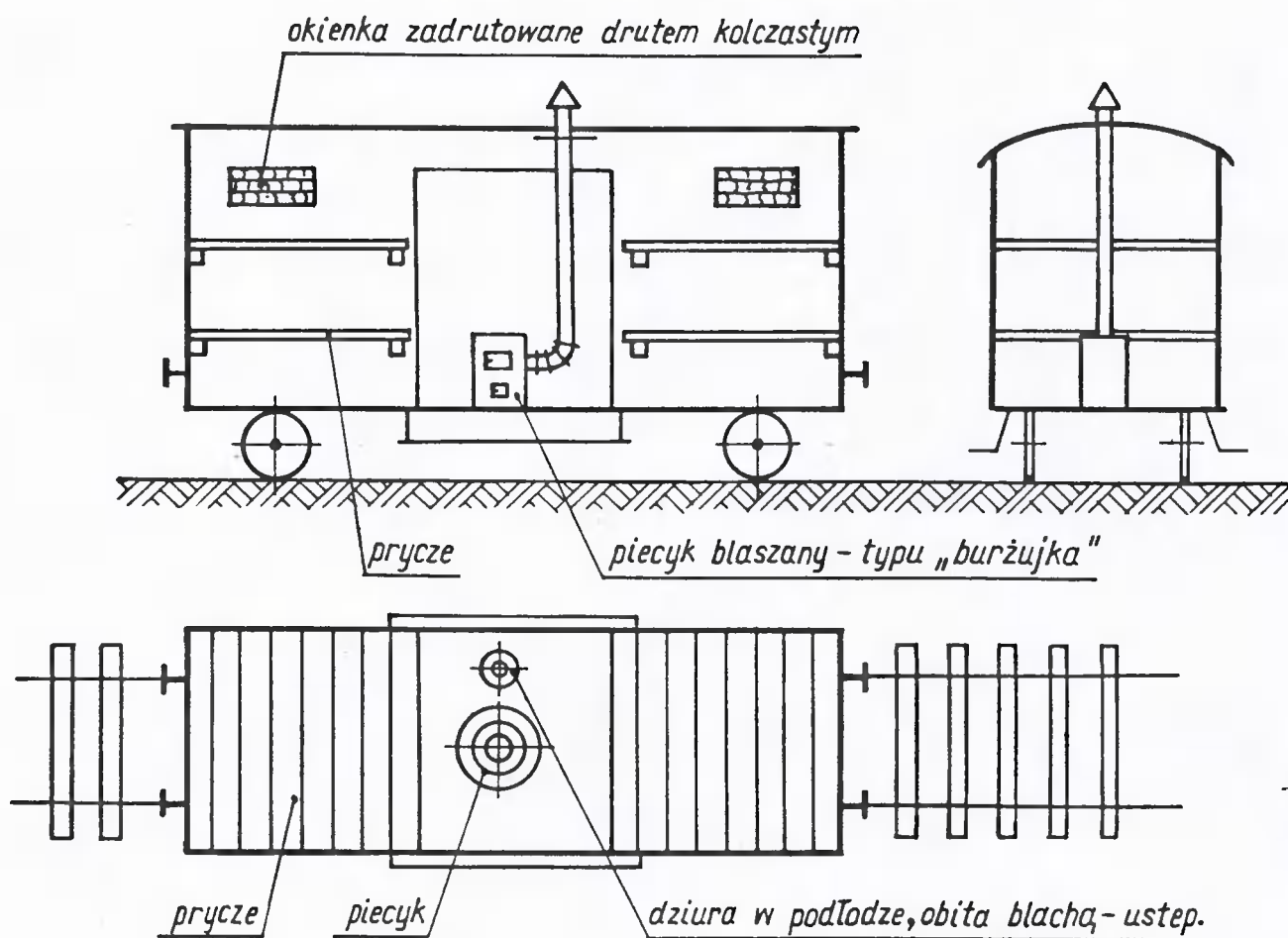
Tak zakończył się okres mego pobytu w więzieniu w Brygidkach. Rozpisałem się bardzo szeroko o tym okresie, bo to był początek mej więziennej edukacji i wrażenia były dla mnie szczególnie silne, i odcisnęły się mocno w mej pamięci. Z nikim poznanym w Brygidkach nie spotkałem się nigdy.

6. Etap LWÓW - CHERSON

W wagonie, wśród kompletnych ciemności, ludzie szybko namacali prycze (po rosyjsku „*нары*”) z desek znajdujące się po obu stronach wejścia. Prawie wszyscy powłazili na górne prycze, ja i jeszcze kilku innych położyliśmy się na dolnej. Słychać było przez pewien czas jeszcze odgłosy załadunku do innych wagonów, warkot samochodów, czasem przez szpary błysnęło światło reflektorów. Za to wyraźnie słychać było kroki wartowników chodzących po obu stronach pociągu. Po pewnym czasie, jeszcze w ciemnościach, pociąg powoli ruszył. Ja leżąc na dolnej pryczy, trochę spałem, a więcej leżałem i myślałem dokąd i po co mnie wiozą i tych wszystkich ludzi. Jeszcze nim pociąg ruszył słychać było kroki żołnierzy chodzących po dachu, wzdłuż całego pociągu.

Najpierw urządzenie wagonu - jak widać na rysunku normalny, kryty, dwuosiowy wagon towarowy został przystosowany specjalnie, bardzo starannie, do transportu tak delikatnego i niebezpiecznego towaru, jakim są więźniowie. Cztery prycze, po dwie z każdej strony dla 40 ludzi, to znaczy po 10 na jedną pryczę, zapewniało zupełnie niezłe legowisko. Oczywiście, były to zupełnie gołe deski, prawie nieheblowane. Tu od razu muszę zaznaczyć, że na dwie górne (bo na górze cieplej) wlażło ze 30 ludzi (po 15 na pryczę), a na dwie dolne zostało nie więcej jak 10 (po 5 na pryczę). W takim wagonie u góry są okienka, małe, podłużne, z blaszanymi klapami zamykanymi od zewnątrz. Trzy z tych okienek były zamknięte na głucho i sądzę, że dobrze zadrutowane. Jedno było stale owarte, ale zadrutowane drutem kolczastym tworzącym bardzo gęstą siatkę. Myślę, że gdyby straż chciała, to mogłaby z zewnątrz też zamknąć to okienko blaszaną

Towarowy wagon przystosowany do przewozu więźniów



klapą. W przejściu między pryczami była z boku zrobiona dziura w podłodze, obita dookoła blachą - to ustęp - stale czynny. Na środku stał piecyk blaszany - typu "burżujka" - z blaszanym kominem wyprowadzonym pionowo przez dach. W sensie przystosowania, to wagon był przygotowany do transportu więźniów przez wiele dni, a więźniowie mieli szansę przeżyć, oczywiście pod warunkiem, że dostaną coś do picia, do jedzenia, a w czasie mrozów lub zimna - opał do piecyka. Porządek dnia był stale, niezmiennie ten sam. Rano, jak już był dzień, oczywiście w czasie postoju, otwierano wrota. Do wagonu wchodził jeden żołnierz, bez broni, ale za to z dużym drewnianym młotkiem na długim, chyba metrowym trzonku. Wszystkich więźniów spędzano na jedną stronę wagonu. W tym czasie, przed otwartymi wrotami stało dwóch żołnierzy z karabinami w rękach, a nieopodal chodził trzeci z psem na smyczy. Tylu ich widziałem, może było więcej. Ten w wagonie najpierw wlaził pod dolną pryczę i tym specjalnym drewnianym młotkiem opukiwał deski podłogi oraz ścian. Potem sprawdzał ściany, oglądał dach oraz sprawdzał okna. Po tej kontroli stawał po drugiej stronie przejścia, przy zamkniętych wrotach i więźniowie pojedynczo przechodzili na drugą stronę pilnie liczeni przez strażników. Wtedy ten wewnątrz wagonu sprawdzał tak samo drugą połowę wagonu. Wtedy ten z młotkiem wyskakiwał z wagonu. Następowo wydawanie jedzenia. Żywność podawano raz dziennie - rano. Pierwszego dnia wydano po kawałku chleba (oczywiście czarnego i źle wypieczonego - jakieś 40 dkg - to było bardzo mało), kawałek kiełbasy - znawcy twierdzili, że 5 deko oraz trochę cukru (cukier rąbany - ilość - jakieś 4 kostki). W następne dni ta dzienna porcja coraz bardziej się kurczyła. Najpierw było coraz mniej kiełbasy, aż po jakiś 3 dniach wcale nie wydawali. Cukru wydawali też coraz mniej przez jakieś 5 dni, a potem jak

kiełbasa - wcale. Chleb wydawano do końca, ale porcje były coraz mniejsze. Ostatnią porcję wydano na 24 godziny przed wyładunkiem, a w dniu wyładunku już nic. Chleb w porcjach już przygotowanych oraz kiełbasę, też w kawałkach, podawano do wagonu w płachcie namiotowej, więźniowie podawali staroście wagonu (starostę wyznaczył strażnik w czasie pierwszego wydawania żywności), mającego swe miejsce na górnej pryczy. Tam wysypywał to wszystko na jakiś koc, czy rozłożony płaszcz, a płachtę natychmiast zwracano strażnikowi. Cukier, porąbany, razem z pudrem, który w czasie rąbania powstawał, podawano w woreczku i też natychmiast trzeba było wysypać, a woreczek oddać strażnikowi. Starosta pod czujnym okiem prawie wszystkich więźniów rozkładał to wszystko na 40 w miarę równych porcji. Jednocześnie strażnik podawał wiadro wody, jak sam zobaczyłem, zaczerpniętej w pobliskim strumieniu. Drugie wiadro wody podawano wieczorem, po kontroli wagonu i przeliczeniu więźniów. Piło się prosto z wiadra. Rano też podawano opał - trochę węgla i szczapek drewna. Do podpalenia strażnik dawał zapalki. Opału też wydawano coraz mniej, aż w końcu wcale. W wagonie było bardzo zimno, wiadu było bardzo kiepsko ubranych, więc marzli. Wtedy, już po dwóch czy trzech dniach podróży, zaczęli palić deski z dolnych prycz, które były prawie niezaludnione. Do dziś nie potrafię odpowiedzieć w jaki sposób te długie i grube (chyba calowe) deski zostały przerobione na szczapki wchodzące do tego maleńkiego piecyka. Mogę powiedzieć, że do końca podróży została spalona prawie cała jedna dolna prycza. Łamanie tych desek odbywało się oczywiście w czasie jazdy, jak obok nie było straży. W czasie kontroli strażnicy widząc ubytki desek uprzedzali, że prycz nie wolno palić, ale cały wagon gorliwie zapewniał, że tylko tyle desek zawsze było i żadnych kar z tego tytułu nie było. Oczywiście, w czasie pier-

wszego wydawania dziennej porcji, uczyniono wyznaczonego starostę - jednego z więźniów - odpowiedzialnym osobiście, a wszystkich w wagonie zbiorowo - za ucieczkę jakiegoś więźnia. Te dwa obowiązkowe postoje odbywały się zawsze w szczerym polu, chyba nawet daleko od stacji. Nawet zbudowań nie widziałem w pobliżu. Przez stacje pociąg przejeżdżał szybko. Oczywiście, miał pociąg jeszcze dodatkowe postoje, w czasie których nic się nie działo, tylko straż chodziła wzdłuż wagonów i po dachach. Ale te postoje również były na bezludziu. Pierwszego ranka, jak pociąg zatrzymał się za Lwowem, w szczerym polu zobaczyłem w wagonie chłopaka, trochę starszego ode mnie. Na imię miał Jurek, skończył trzy czy może cztery klasy gimnazjalne, był synem oficera, ale za co siedział, jak trafił do więzienia, nie wiem. On także nocował na dolnej pryczy. Ubrany był podobnie jak ja i postanowiliśmy razem, wspólnie się urządzać. Przez całą drogę spaliśmy razem. Na pryczę kładliśmy jego płaszcz, też podbity futrem, przykrywaliśmy się moim płaszczem z futrzaną podpinką, a na to moim kocem. Pod głowę kładliśmy tobołki z naszymi rzeczami. Tak śpiąc nie marzyliśmy. W warunkach tych nie było mowy o żadnym myciu się, ani o rozbieraniu się do snu. Myśmy i tak spali luksusowo, bo zdejmowaliśmy płaszcze. W wagonie, w którym jechałem chyba połowę stanowili chłopci - ukraińcy. Naogół w sile wieku, zdrowi, dobrze jeszcze wyglądający. Zachowywali się cicho, byli raczej milczący, a jak mówili po ukraińsku - to prawie szepcąc między sobą. Druga połowa składu osobowego, to też prawie wszyscy chłopci, kilku drobnych rzemieślników, no i nas dwóch chłopaków. Wyjątek stanowił starosta - krępy, puciołowaty na twarzy mężczyzna w wieku 30-35 lat. Podśluchałem rozmowę innych współwięźniów: "No popatrz, przed wojną był policjantem, a teraz tu w wagonie, też jest władzą". Tak mówili o staroście wa-

gonu, a czy to była prawda - nie wiem. Wszystkich łączyło jedno - albo przyszli do Ruskich, albo chcieli od nich uciec, albo w domu zostali zadenuncjowani, że mają zamiar uciec. Rozmowy oczywiście były prowadzone na temat trasy podróży, a głównie dokąd i po co nas wiozą. Ciągłe jeszcze nie dopuszczano myśli, że do Rosji. Dwa razy w nocy, jak byliśmy jeszcze na terenie Polski, były alarmy. Pociąg nagle stanął, słychać było wystrzały karabinowe, krzyki. Były to próby ucieczki, ale nie wiem czy udane. Co do kierunku podróży sprawa po 3 czy 4 dniach się wyjaśniła; siedzący przy okienku oznajmili, że pociąg wjeżdża na most nad Zbruczem. Był dzień, leżałem na dolnej pryczy, nie zerwałem się aby docisnąć się do okienka. Ktoś głośno powiedział - "no, to jesteście u Ruskich!". W wagonie zapanowało przygnębienie, a i poprzednio nie było wesoło. Utkwił mi w pamięci jeden młody, najwyżej 30-letni mężczyzna - Polak. Na głos zaczął rozpaczać, że tak dobrze zaczęło mu się powodzić, miał domek z ogródkiem, pracował w jakiejś dobrej fabryce, rok temu się ożenił, widział jak coraz lepiej będzie mu się żyło. Gadał to wszystko na głos i płakał trzymając się za głowę. Jęczał, za co go to nieszczęście spotyka. Został zwymyślany przez innych więźniów, mnie dali za przykład, że nie biadolę i nie jęczę, no i wreszcie się uspokoił. Ja po prostu nic nie mówiłem, milczałem. Teraz to już ucichły rozmowy na temat trasy i dokąd nas zawiozą. Zapanowała raczej przygnębiająca atmosfera. Straż robiła kontrole jak poprzednio, ale po przekroczeniu Zbrucza, wydaje się, że byli mniej spięci. Odkąd znaleźliśmy się w Rosji nie było już ani jednego nocnego alarmu. W wagonie, w którym jechałem nikt nie podejmował próby ucieczki. W miarę upływających dni podróży robiłem się coraz słabszy. Właściwie nic konkretnie mi nie dolegało, ale coraz więcej leżałem na pryczy. Wreszcie po

8, najwyżej 10 dniach podróży pociąg minął powoli dużą stację, zatrzymał się za stacją na bocznicę. Rozpoczął się duży ruch straży. Był poranek, ale żywności ani wody nie wydawano. Zamościło się, że to koniec tej podróży. Ktoś powiedział, że ta stacja to Cherson. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie w Rosji leży ten Cherson, chociaż w gimnazjum nasz wychowawca i geograf, prof. Gustaw Wawrzyński uczył nas bardzo dokładnie geografii. Wiem, że to gdzieś na Ukrainie. Słychać było ruch przy innych wagonach, rozkazy, nawoływania. Wszyscy odruchowo przygotowali się do wyjścia, zebrali swój dobytek, a na razie czekali, siedząc na pryczach lub stojąc. Wreszcie strażnik odsunął z trzaskiem wrota i krzyknął: „*Епископъ въхогумъ съ бегаму!*”

Strażnik liczył wysiadających i skierowywał do uformowanej już kolumny więźniów ustawianych czwórkami (nie jestem pewien - czy nie piątkami). Myślę, że nie rozładowano od razu całego transportu, a tylko kilka wagonów. Cały ten rozładunku był otoczony żołnierzami z karabinami w rękach oraz widać było kilku żołnierzy z psami na smyczy. Więźniowie brudni, nie ogoleni, w ubraniach, kurtkach i płaszczach bez pasków, spodnie zwisające (paski i szelki odebrano w Brygidkach we Lwowie), trzewiki bez sznurówek (też zabrali w Brygidkach), z jakimiś łachami pod pachą, przedstawiali widok bandy nędzarzy. Dzień był wiosenny, było wilgotno i zimno, widać było błoto, pochmurno, ale nie padało. Po wyładunku z wagonu, widziałem jak strażnik wlaził do wagonu i sprawdzał, czy nikt nie został. Konwój był surowy, rozkazy do więźniów mówiono głośno, jakby ze złością. Po uformowaniu kolumny całość została otoczona żołnierzami z karabinami w rękach, dowódca wygłosił sakramentalne ostrzeżenie, jak ktoś uczyni krok bieżym, to konwój będzie strzelał bez uprzedzenia, całość ruszyła. W czasie podróży, a także w czasie rozładunku niektórzy

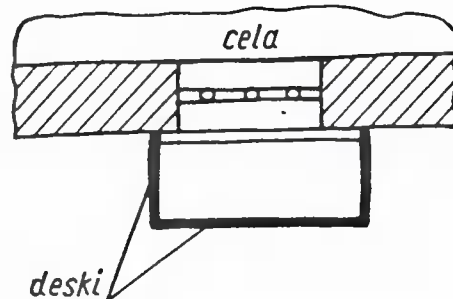
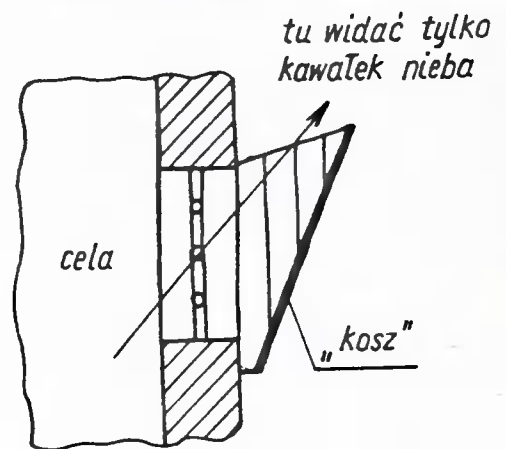
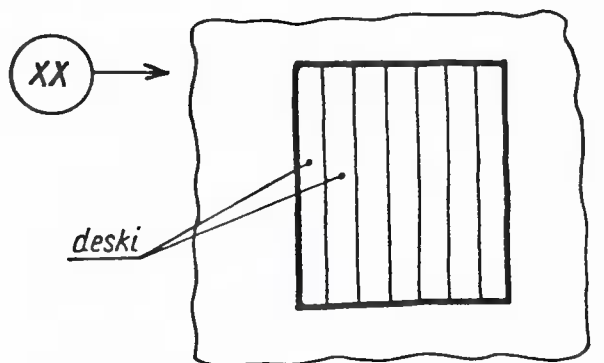
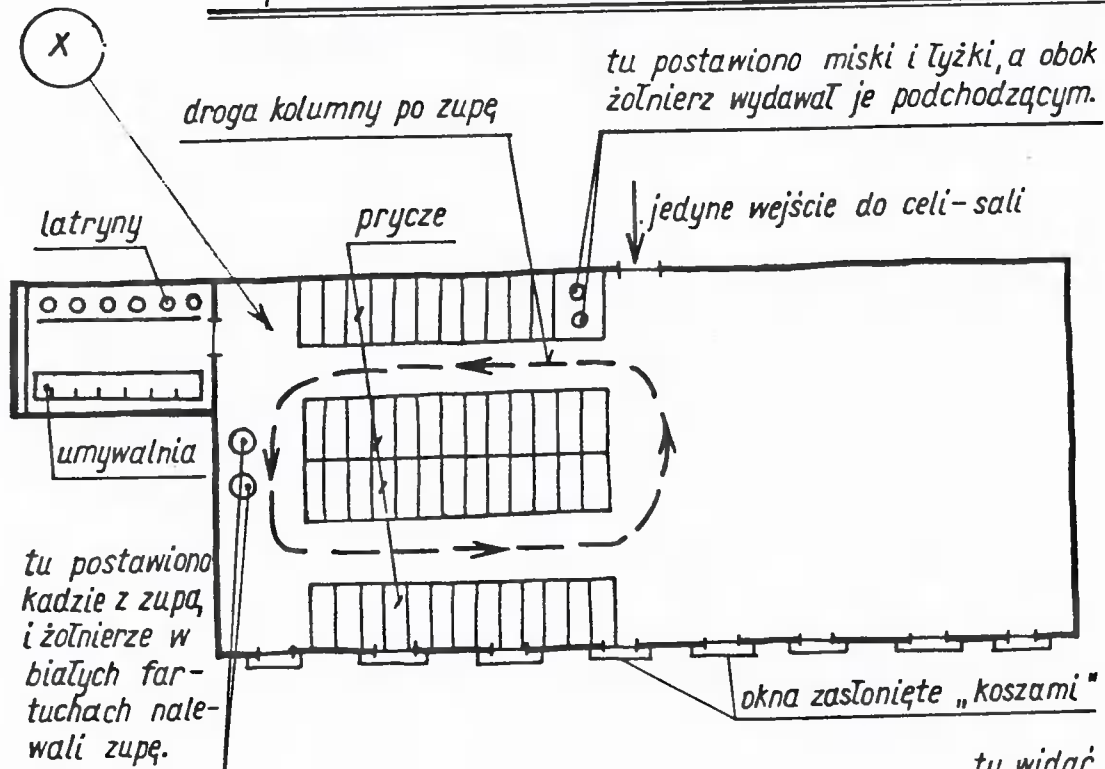
⑤

więźniowie mówili, że w tym transporcie wiozą również kobiety. Myślałem o Manie, jak Ona zniosła te warunki podróży, chciałem Ją zobaczyć, a jednocześnie bałem się tego spotkania. Wpatrywałem, ale w kolumnie nie zobaczyłem kobiet. Nie wiem, czy w tym transporcie były kobiety. Przemarsz kolumny więźniów odbywał się w godzinach przedpołudniowych przez miasto. Szedłem gdzieś w środku kolumny, skrajny z lewej strony. Oddychałem z przyjemnością świeżym powietrzem po dusznym jednak i zasmrodzonym wagonie. Widok miałem dobry i gapiłem się na miasto i ludzi. Kolumna szła równym krokiem, ale nie za prędko. Miasto, mogę powiedzieć jak miasto, domy, kamienice, tylko mało sklepów. Natomiast przechodnie, a było ich widać niewiele, ubrani biednie, szaro. Nikt z przechodniów nie zatrzymywał się, aby popatrzeć na kolumnę więźniów. Raczej odwracali głowy lub skręcali w bok z tej ulicy. Robili wrażenie przestraszonych i unikających nawet wzrokowego kontaktu z więźniami w kolumnie. Nie wiem dlaczego, ale jakoś ucieszyłem się, jak zobaczyłem, według mojej oceny, kościół katolicki zbudowany z czerwonej cegły. Oczywiście, ani przy wejściu, ani na wieżach nie było krzyży, a na drzwiach i obok drzwi wisiały czerwone, duże tablice z niezrozumiałymi dla mnie napisami. Marsz nie trwał zbyt długo, nawet się nie zmęczyłem, jak po przejściu placu porośniętego trawą - teraz zeschłą - zobaczyłem więzienie. Było to porządne, na pewno jeszcze carskie, więzienie zbudowane z czerwonej cegły (takiej, jak cytadela w Warszawie). Całość była otoczona murem, też z czerwonej cegły, wysokości jednego, a może dwóch pięter. Na wierzchu druty kolczaste w kilka rzędów. Na wszystkich rogach, czy załamaniach muru, wieże strażnicze z reflektorami. Wieże miały galeryjki do chodzenia oraz budki oszklone. Ponad murem, wewnątrz, widać było budynki, chyba czteropiętrowe. Okna wszystkich budynków by-

ły zasłonięte tak zwanymi koszami. Oczywiście, pierwszy raz widziałem coś takiego i robiło to dziwne wrażenie. Brama więzienia już z daleka była szeroko, gościnnie otwarta. Było już prawie południe i słońce nawet błysnęło kilka razy spoza chmur. Przez podwórze więzienne wprowadzono całą kolumnę do olbrzymiej sali położonej na parterze. Przy wejściu konwój zachowywał spokój, ludzie nie popędzali, nie krzyczeli. Kilku żołnierzy przy drzwiach do tej sali - celi liczyło ludzi. Sala była bardzo wysoka, okna zakratowane umieszczone pod sufitem, też zakryte koszami, ale niedostępne. Z dołu widać było tylko kawałek nieba. Może osiągnąłby głową do okna człowiek, gdyby stanął na ramionach drugiego. Byłem znowu sam w tym tłumie, zostaliśmy z Jurkiem rozdzieleni, a może on umyślnie ulokował się daleko odem mnie. Nie byłoby to nawet tak bardzo naganne, bo mógł się bać, że spadnie na niego opieka nad kimś słabszym. Ja już od dłuższego czasu wiedziałem, że mogę liczyć tylko na siebie i nie usiłowałem go szukać. Połowa tej sali była zupełnie pusta, a w drugiej połowie stały jednopoziomowe prycze zbite z desek. Z tej dużej sali było wejście, bez drzwi, do małego, ale jak ważnego i potrzebnego pomieszczenia. Były tam latryny i umywalnie, wprawdzie z zimną wodą, ale były dostępne i czynne. Pod sufitem wisiały rzędem bardzo duże żarówki, niczym nie osłonięte. Mimo wprowadzenia tak znacznej ilości ludzi, w celi nie było ciasno. Ludzie spokojnie pozajmowali miejsca na pryczach, położyli tam swoje łady (jak mieli). Chodzili do latryny, myli się w umywalni, wprawdzie bez mydła, ale można było się umyć. U ludzi nastąpiło pewne odprężenie i uspokojenie. Trwało to najwyżej godzinę, jak otworzyły się drzwi i żołnierze wnieśli drewniane, duże kadzie z gorącą, parującą zupą oraz stosy misek (jak sobie przypominam aluminiowych) i drewnianych łyżek. Drewniane łyżki były dla mnie

(X) Pierwsza, przejściowa, cela w więzieniu w Chersoniu 88.

(XX) Tzw. „kosze” na oknach założone we wszystkich więzieniach sowieckich.



To są „kosze” na okna, aby więzień nie mógł wyglądać przez okno. Aby nic nie widział co się dzieje na zewnątrz. To była dodatkowa udręka dla więźniów.

o bardzo dziwnym kształcie - pierwszy raz takie widziałem. W płachcie wniesiono również kromki czarnego chleba. Odsunięto więźniów od tych smakołyków i jakiś starszy rangą wygłosił krótkie przemówienie: "Ustawić się w kolumnie czwórkami. Dla każdego wystarczy, nawet po dwa razy". I rzeczywiście szef dotrzymał słowa. Za drugim podejściem nie dawali chleba, a tylko zupę. Zjadłem dwie miski, a chleb schowałem. Ach, jak mi smakowała ta ciepła zupa. Była to prawie zupełnie nie kraszona, cienka "zupka", w której pływały kostki jakiejś jarzyny koloru żółtego. Znawcy twierdzili, że to brukiew. Nie tylko mnie, ale wszystkim smakowała po 8 czy 10 dniach podróży bez łyżki ciepłej strawy. Wydawanie jedzenia odbywało się w spokoju, sprawnie, bez konfliktów. Żołnierze zabrali puste kadzie, miski i łyżki, wyszli i znowu był spokój. Widać było, że dzień się kończy, ale było jeszcze widno. Położyłem się na pryczy, leżałem i bezmyślnie gapiałem się w sufit. Poprzednio zdażyłem się umyć i czułem się odświeżony. Na sąsiadów nie zwracałem uwagi. Zaczął się mrok. Zaświeciły się jaskarawo "gołe", bardzo silne żarówki zawieszone pod sufitem. Było tak jasno, że w najdalszym kącie można było zobaczyć szpilkę. Weszła gromada strażników w mundurach, wszystkim kazali zgromadzić się w tej części, gdzie były prycze. Szeregiem przegrodzili salę na pół. Wniesiono stoły, a na stołach ułożono, no oczywiście, stosy teczek. Jednocześnie do drugiej, pustej połowy sali weszło chyba z dziesięciu, a może więcej strażników, w białych fartuchach, podobnych do lekarskich, zawiązanych tasienkami na plecach, założonych na mundury. Wywoływano nazwisko. Delikwent podchodził do stołu, razem ze swoimi wszystkimi łachami, sprawdzano szczegółowo dane personalne identyfikując więźnia z teczką. Teczkę przekładano na drugi stół, a więzień razem ze swymi łachami ^eprzechodził na drugą stro-

nę kordonu. Tu czekał na niego żołnierz w fartuchu. Rozpoczęła się rewizja. Przeszedłem takich rewizji dziesiątki, a więc opiszę dokładnie, a dalej będę mówił: została przeprowadzona zwykła rewizja lub zwykła procedura.

Najpierw podawało się żołnierzowi, po jednej sztuce, wszystkie łachy trzymane w rękach. Rewidujący każdą rzecz dokładnie oglądał, obmacywał szwy, sprawdzał czy nie ma napisów. Po zrewidowaniu rzucał na cement, niejako "za siebie". Potem więzień po kolei rozbierał się ze wszystkich swych rzeczy, a z każdą rewidujący robił to samo. Wreszcie więzień zostawał nago. Acha, muszę dodać, że buty cieszyły się szczególnymi względami - rewidowano je tak skrupulatnie, że aż odrywano zelówki i obcasy. Jeżeli rewidującemu wydawało się, że wyczuł coś podejrzanego w szwie ubrania - marynarki, spodni czy koszuli, to natychmiast pruk szwy. A zatem jak wspominałem, więzień stał wreszcie nago, oczywiście na bosaka. Wtedy strażnik sprawdzał, czy nie ma czegoś schowanego we włosach, uszach, nosie, no i bardzo dokładnie w ustach, nawet pod językiem. Jeżeli wydawało mu się coś podejrzanego, to pakował paluch do ust. Kazał rozłożyć ręce na boki, sprawdzał pod pachami. Wreszcie kazał podnieść ręce do góry, dłonie otwarte skierowane do strażnika, palce rozczapieżone. Z tak ustawionymi rękami, kazał więźniowi stanąć w rozkroku i robić przysiady. Na ogół ta operacja kończyła się po 2-3 przysiadach. Następnie kazał podnieść jedną nogę, sprawdzał czy nie ma czegoś przyklejonego na podeszwie nogi, sprawdzał między palcami nóg. Po tej kontroli kazał zrobić duży krok naprzód tą sprawdzoną nogą i tak samo sprawdzał drugą nogę. W czasie rewizji odbierano wszystko co zdołał więzień zachować poza ubraniem. A więc igły, szpilki, agrafki, ołówki, grafity od ołówków, zapalniczki, metalowe guziki i sprzączki odpruwano, szczególnie polowano na zapi-

sane kawałki papieru, fotografie bliskich. Pytali i intensywnie szukali biżuterii, obrączki też były odbierane, ^{oraz} pieniądze, zarówno metalowe, jak i papierowe. Oczywiście, były odbierane wszelkie metalowe przedmioty, nawet aluminiowe łyżki, o nożach czy szczyrykach nawet nie wspomnę. Więzień nie ma prawa nic posiadać poza łachami pozbawionymi wszelkich metalowych i osobostych rzeczy. Jak ktoś miał przybory do golenia lub neseser z kosmetykami, to też odbierano bez litości. Rewidujący żołnierz obejrzał kwit na zegarek, oddał, ale sprzączki u spodni obciął i jakieś drobiazgi zabrał, chociaż wydawało mi się, że już nic nie mam. Stojąc jeszcze nago, ostrzyżono - robił to chyba więzień funkcyjny - włosy na głowie, pod pachami i w kroczu. Jak ktoś miał brodę, to też ostrzyżono. W dalszych rewizjach tego strzyżenia nie robiono, bo zawsze fryzjerzy pracowali jak wprowadzano więźniów do łaźni. Teraz tutaj, wyjątkowo odbyła się jeszcze jedna uroczystość. Ciągłe nago, przechodziło się do żołnierza też ubranego w biały fartuch, był to lekarz czy felczer. Głównie sprawdzał, czy nie jest się chorym wenerycznie. Jednocześnie każdemu mierzono gorączkę. Jak zobaczyłem miałem 37 z kreskami, ale tego nie uznawano za objaw choroby. Cała ta operacja przebiegała sprawnie, bez krzyku, w sposób dobrze zorganizowany. Mimo to trwała do późnych godzin nocnych. Zakończyła się jak wszyscy więźniowie znaleźli się po drugiej stronie kordonu, w tej części sali bez prycz, można było siedzieć na cementowej posadzce. Wtedy kazali wszystkim wstać, ustawić się piątkami, przeliczyli, chyba ze cztery razy. Robili to różni żołnierze, raz z jednego końca, raz z drugiego. Tak odbyło się przekazanie przez dowódcę konwoju transportu, więźniów, naczelnikowi więzienia. Muszę dodać, jak przekonałem się potem w celi, że cały szereg więźniów, mimo tak dokładnej rewizji, przemycił różne

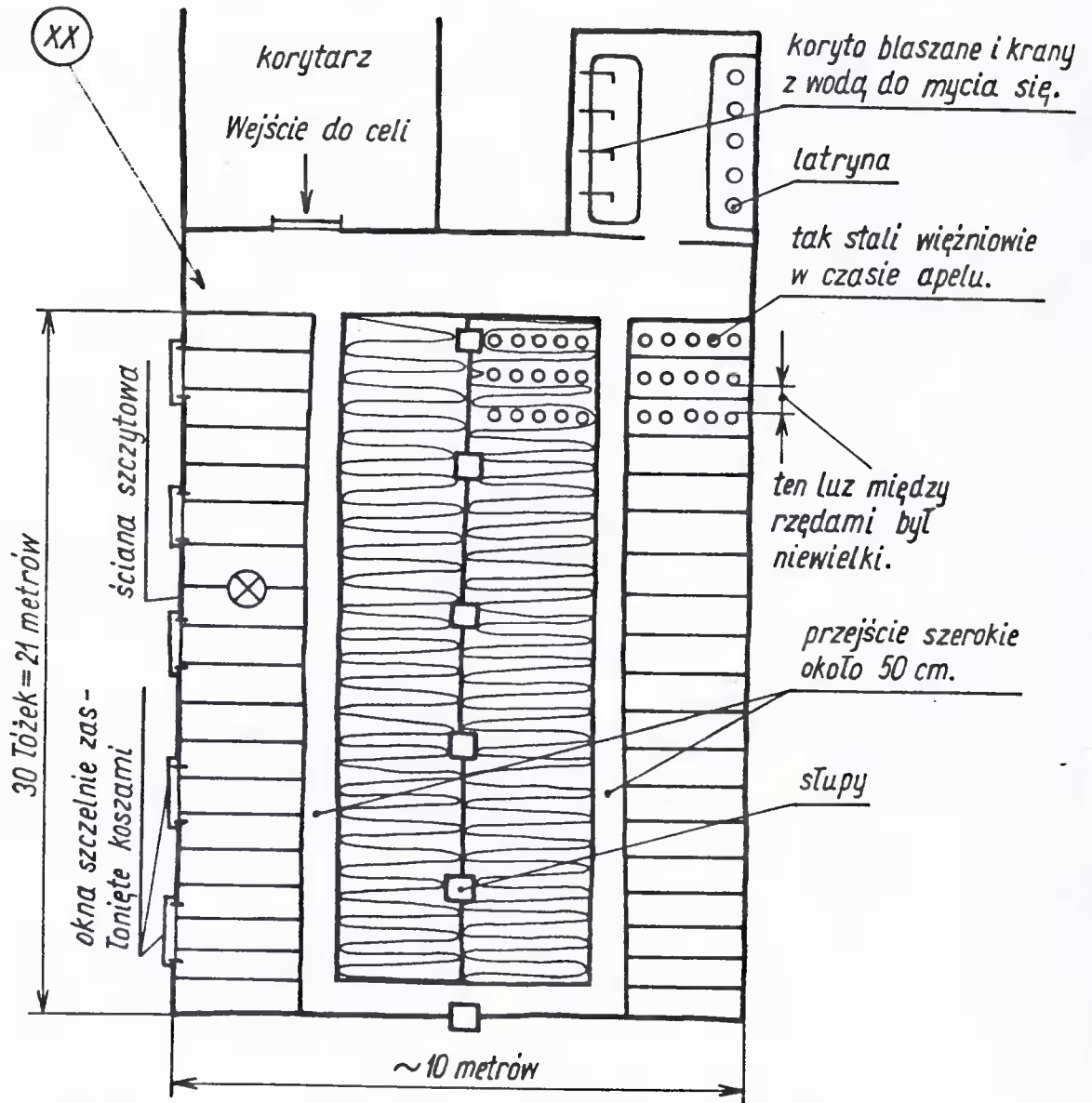
cenne rzeczy. Widziałem przemycone pierścionki, pieniądze, ułamki żyletek, agrafki, szpilki, grafity od ołówków, a nawet krótkie ołówki oraz inne cenności, np. łyżki metalowe. Można powiedzieć, że żadne działanie ludzkie nie jest doskonałe, ciągle ktoś spartoli robotę. Mnie na przykład zostawiono duże, z białego metalu, guziki u gimnazjalnego płaszcza; naprawiono to w więzieniu w Nikołajewie.

Dokładna data tego dnia jest mi nieznana, ale można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że około 20 kwietnia 1940 r. Miałem 15 lat i 8 miesięcy.

7. Więzienie w Chersoniu - wyrok

Tej samej nocy zaczęto rozprowadzać już tak przyjętych więźniów do innych cel. Ja wraz z bardzo dużą grupą zostałem wprowadzony znowu do dużej celi położonej, jak pamiętam, na I piętrze. Okna w jednej dłuższej ścianie całkowicie zasłonięte "koszami", tak że nawet we dnie panował tam mrok. Światła paliły się całą noc, ale nie były uciążliwe. Celata miała własną latrynę z umywalnią, a więc była wręcz luksusowo wyposażona. Wzdłuż obydwóch podłużnych ścian stały jedne przy drugich żelazne łóżka. Na środku dwa rzędy drewnianych prycz. Na to były położone sienniki z bardzo startą słomą i trochę brudnych, śmierdzących koców. Pomiędzy łózkami i pryczami było przejście szerokości około 50 cm. Koło drzwi wejściowych do tej celi było pozostawione trochę wolnego miejsca, gdzie ustawiano kadzie z zupą, wydawano chleb i cukier. Tam tylko paliło się kilka bardzo silnych żarówek. Apel odbywał się dwa razy na dobę. Wtedy wszyscy stawali na łózkach i pryczach, po pięciu w rzędzie, a strażnicy, bez broni, chodzili wokoło tym przejściem i kilkakrotnie przeliczali więźniów. Gwar i ruch w celi panował w różnym natężeniu całą dobę, gdyż najdogodniejszą porą do umycia się i załatwienia się w latrynie była noc. W dzień, a szczególnie rano, latryna z umywalnią pełna była ludzi z niecierpliwością oczekujących swej kolejki. W celu lepszego zobrazowania szkic celi obok. Wielokrotnie zastanawiałem się ilu więźniów siedziało w tej celi? W celu oceny podaję szacunkowe obliczenia. Na ile one są wiarygodne, trudno zweryfikować, ale rachunek ma cechy prawdopodobieństwa. Po wprowadzeniu do celi okazało się, że na dwa łóżka przypada 5, a nawet 6 więźniów. Na pryczach gęstość analogiczna. Wszyscy wprawdzie mieli miejsca leżące, ale pokotem, jeden

⊗ → Cella w więzieniu w Chersoniu gdzie początkowo siedziałem z dorosłymi.



⊗ mój opiekun ulokował się ze mną mniej więcej w tym miejscu.

przy drugim. Trudno się było obrócić na drugi bok. W czasie apelu też między rzędami nie było za dużo luzu. Łóżko ma szerokość 70 cm, to 10 łóżek = 7 metrów. Wg mojej oceny stało pod ścianą 30 łóżek. Takich rzędów, łącznie z pryczami było 4, a więc umownych łóżek: $30 \times 4 = 120$. Na dwa łóżka nie mniej niż 5, to stanowi ogółem: $(120:2) \times 5 = 300$ więźniów. Liczbę 300 więźniów w tej celi uważam za prawdopodobną, może nieco, o ok. 20% zaniżoną. Kończąc te wywody, określam, że w tej celi siedziało 300 do 350 więźniów. Jedzenie: rano - chleb czarny ok. 30-40 deka, ale już o wiele gorszy jak w Brygidkach, cukier w ilości ok. 2 kostek (rąbany) i "czaj", udający herbatę; obiad - zupa, ale bardzo cienka, mętna polewka, w której pływało czasem trochę jakiejś kaszy, czasem kartofel, czasem brukiew; kolacja - "czaj", czasem jakaś już bardzo cieniutka polewka i chleb jak ktoś zachował od rana. Takie jedzenie powodowało, że ludzie wydzielali bardzo dużo gazów i skarżyli się na obstrukcję. Wszy pojawiły się już w dość dużych ilościach oraz wylazły ze szpar w łózkach i pryczach - pluskwy. Bardziej jednak w tej chwili dokuczały wszy. Pluskwy widocznie zaczęły się dopiero rozmnażać, po otrzymaniu świeżego pożywienia. Dodać muszę, że cela nie była zbyt wysoka. Jak ludzie stali na łózkach, to wyciągniętą ręką człowiek średniego wzrostu wprawdzie nie dotykał jeszcze sufitu, ale był blisko. Przy takiej ocenie wysokość wynosiła ok. 3,20 m do 3,50 m. Przy tak licznych zgromadzeniu, oknach szczelnie zasłoniętych i uchylonych tylko u góry tak zwanych "oberluftach", w celi było duszno, po prostu smród. Jak szyderstwo ze zdrowego rozsądku brzmi stwierdzenie, że najlepsze powietrze było w pomieszczeniu latryny i umywalni. Jest to oczywiste, bo tam było pod sufitem kilka kratek wentylacyjnych.

Jeszcze mówiąc o wyposażeniu celi dodam kilka słów o ok-

nach. Takie, jak opisuję były we wszystkich celach więzienia w Chersoniu. W celu lepszego zrozumienia opisu, podaję obok szkic. Od strony celi były kraty, za nimi normalne okno, z szybami, ale nie można go było otworzyć. Można było otworzyć, a raczej uchylić tylko "oberluft". Całość szyb i krat sprawdzali strażnicy w czasie apelu. Bardzo starannie oglądali jedno i drugie, szczególnie szyby, czy nie są wybite. We wszystkich celach podłogi były betonowe. Być może na korytarzach pokryte cienką warstwą asfaltu, ażeby strażnicy ^{mogli} się poruszać bezszelestnie, zresztą chodzili w butach bez gwoździ; podeszwy były prawdopodobnie gumowe. Rozpisałem się szeroko o celi, a czytelnikowi niechaj wyobraźnia podpowie resztę, jakie to stwarzało warunki.

W trakcie wprowadzania do celi zaopiekował się mną bardzo przedsiębiorczy lwowiak. Kim był i dlaczego znalazł się w więzieniu - trudno mi powiedzieć. To, co zapamiętałem - a nie znam Jego imienia ani nazwiska - był silnie zbudowanym, około 40-letnim mężczyzną, wzrostu raczej średniego, miał ciemny zarost i ciemne oczy. Kim był - też nie wiem, ale na pewno posadzono go za przejście lub próbę przejścia granicy. Coś z półskówek wynikało, że chyba z jakimś przemytem, ale to są luźne domysły. Kim był z zawodu i co robił przed wojną - nie wiem. Mógł być wyższej klasy złodziejem, tak zwanym "niebieskim ptakiem" lub działaczem sportowym, a może kimś innym. Mój opiekun dobrał sprawnie również najbliższe otoczenie - byli to wszystko Polacy, żołnierze lub oficerowie (o jednym wiem na pewno) złapani przeważnie na rumuńskiej granicy. Wszyscy szli do Francji, do Armii Polskiej gen. Sikorskiego, aby walczyć nadal z Niemcami. Niektórzy byli złapani zaraz po przejściu z terenów Polski zajętych przez Niemców. W celi siedzieli obywatele polscy, różnej narodowości, a więc Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini - wy-

mieniam w kolejności liczebności grup. Wszyscy reprezentowali kompletny, moim zdaniem, przekrój zawodowy i socjalny naszego społeczeństwa. Polacy - to głównie mężczyźni pragnący walczyć nadal z Niemcami, częściowo w wojskowych i częściowo w cywilnych ubraniach. Zawody - inżynierowie, lekarze, śpiewak operowy, rzemieślnicy, chłopci, ludzie wolnych zawodów i sam nie wiem kto. Było również kilku Polaków, ale bardzo niewielu, takich jak ja, powracających do Polski centralnej z wojennej tułaczki we wrześniu 1939 r. Żydzi - uciekinierzy spod okupacji niemieckiej. W tej grupie wyróżniał się swą postawą, ubiorem (jeszcze noszącym cechy elegancji) zespół może 6-8 osób, inteligentnych, w dużym stopniu spolonizowanych, Żydów - przemysłowców z Łodzi. Reszta Żydów - to wręcz biedni drobni rzemieślnicy - wyrobnicy, trochę mizernych kupców, wszyscy uciekinierzy od Niemców. Ukraińcy - to wszystko chłopci, którzy wpadli na granicy nie bardzo sobie zdając sprawę, że popełniają ciężkie przestępstwo. Nie spotkałem żadnego siedzącego inteligenta - Ukraińca. Białorusinów było niewiele - też chłopów, też aresztowanych za naruszenie "granicy", tak jak Ukraińcy. W celi, mimo tyłu narodowości, panował w użyciu język polski. Zadając pytanie komukolwiek po polsku, zawsze w takim języku otrzymywałem odpowiedź.

W trakcie wprowadzania do celi strażnik wyznaczył "starostę". Mianował nim Polaka - staruszkę, już sędziwego, pomarszczonego, jakiegoś bardzo zagubionego i widać psychicznie przybitego człowieka. Starosta celi był jedyną osobą upoważnioną przez władze więzienne do zgłaszania i załatwiania ze strażnikiem wszystkich żywotnych spraw celi. On odbierał rano chleb i cukier dla całej celi, musiał być obecny przy wydawaniu zupy, aby nikt nie podszedł dwa razy, zgłaszał chorych strażnikowi i inne ewentualne potrzeby. Staruszkowi to wszystko nie wychodziło, zresztą

wcale nie garnał się do pełnienia tej funkcji. Wobec tego Polacy, jako najbardziej przedsiębiorcza grupa więźniów, zaproponowali wszem i wobec, aby wybrać nowego, innego starostę. Cała cela aprobowała wniosek. Została wybrana komisja wyborcza reprezentująca wszystkie narodowości, taka sama komisja skrutacyjna, zgłoszeni kandydaci. Każdy z kandydatów przedstawił się i nastąpiły demokratyczne, jawne wybory. Miażdżącą większością głosów został wybrany starostą mój opiekun. Nowy starosta, za aprobatą ogółu, dobrał sobie jeszcze dwóch pomocników, jednego Żyda i jednego Ukraińca. Mieli oni rozstrzygać ewentualne spory, sprawować nadzór nad porządkiem oraz zapewnić skuteczną łączność i egzekwowanie żądań od straży więziennej. Pozostał jeszcze drobniak - należało zawiadomić strażnika-klucznika. Starosta i pomocnicy, stukaniem w drzwi przywołali strażnika; otworzył on drzwi i spokojnie wysłuchał komunikatu o wyborze nowego starosty, wygłoszonego mieszaniną polsko-rosyjską przez mego opiekuna. Po zakończeniu tej przemowy ze strony więźniów strażnik zabrał głos. To, co powiedział w streszczeniu brzmiało: jesteście więźniami, wrogami ZSRR, pozbawionymi wszystkich praw. Żadnych wyborów, wieców, zgromadzeń robić nie wolno. Wasze zasrane wybory są nieważne. Starostą jest ten więzień, którego wyznaczył strażnik i nikomu z więźniów nie wolno kwestionować tej, jedynej słusznej decyzji. A w ogóle to nie jesteśmy ludźmi tylko więźniami, a tacy nie mają nic do gadania. Kto temu się nie podporządkuje, to na takiego czeka karczer. Tylko dobroci władz więziennych zawdzięczamy, że cała cela nie została ukarana zmniejszeniem racji żywnościowych, a wybrany starosta z pomocnikami nie siedzi już w karczerze. Tak skończyły się wybory i próba własnej organizacji życia w celi. Jak widać mamy być zatomizowaną, podzieloną na jednostki masą. Niektórzy więźniowie, chcąc

się przypochlebić strażnikowi, byłem świadkiem takich poczynań ze strony Żydów i Ukraińców, próbowali zwracać się do strażnika, per „товарищ” - towarzyszc - towarzysz. Replika strażnika w tych przypadkach była zawsze jednakowa i brzmiała tak:

„Собака тебе товарищ, а не я” —

- co w wolnym przekładzie znaczy: "Kundel ci towarzyszem a nie ja". Lub czasem bardziej dosadnie: „Хуй тебе товарищ”

- co nie wymaga tłumaczenia. Do strażnika wolno się zwracać tylko per „гражданин” "grażdanin", to znaczy "obywatel" lub "obywatelu". Po tych lekcjach wszystkim, którzy mieli złudzenia co do naszych losów, zaczęło coś świtać w głowach, że być może kiepsko. Jednak, mimo to, przeważał raczej optymizm, że jednak rozpatrzą, zwolnią, no może potrzymają jeszcze 2-3 miesiące. Nikt nawet nie myślał, ani nie przypuszczał, że najniższe wyroki będą wynosić 3 lata, a raczej przeważać 5 i 8, a nawet 10 lat.

W rozmowach zastanawiano się, jeżeli będą stawiać przed sądem, jaką przyjąć linię obrony. Czy adwokat będzie z urzędu, czy z wyboru. Nikt nie wiedział o sowieckich sądach zaocznych, tzw.

"trojkach" lub raczej sądu pod nazwą - „особое совещание” -

- sądu zaocznego, którego wyroki wykonywano natychmiast i nie podlegały żadnym zaskarżeniom. Piszę o tym, ażeby uprzytomnić, jak słaba, praktycznie żadna, była znajomość ZSRR. Nikt nie miał pojęcia o sądownictwie w sowietach, a dyskutowali na te tematy ludzie wykształceni.

Ja w dyskusjach udziału nie brałem, ale słuchałem, mogę powiedzieć: chłonałem wrażenia, niezwykle silnie na mnie działające, nieświadomie nawet magazynując je w swojej pamięci. Dyskusji było wiele, a szczególnie opowiadań z wojny we wrześniu 1939 r.

Opowiadał żołnierz, miał na sobie buty i spodnie wojskowe,

a u "góry" koszulę i marynarkę nie dopasowaną do jego figury. Mówił o walkach z dywersantami w Bydgoszczy i wreszcie, jak na rozkaz musieli się wycofać, jak ludzie płakali widząc wychodzące wojsko polskie. Z opowiadania wynikało, że należał do jednostek walczących na Pomorzu. Jeszcze ich jednostka, mocno uszczuplona, przedarła się do Warszawy, wspominał z uznaniem swego dowódcę - kapitana. Po kapitulacji powiedział, że chce walczyć dalej, nie poszedł do niewoli, częściowo się przebrał z pomocą ludności. Granicę do Ruskich przeszedł bez trudu, natomiast wpadł przy próbie przejścia do Rumunii. Bardzo dosadnie wyrażał się o tych, którzy załapali go i^u (których siedzi. Z całej jego osoby przebijała energia i chęć walki z Niemcami. "A teraz - jak mówił - muszę tu gnić u tych pieprzonych przyjaciół Niemców!".

W innym miejscu, Waldek, tak go nazywali ludzie z najbliższego otoczenia, opowiadał o walkach lotnictwa. Ubrany był w wysokie, futrzane buty lotnicze, skórzaną ocieplaną kurtkę. Wzrostu raczej średniego, blondyn, w ruchach zręczny, widać dobrze wysportowany. Mówił, że był pilotem bombowca "Łoś", a zatem oficer. W pierwszych dniach września otrzymali rozkaz zniszczenia kolumny zmotoryzowanej idącej z Prus. Dokonali udanego nalotu i znaleźli się nad terytorium Prus, gdzie zostali trafieni przez artylerię przeciwlotniczą. Samolot jeszcze dał się prowadzić, ale wiedzieli, że na teren zajęty przez wojska polskie nie dolecą. Zdecydowali wylądować na polanie w lesie i tak uczynili. Udało się to na tyle szczęśliwie, że samolot nie zapalił się - lądowali na brzuchu. W załodze ktoś był ranny, ktoś potłuczony, ale postanowili nie poddawać się bez walki. Przygotowali się do wściekłego ataku. Tymczasem dojrzeliby i usłyszeli, po jakimś czasie, odgłosy i ruch wojska niemieckiego otaczającego polanę. Już przygotowali się do otwarcia ognia. Tymczasem na polanę wszedł z białą flagą oficer niemiecki dając znak, że chce roz-

mawiać. Doszło do rozmowy, bardzo grzecznej ze strony Niemca i tym ich, można powiedzieć, rozbroili. Waldek jednak po kilku dniach zdołał uciec. Po różnych przygodach dotarł aż do granicy rumuńskiej i tu go Ruscy złapali. Z jaką goryczą mówił o pozbawieniu go możliwości walki. Był świadom, jak bardzo lotnicy są potrzebni, a on tu siedzi i karmi wszy i pluskwy. Brakowało mu już słów na przekleństwa, po tych rozmowach zamykał się w sobie i leżąc na pryczy tępo patrzył w sufit.

Takich ludzi, chcących dalej walczyć o Polskę, było więcej. Szli do Francji, a gnili tu. Wierzyli jednak w odmianę losu, wiarą niczym nie uzasadnioną, a jednak bardzo silną i nie dyskusyjną. Wręcz byli pewni o zmianie losu, która musi nastąpić. Czym to było podyktowane nikt nie umiał wytłumaczyć, ale wierzyli, że tak długo trwać nie może, bo jesteśmy Polakami, obywatelami polskimi i Ruscy nie mają do nas prawa. Ale na razie wszyscy siedzieli w więzieniu, nie wiedząc co zgotuje im władza radziecka. O tym nie wiedział nikt, odcięcie od świata zewnętrznego było kompletne, nikt nie miał pojęcia, jak toczy się wojna. Opinie na ten temat były tylko różnymi spekulacjami, opierającymi się na pewności o niezwyciężoności Francji. A wiedząc o sojuszu z Anglią przeważała pewność, że Niemcy zostaną pobici ła-
da tydzień i znowu będzie Polska, a my - wolni.

Były też inne rozrywki. Raz został urządzony koncert. Jeden z uwięzionych Polaków był śpiewakiem. W tej przepełnionej celi nastąpiła cisza, a artysta zaśpiewał kilka arii z operetek. Znowu interweniował strażnik. Powiedział, że wprawdzie w czasie tego występu była cisza i spokój, ale takie występy są też zabronione, organizacja wszelkich takich występów zakazana. Jeżeli więźniowie nie usłuchają, to artysta, starosta i pierwszych lepszych dziesięciu, jako słuchaczy zakazanych występów, będzie

osadzonych w karcerze. Tak zakończyły się artystyczne występy. Wszelki śpiew - zabroniony. Pozostawały zajęcia w małych gronach. W jednym miejscu kilku panów opowiadało, jak i co jadało się w znanych lokalach Warszawy. Opowiadano o "Bukiecie", "Bahusie", "Adrii" i wielu innych. Ja jedynie mogłem żałować, że przed wybuchem wojny jeszcze nie dorosłem do goszczenia w takich lokalach.

W innym miejscu opowiadano o występach w teatrach rewiowych, powtarzano dowcipy, wspomniano słynnego Jarosiego, znanych artystów, no i oczywiście artystki. Niektórzy chwalili się znajomością z tymi ludźmi.

Robiono również różne zakłady. Na przykład jeden z panów twierdził, że w Warszawie było 100 kin. Drugi nie wierzył. Założyli się o pajdkę chleba. Natychmiast znalazło się kilku rozjemców i byłem świadkiem, jak ten pan wyliczył 100 kin wygrywając zakład i pajdkę chleba.

Widziałem, jak kilku panów dyskutowało, jak wygląda prawidłowy krok w mazurze. W rezultacie, w tej ciasnocie, jeden z panów to zademonstrował.

Jako nieuniknione zjawisko w takich warunkach rozkwitł handel wymienny. Jedni byli aresztowani jeszcze jesienią, inni zimą. Niektórzy mieli np. po dwie pary butów, czy innych części garderoby. Jak delikwent nie miał nic do ofiarowania, to pozostawała "waluta" w postaci pajdki chleba lub porcji cukru.

W rozmowach ludzie się jeszcze nie bardzo krępowali. Poglądy o naszych dozorcach, a były one mało pochlebne, wyrażano bez osłonek. Polityczne rozmowy przebiegały można powiedzieć, przy pełnej jawności poglądów. Nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze skali inwigilacji i donosicielstwa panującego w tym kraju.

Wspomnę jeszcze o nielicznej, liczącej kilka osób, grupce chłopów z Rusi Zakarpackiej. Byli zupełnie wyizolowani, zagubie-

ni i załamani, ale współczucia im nie okazywano. Mianowicie opowiadali oni - język rusiński był zupełnie niezłe zrozumiały dla Polaków - że jak wojna w Polsce się kończyła i Armia Czerwona wkroczyła do Wschodniej Małopolski, to zapanuje tam wszelka sprawiedliwość. Miało to wyglądać tak, że dobro z dworów i pańskich miaszkań zostanie oddane biednym, a ziemia dworska podzielona i podarowana chłopom - każdemu kto się zgłosi. Tak mówili ludzie znający się na rzeczy, w Rusi Zakarpackiej. Więc przyszli po to dobro, są biednymi chłopami prawie bez ziemi, a więc to wszystko pańskie dobro im się należało. Zgłosili się do pierwszego napotkanego posterunku wojsk Armii Czerwonej, a ci zamiast dać im to dobro, zamknęli ich w więzieniu. Oni są niewinni, przyszli tylko po pańskie dobro i dworską ziemię.

W celi dawało się zauważyć, jak ludzie znoszą więzienie - jedni starali się zachować możliwie schludny wygląd, myli się jak tylko było można, starali się przemyconymi igłami i nićmi wyciągniętymi z różnych części garderoby reperować ubranie, walczyli z insektami. Ta grupa, a w większości byli to Polacy, wiadać jak zachowuje hart ducha i nie załamuje się. Mój opiekun i nasze najbliższe otoczenie należało do takich. Uczył mnie mój opiekun, ażebym nie poddawał się i w żadnych okolicznościach nie wyglądał na opuszczonego łachmaniarza. Inni - wpadali w otepienie, już po kilku dniach więzienia przedstawiali obraz nędzy. Najgorzej znosili więzienie chłopci, oderwani od swych gospodarstw i w ogóle uważający się za niesłusznie pokrzywdzonych. Polacy natomiast, żywiąc niczym nie uzasadniony optymizm, uważali represje za rzecz w pewnym stopniu naturalną, bo siedzą na pewno nie u przyjaciół. Spółka Niemcy - ZSRR była uważana za tę siłę, która podzieliła między siebie Polskę, a teraz każdy oddzielnie represjonował Polaków za to, że są Polakami. Nie wiem, jakie snu-

li przypuszczenia ludzie w innych grupach, o zachowaniach wiem tylko tyle ile mogłem zaobserwować.

Po kilku dniach zaczęto grupami, po kilkadziesiąt osób, wyprowadzać do łaźni. Zostało to przyjęte z dużym zadowoleniem. W grupie ze swym opiekunem zostaliśmy doprowadzeni do innego budynku. W czasie przemarszu zobaczyłem system zabezpieczeń. Mianowicie strażnik na korytarzu był bez broni i w tym korytarzu był zamknięty kratą. Drzwi w kracie otwierał inny strażnik z zewnątrz. Klatki schodowe były na wszystkich poziomach poprzegradzane siatkami z mocnych sznurów. Więźniów chcących popełnić samobójstwo spadłby najwyżej z wysokości jakiś 3 metrów do siatki zawieszanej niżej. W rozbieralni czekali fryzjerzy, którzy dokładnie i bez pośpiechu dokonali strzyżenia, które przeprowadzono po raz pierwszy w trakcie rewizji i przyjęcia do więzienia. Ubrania wraz z bielizną każdy zawiesił na specjalnym haku do odwieszalni (woszebojka). Pozwolono zabrać do łaźni ręcznik, jak kto miał, wydano po kawałku, wielkości pół pudełka zapalek, mydła i pozwolono wejść do łaźni. Ja miałem ręcznik, a do ręcznika zawiązałem czystą jeszcze kuszulę. W łaźni były prysznice, ciepła woda i blaszane miski. Można się było spokojnie, dobrze umyć, strażnicy nie bardzo poganiali. Wychodziło się do drugiego pomieszczenia, gdzie oddawano ubrania po wyjęciu z pieca odwieszalni. Ubrania i bielizna po tej dezynfekcji były gorące, parowały i okropnie śmierdziały. Oddałem do odwieszalni razem z ubraniami również swoją flanelową koszulę, którą nosiłem w Brugidkach, w czasie transportu do Chersonia i dotychczas. Po wyjęciu z odwieszalni, tak jak reszta garderoby śmierdziała, no i była bardzo brudna. Po wytarciu się chciałem założyć czystą. Wtedy mój opiekun jak nie krzyknie: "Tadek, czyś ty zwariował?! Czy chcesz, ażeby wszystkie wszy z całej celi zleciały się do ciebie! Wkła-

daj tą flanelową z odwszalni!". No cóż, zrobiłem tak jak kazał doświadczony człowiek. Włożyłem z powrotem tę brudną i śmierdzącą na siebie. Rzeczywiście, przez kilka dni wszy były też, ale trochę mniej i walka z nimi łatwiejsza.

Mimo tych, można powiedzieć, nie najgorszych warunków, czułem się coraz słabszy. Pozornie nic mi nie dolegało, nie czułem się chory, zacząłem odczuwać jakieś zawroty głowy. Po kilku dniach poczułem się tak źle, że wieczorem podszedłem do drzwi, gdzie urzędował starosta i zacząłem mówić, aby zgłosił mnie do lekarza. W trakcie, jak to mówiłem zemdlałem. Nie upadłem na beton, bo stojący obok złapali mnie. Jak odzyskałem przytomność leżałem już na pryczy. Kilku Polaków, w tym mój opiekun, wszczęli alarm tłukąc nogami w butach w drzwi i domagając się, aby natychmiast udzielono pomocy i zabrano mnie do szpitala. Strażnik, mimo że było już po wieczornym apelu, zadziałał, nie groził karcerem, przyszedł inny strażnik i tak jak byłem ubrany pomaszerowałem do szpitala. Wszystkie moje pozostałe rzeczy, jak np. koc, płaszcz i inne drobiazgi pozostawiłem w celi. Szpital więzienny mieścił się w innym budynku. Po wędrówce przez kilka kolejno otwieranych krat i furtek w murach odgradzających poszczególne budynki zostałem doprowadzony do korytarza z celami szpitalnymi. Tam strażnik oddał mnie w ręce sanitariusza. Najpierw kazał rozebrać się do naga i wykapać się pod prysznicem. Po umyciu się dostałem ręcznik oraz kalesony i koszulę. Z przyjemnością włożyłem tę czystą bieliznę więzienną, całe moje ubranie zostało w przechowalni. Zostałem doprowadzony do celi szpitalnej. Cella niewielka. Było w niej 10 łóżek, po 5 z każdej strony. Łóżka stały prostopadle do ściany, nie przylegały do siebie. Przejścia były z obu stron łóżka. Na łóżkach materac, prześcieradło, mała poduszeczka z powłóczką, koc. Cała bielizna poście-

lowa - biała, czysta. Nad drzwiami świeciła jaskrawym światłem "goła" żarówka. Strażnik - sanitariusz wskazał mi jedyne wolne łóżko stojące najbliżej drzwi. Położyłem się. Strażnik wyszedł, zamknął drzwi, zaczął obserwować celę przez judasza. Wszystko to odbywało się w kompletnej ciszy, bez słów. Widziałem, jak z innych łóżek bacznie mnie obserwują chorzy więźniowie. Szeptem leżący na przeciw zadał tylko jedno pytanie: Kto? Odpowiedziałem: Polak! Na tym skończyła się rozmowa, bo strażnik znacząco zastukał kluczem w drzwi. Usnąłem natychmiast. Nie muszę dodawać, że w czasie całego tego przemarszu nie widziałem nikogo z więźniów, obowiązywała i była przestrzegana izolacja kompletna.

Rano była wizyta lekarska. Przyszła lekarka w kitlu nałożonym na mundur (prawdopodobnie NKWD - jeszcze dobrze nie rozróżniałem rodzajów wojsk), zbadła mnie, sanitariusz zmierzył gorączkę - nie miałem. Pytała jak zrozumiałem co mnie boli. Nic mnie nie bolało. Dostałem normalne szpitalne jedzenie - biały chleb, kaszę i kubek mleka, na obiad tłustą, gęstą zupę, wieczorem herbatę, chleb biały i ser. Do ustępu i umywalni wyprowadzano rano, ale na żądanie również w ciągu dnia. W celi szpitalnej leżeli sami obywatele polscy, Polacy i Żydzi. Rozmów było niewiele. Dwóch leżących na przeciw mnie, jak powiedziałem kim jestem, przedstawili się, że są żołnierzami i zostali złapani na rumuńskiej granicy. Obaj byli ciężko chorzy, nie chodzili. Szczególnie jeden z nich, starszy wiekiem dodawał mi otuchy mówiąc: "Przetrwaj chłopcze, masz szansę i pamiętaj!". Więźniowie byli z różnych cel, a tych dwóch dało mi znać, ażebym nie gadał za dużo, bo to szkodzi zdrowiu. Zrozumiałem. Natomiast dużo ruchu robił w celi polski Żyd, twierdził, że jest z Warszawy, o nazwisku Holender. Był w wieku chyba dobrze po czterdziestce, łysy

jak kolano, starał się mówić po rosyjsku. Co mu było nie wiem, bo chodził dużo i nie robił wrażenia chorego. W czasie wizyt strasznie przypochlebiał się lekarce, a potem opowiadał o swych miłosnych sukcesach. W jego opowiadaniach lekarka jest z nim prawie umówiona na randkę. W ciągu całego dnia miał mnóstwo interesów do strażnika i ciągle usiłował z nim rozmawiać. Pozostali zachowywali raczej milczenie, a ci dwaj żołnierze potrzyli na pana Holendra co najmniej z niechęcią. W tej celi szpitalnej byłem 3 czy 4 dni. Można powiedzieć, cały czas jadłem i spałem. Po tym wypoczynku zostałem po porannej wizycie wypisany, zabrano szpitalną bieliznę, oddano mi moje ubranie i zostałem odprowadzony do celi skąd mnie zabrano. Z powrotem trafiłem na swoje miejsce, a mój opiekun ucieszył się widząc mnie znowu w niezłej formie.

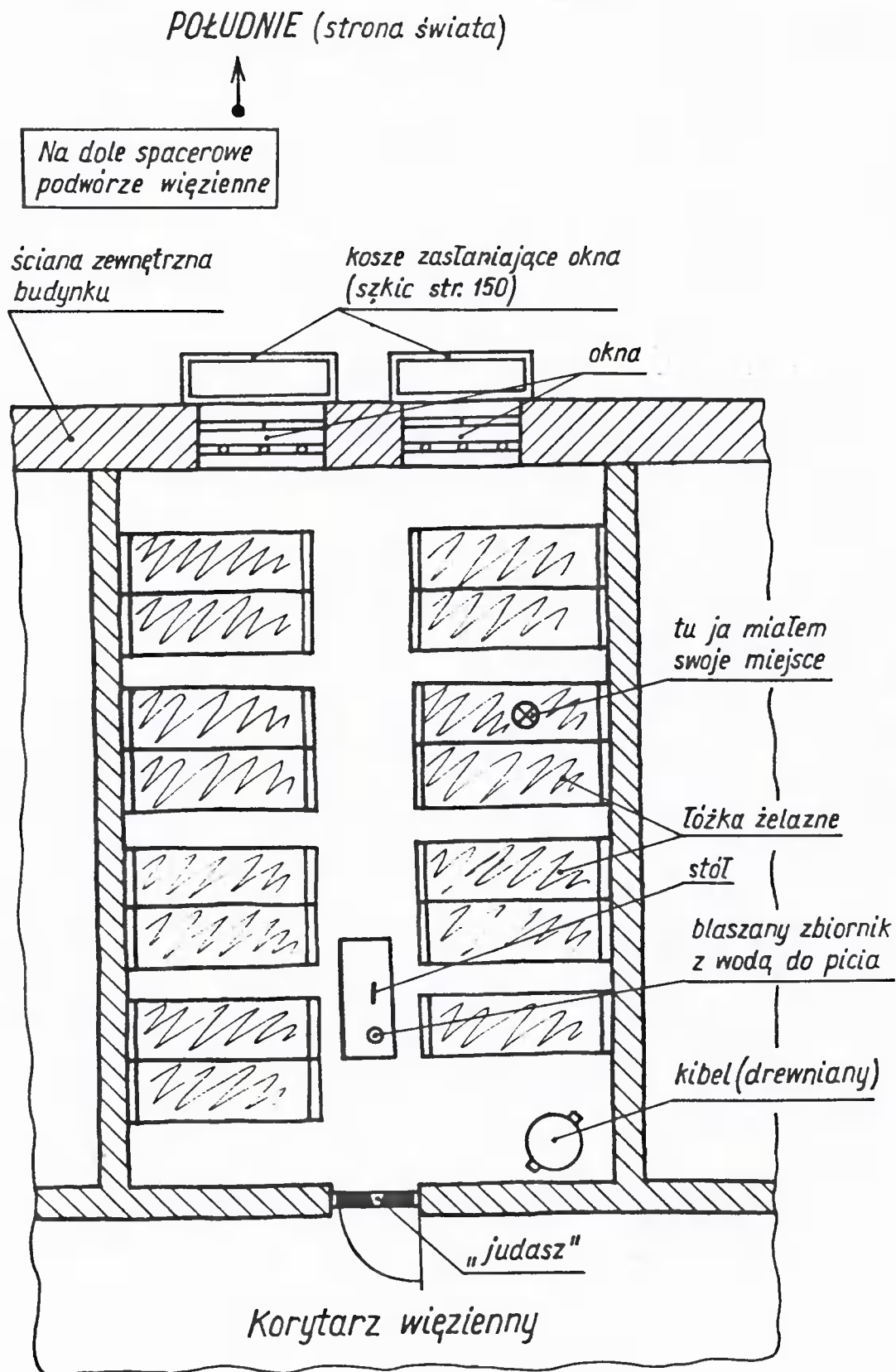
Dni zaczęły płynąć monotennie, robiło się coraz bardziej gorąco i duszno. W przybliżeniu po dwóch tygodniach, rano po apelach strażnik oznajmił, jeżeli w celi są małoletni, w wieku poniżej 18 lat, to niechaj wyjdą, będą przeniesieni do celi dla małoletnich. Nastąpiła gorączkowa narada z moim opiekunem. W rezultacie powiedział on - chyba będzie lepiej jak tam pójdziesz. Może małoletnich potraktują trochę lepiej, tu nie spodziewam się polepszenia warunków. Pożegnałem się z nim i najbliższym otoczeniem i zgłosiłem się do strażnika. Razem ze mną zgłosiło się jeszcze 3 czy 4 chłopców, Ukraińców z rodzin chłopskich. Na korytarzu stopniowo zgromadzono, doprowadzanych z innych cel, około 15 chłopaków. Jeden ze strażników nie omieszkał wygłosić przemówienia zaznaczając o wsadzeniu do karcera, jak któryś oszukał władze i ma więcej jak 18 lat. Nikt nic nie powiedział i dwóch strażników zaprowadziło nas do specjalnej, oddzielnej celi, którą przeznaczono dla małoletnich. Zaczynał się następny okres

uwięzienia w Chersoniu.

Cela, do której nas wprowadzono, położona była na najwyższym, IV piętrze budynku. Okna wychodziły na południe i chociaż zasłonięte "koszami" dawały dość dużo dziennego światła. Od zmroku do rana, jak zawsze w celach więziennych, nad drzwiami świeciła bardzo silna, niczym nie osłonięta żarówka. Spać musiało się z odkrytą twarzą, a jeżeli ktoś przykrył się kocem, to z rękami na kocu. Było to uciążliwe, ale człowiek musiał się przyzwyczaić. Każdy w celi miał oddzielne łóżko. Łóżka żelazne, z podkładem z desek, na nich siennik z niewielką ilością słomy startej na proszek, nawet niewielka poduszeczka też wypełniona taką słomą, koc. Wszystko w kolorze szaro-brudnym, widać dawno nie prane, brudne. Jako uzupełnienie wyposażenia to kibel - kadź drewniana, nawet z pokrywą, niewielki stół drewniany, a *na nim* zbiorniczek blaszany z wodą do picia. Kibel był wynoszony dwa razy dziennie w trakcie wyprowadzania nas do ustępu - umywalni i również wtedy napełniany był zbiorniczek wodą z kranu. Posadzka, jak zawsze - betonowa. Drzwi do celi drewniane, okute, z judaszem (opis str. 109). Tę pierwszą celę dla małoletnich zapamiętałem najlepiej. Siedząc w więzieniu w Chersoniu od kwietnia do sierpnia 1940 r. przenoszono nas, stale w tym składzie, kilka razy do innych cel, położonych w innych budynkach, na różnych piętrach. Przenosiny zawsze odbywały się nagle, zarówno w dzień, jak i w nocy, połączone to było zawsze ze szczegółową rewizją. Tak zmieniono nam cele 3 lub 4 razy, ale warunki w tych następnych celach były podobne. Ponadto co pewien czas, w okresach nieregularnych, też o różnych porach, odbywały się rewizje celi. Mniej więcej co dwa tygodnie, najczęściej jak wyprowadzano nas do ustępu lub zerwano w nocy wyprowadzając wszystkich jak stali na korytarz, do celi wchodziła cała brygada, czterech - pięciu strażników. Wyrzucali na posadzkę sienniki, przetrząsali każdy

Pierwsza cela maToletnich więźniów
w więzieniu w Chersoniu

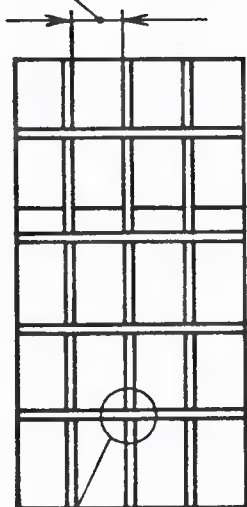
109.



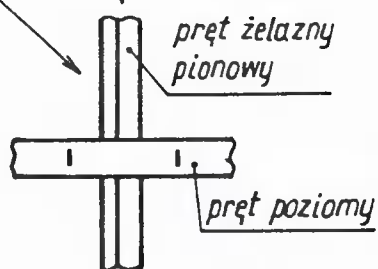
Kraty i „kosze” – więzienie w Chersoniu

Widok od strony celi

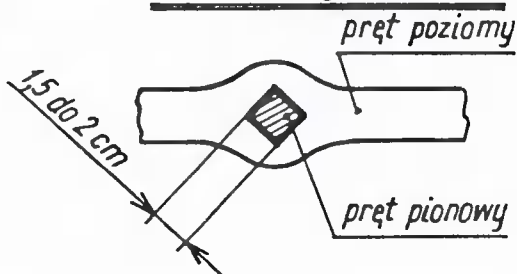
prześwit w kratkach
taki, że nikt nie mógł
przesunąć głowy.



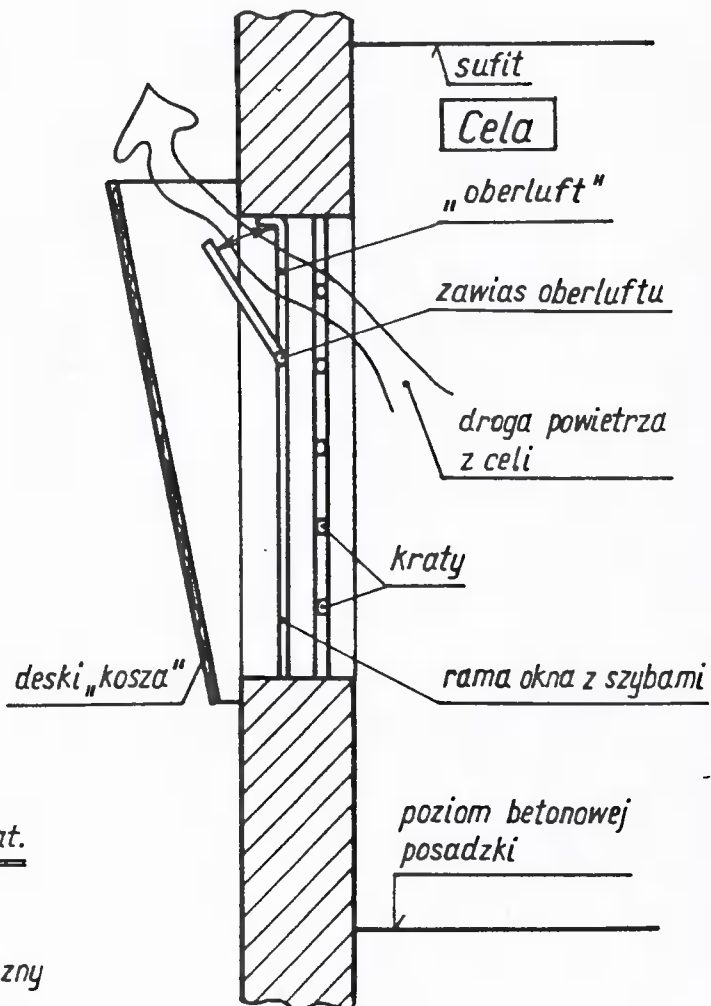
Szczegół konstrukcji krat.



Widok z góry tego węzła



Okno w przekroju



strzęp ubrania, przewracali i rewidowali wszystkie szpary w łózkach, badali ściany, a szczególnie kraty i okna. Cela po takiej "wizycie" przedstawiała obraz jak by przeszedł huragan. Wtedy na korytarzu, rozbierając do naga, rewidowano każdego z nas bardzo szczegółowo i pod czujnym okiem strażników wpuszczano do zrewidowanej celi. Trzeba przyznać, że po każdej takiej rewizji zawsze coś znaleźli i zabrali. Były to przemycone igły, coś w rodzaju noży zrobionych z wyłamanych żelaznych prętów łóżek i naostrzonych o beton posadzki, jakieś strzępy papieru, szczątki fotografii. Noże były bardzo potrzebne, nie w celach morderczych, a do reperacji ubrań, butów, obcinania paznokci - szczególnie u nóg, no i czasem do krajania chleba, jak w celach handlowych należało równo podzielić na pół pajdkę chleba. Po pierwszej takiej rewizji, a tego się nikt nie spodziewał, utraceniu tych cenności nauczyliśmy się lepiej chować te wszystkie przedmioty. Konfiskowano nawet noże zrobione z drewna odłupanego z desek, służące już tylko do krajania chleba. Przy ubraniach odpruwano wszelkie metalowe sprzączki, haftki, a nawet małe metalowe zatrzaski, nie mówiąc o zamkach błyskawicznych. Nawet guziki metalowe obciągnięte płótnem. Przy moim płaszczu gimnazjalnym miałem duże białe, metalowe guziki, płaszcz leżał stale w celi i jakoś te guziki nie zostały zauważone przez rewidujących w więzieniu w Chersoniu. Zawsze coś zostanie spartolone. Odcięto mi je dopiero w więzieniu w Nikołajewie, ale to inna historia.

Podana przeze mnie liczba 15 młodocianych więźniów jest orientacyjna. Mogło nas być np. 18, a wtedy na kilku parach łóżek spało po trzech. Ja przez cały czas spałem sam. Skład narodowościowy i socjalny celi przedstawiał się mniej więcej tak: połowa, tj. 8 byli to Ukraińcy - chłopcy z rodzin chłopskich, przeważnie zamożnych; dwóch czy trzech - Żydów z biednych rodzin,

uciekli od Niemców i sami zgłosili się do Rosjan, reszta, to jest 6 czy 7 - Polacy o bardzo zróżnicowanym pochodzeniu socjalnym. O podobnym do mego pochodzeniu było nas dwóch, obydwaj z Warszawy (niestety, nic dzisiaj nie umiem o tym drugim powiedzieć), trzech było z Łodzi - byli ubrani dostatnio, złapani zostali na granicy przekraczając ją "do ruskich", twierdzili, że zajmowali się przemytem i to była nie pierwsza ich wycieczka. A jeszcze dwóch pochodziło z rodzin rzemieślniczych, też mieli na sumieniu naruszenie granicy, ale nie wiem po co i w którą stronę.

Starostą wyznaczył strażnik jednego z rosłych, jeszcze w dobrej kondycji fizycznej chłopaka - Ukraińca. Codziennie, w kolejności wyznaczał dwóch dyżurnych do wynoszenia kibla (paraszy - po rosyjsku), zamykania celi (miotkę wypożyczał strażnik) przynoszenia wody, względnie do wykonywania drobnych prac na korytarzu na polecenia strażnika, takich jak np. przeniesienie kotła z zupą od kraty zamykającej korytarz pod drzwi celi. Rano starosta odbierał chleb i cukier, a dyżurni rozkładali na stole porcje chleba i cukru, starając się, aby wszystkie były jednakowe. Wtedy jeden dyżurny stawał plecami do stołu, drugi wskazywał porcję chleba i cukru pytając komu? Ten stojący plecami wskazywał miejsce na łożku w celu komu ta porcja przypadła. Szczególnie ważną i trudną sprawą było podzielenie na równe porcje cukru, wydawanego w woreczku, porąbanego z "głowy" na nierówne kawałki i wymieszane z pyłem cukru. Można domyśleć się, że cukier wydawano na wagę dla całego stanu celi. Chleb był w pokrajanych porcjach, widać ważonych, bo niektóre "pajki" miały przytwierdzone kołeczkiem drewnianym dodatkowy kawałeczek, tzw. "dowiesek". W podziale chleba rozchodziło się, kto dostanie "garbuszkę", czyli pajdkę ze skórką z trzech stron, uważaną - nie bez racji - za lepszą od pajdki, która miała skórkę tylko z jed-

nej strony, a reszta to miękisz. Niewątpliwie na taki system podziału tych najcenniejszych dóbr miał wpływ starosta, ale system ten został ukształtowany zaraz pierwszego dnia, po ogólnej dyskusji wszystkich chłopców w celi. Trzeba dodać, że wszyscy mieli poczucie pewnej solidarności, bez względu na narodowość, pochodzenie społeczne czy przyczyny i ich motywy znalezienia się w więzieniu. Ani jeden z małoletnich więźniów tej celi nie siedział nigdy w więzieniu. Natomiast chyba prawie wszyscy mieli przeświadczenie o konieczności "trzymania się razem". Również było zakorzenione poczucie sprawiedliwości, wyrażające się w dążeniu do możliwie sprawiedliwego podziału tych najważniejszych w więzieniu dóbr - chleba i cukru. Jedzenie było takie samo, jak w celach dla dorosłych, co zgodnie wszyscy potwierdzili. Warto jeszcze zaznaczyć o uczciwości, przez cały czas nikt nikomu nic nie ukradł. Zaznaczam to, bo późniejsze doświadczenia więzienne przyniosły mi zupełnie inne wrażenia.

W trakcie wyprowadzania nas do ustępu klucznik kazał wyjść wszystkim z celi, przeliczał nas, zamykał celę i całość parami, w dość swobodnie maszerującej kolumnie, prowadził do tego przybytku. Zamykał nas w tej umywalni-ustępie i szedł do jakiś swoich zajęć. Po pewnym czasie otwierał drzwi umywalni-ustępu, przeliczał wychodzących na korytarz, zamykał ten przybytek i prowadził do celi. Po zapoznaniu się z tym systemem robiliśmy tak: jak strażnik otwierał drzwi ustępu, to połowa stała pod drzwiami gotowa do wyjścia, a druga połowa udawała, że nie zdążyli załatwić się, myli się i w ogóle nie byli gotowi do wyjścia. Strażnik przeliczając wypuszczał na korytarz tych gotowych, a sam stojąc w drzwiach ponaglał krzykiem pozostałych. Pierwsza połowa udając, że nie wie o co chodzi maszerowała w kierunku drzwi "naszej" celi bez strażnika, a druga, ta w umywalni, marudziła jak

tylko można było najdłużej. Po dojściu do drzwi celi stojący najbliżej, a było to z góry ustalone kto, odginał blaszaną przesłoną zasłaniającą "judasza" od strony korytarza. Oczywiście, operacja odginania była powtarzana kilkakrotnie, blacha była dość twarda, a ponadto nie można było tej przesłony odgiąć od razu za bardzo, trzeba było uważać, aby jej nie urwać i działać z umiarem. Po odgięciu blachy-przesłony judasza, można było przez utworzoną szparę zobaczyć kawałek korytarza z prawej i lewej strony celi oraz co robi strażnik, np. czy się zbliża do judasza, aby zobaczyć co się dzieje w celi. Miało to ogromne znaczenie, bo właściwie wszystkie pożyteczne prace robione w celi były zakazane. A tak dyżurny podglądający strażnika, mógł uprzedzić zainteresowanych na czas.

Również niezwykle ważną czynnością było wydawanie zupy w południe. Najpierw słyszeliśmy, jak wnoszą na korytarz kotły-kadzie drewniane z zupą. Potem następował krótszy lub dłuższy okres ciszy, wydawało się, że nic się nie dzieje. Wreszcie strażnik otwierał drzwi. Przed celą na korytarzu stała kadź z zupą, obok miski gliniane i drewniane łyżki - bardzo dziwnego dla mnie kształtu. Każdy brał miskę i łyżkę, strażnik nalewał chochlę każdemu, licząc oczywiście delikwentów, zatrzaskiwał drzwi. Czasem dyżurnym kazał przenieść kadź z zupą pod drzwi sąsiedniej celi. Po zjedzeniu tej polewki, miski oddawało się strażnikowi, zresztą upominał się o nie. Co pewien czas udawało się ukraść jedną łyżkę i po pewnym czasie każdy miał własną taką kopystkę. Miski nie udawało się ukraść, te były bardzo skrupulatnie przeliczane. Co ciekawsze, tych drewnianych łyżek w trakcie rewizji nie zabierano. Po takim "usprawnieniu" judasza, a było to zrobione we wszystkich celach, do których nas przenoszono, strażnik-kłucznik był chyba więcej podglądany przez nas, aniżeli my przez

strażnika. Jak wspomniałem, po przyniesieniu kadzi z zupą następował okres ciszy - wydawało się, że nic się nie dzieje. Akurat chłopcy, Ukraińcy, zaczęli pilnie podglądać, co w czasie tej "ciszy" robi strażnik, czemu nie wydaje zupy. Wreszcie zobaczyli. Strażnik brał miskę i nalewał sobie dużą porcję, możliwie gęstej tej zupy, przeznaczonej dla więźniów. Na wiadomość o tym wszyscy po kolei obejrzeli zajadającego więzienną zupę strażnika. Dla synów chłopów, zresztą widać pochodzących z zaможnych gospodarstw, był to szok. Gdyby Marsjanie wylądowali na środku celi zrobiliby to chyba mniejsze wrażenie. To, że strażnik, żołnierz wojsk NKWD, zjadł, powiedzmy, 2 czy 3 porcje więźniów nie stanowiło problemu. Natomiast szokiem było dojście do wniosku - jak to jest tam na wolności u Ruskich, jeżeli strażnik i to praktycznie każdy, zjada ze smakiem tę parszywą, więzienną zupę. O jakości tej zupy wyrażali się jednoznacznie - pies u nich jadał lepszą, smaczniejszą, naprawdę okraszoną. Temat ten powracał wielokrotnie w rozmowach, szczególnie w konfrontacji z opowiadaniem strażników-żołnierzy, prowadzonym od czasu do czasu z nami, jak dobrze, do syta i dostatnio w Związku Radzieckim wszyscy jedzą. Jak nic nikomu nie brakuje, jak wszyscy się cieszą z życia i są zadowoleni. Jedna odgięta na odległość 3 czy 4 milimetrów blaszka spowodowała totalny brak zaufania co do prawdziwości tych kwiecistych przemówień.

Od czasu do czasu któryś ze strażników uchylał drzwi celi i zaczynał rozmowy uświadamiające tę ciemnotę siedzącą w więzieniu. O opowieściach, jak dobrze się żyje w Związku Radzieckim już wspominałem. Natomiast strażnicy prowadzili również bardzo prymitywną, nie mającą żadnego wpływu na naszą społeczność, propagandę antyreligijną. Strażnicy przez Judasza widzieli, jak każdego wieczoru, stojąc lub klęcząc przed łóżkiem, każdy po cichu

odmawiał swój pacierz. Propaganda strażników nie spowodowała żadnych zmian w naszych zachowaniach. Zan^eichanie odmawiania pacierza nastąpiło później, gdy każdy z nas znalazł się wśród więźniów Rosjan, szczególnie małoletnich, rządzących się w celi prawami bandytów, złodziei, a jednocześnie deklarujących wierność Związkowi Radzieckiemu. Terror z ich strony, ze strony współwięźniów w tej samej celi, jest najstraszniejszym zjawiskiem, szczególnie dla więźniów politycznych. Ale to miało nastąpić za kilka miesięcy. Nikt z nas wtedy nie podejrzewał, że najgorszym wrogiem jednego więźnia jest drugi więzień, w tym systemie.

Kilka razy strażnik, na pewno na polecenie władz więziennych, dał do celi gazetę. Oczywiście, napisaną po rosyjsku. Ukraińcy próbowali coś niecoś czytać, ale niewiele z tego wychodziło. Gazety te były ilustrowane, fotografie czarno-białe, a na nich widać było młodzież, jak kąpie się w morzu, wędruje w górach, robi modele samolotów i spędza czas na temu podobnych zajęciach. Wszyscy roześmiani, ładnie ubrani w bluzy i krawaty, dobrze wyglądający. Ja usiłowałem się nauczyć przynajmniej liter alfabetu rosyjskiego, nie znanej mi cyrylicy. Prosiłem chłopców z Ukrainy, aby mi podawali ich brzmienie. Robili to, ale postępy w nauce języka rosyjskiego były nikłe. Moi "nauczyciele" mieli przeważnie wykształcenie na poziomie gdzieś 4 klas szkoły powszechnej, znali język i alfabet do języka ukraińskiego. Chociaż oba języki są do siebie podobne, to jednak nie to samo. Można powiedzieć, "nauczyciele" mieli trudności.

A w naszej celi podstawowe zajęcia to walka z wszami i pluskwami oraz ciągle narastające uczucie głodu. Głodni byli już nie tylko ci rośli chłopcy, ale również i ja. Głód narastający w miarę upływu czasu, o czym wtedy nie wiedziałem, miał mi towarzy-

szyc przez wiele lat. Paczek nie otrzymywał nikt, bo nawet ci chłopcy, którzy mieli rodziny na terenach zajętych przez Rosjan, nie mogli dać znać, gdzie się znajdują. Wszelka korespondencja z ludźmi wolnymi była zabroniona, obowiązywała ścisła izolacja.

Właściwie jedyną rozrywkę, i to tylko w tej celi, stanowiło wyjrzenie przez szparę nad koszem zakrywającym okno. Robiło się tak: dwóch stawało przy judaszu podglądając, czy nie zbliża się strażnik, jak się zbliżał to dawali znak, a jednocześnie, jak strażnik zacząłby podglądać celę, to jeden wsadzał głowę w judasza prosząc np. o dostarczenie do celi wody. W czasie tak obstawionych drzwi z judaszem, dwóch lub trzech, a nawet czterech, mogło się wspiąć na kraty i przy samej górnej krawędzi oberluftu, nad krawędzią kosza, przez wąską szparę, mogło popatrzeć na świat. Widok z tej celi, położonej na IV piętrze, z oknami skierowanymi na południe, był wspaniały. Widać było błękitne wody Dniepru, płynącego w kierunku południowym, ginące na horyzoncie osnutym delikatną mgiełką. W tej odległej mgiełce było Morze Czarne. Wszystko to tonęło w blasku jasno, wesoło świecącego słońca. Ten widok rozległej przestrzeni, otwartej aż po horyzont, był wręcz urzekający. Widząc stale wokół siebie mury, ściany i kraty człowiek wręcz zapominał, iż istnieje obok świat z rozległym i pięknym widokiem. Niestety, czas oglądania tego wspaniałego widoku, stojąc na kratkach, był zawsze bardzo krótki. Ale było warto choć na oka mgnienie zobaczyć tę przestrzeń. W celach położonych na niższych piętrach można było w ten sposób zobaczyć tylko mur więzienny, ścianę stojącego naprzeciw więziennego budynku lub budkę strażnika. Był jednak inny plus w celach położonych niżej. Przez szparę w dolnej części kosza można było zobaczyć podwórze spacerowe, gdzie po betonowym kręgu, z rękami założonymi w tył, chodzili wyprowadzani na 10- czy

15-minutowy spacer więźniowie z innych cel.

Pod koniec czerwca 1940 r., po kolei, kilku strażników oznajmiło nam o wielkim zwycięstwie Niemców nad Francją. Radość ich była ogromna, zupełnie taka, jak by Armia Czerwona zajęła już Lizbonę, a przynajmniej Madryt. Ponadto jeden ze strażników opowiadał o walkach floty francuskiej z brytyjską, a w ogóle to przedstawiał tak, jak by wybuchła wojna między Francją a Anglią. Wszystko to było przedstawione jako wielki sukces polityki Stalina i przyjaznym stosunkom z Niemcami. Na Polakach wiadomość o upadku Francji wywarła pewne wrażenie, natomiast opowiadania o wojnie francusko-angielskiej spotkały się z niedowierzaniem. Ale cóż, w naszej sytuacji najważniejszą sprawą było, czy zupa będzie troszkę gęstsza, albo czy trafi się „garbuszka”.

W celi robiło się coraz bardziej duszno i gorąco, wszyscy w dzień siedzieliśmy w samych kalesonach, były to przecież letnie, upalne dni w pobliżu Morza Czarnego. Nas na spacer wyprawiano tylko od czasu do czasu - nieregularnie. Można powiedzieć, raz lub dwa razy w tygodniu.

Ważną sprawą była kwestia reperacji ubrań i bielizny, przyszyte jakiś tasiemek do zawiązywania spodni - przecież byliśmy pozbawieni pasków i szelek, nawet guzików, łątania ubrań rozpruwanych w czasie rewizji. W trakcie pierwszej nagłej rewizji zostaliśmy pozbawieni dwóch, jedynych w celi, przemyconych igieł. Rozpoczęły się pertraktacje ze strażnikiem, aby oddał nam igły. Powiedział, że oddać nie może, ale może wypożyczyć, rano po wydaniu chleba, a przed kolacją musi igła być oddana. Przypominam, że stale, dwa razy dziennie odbywał się apel, połączony często wieczorem z kontrolą stanu okien i krat. W apelu brało udział co najmniej 3 strażników. Zaczęliśmy prosić każdego strażnika o igłę, a po kilku dniach o dwie. Wieczorem udało się kilka ra-

zy oddać zamiast dwóch, jedną igłę i po pewnym czasie znowu w celi były stale 2, a nawet 3 igły. Nauczyliśmy się je tak chować, że żadnej już nam nie skonfiskowano. Oczywiście, porobiliśmy ponownie noże, te też były dobrze chowane. Nici, po kawałku, czasem wydawał strażnik, ale myśmy używali nitek do szycia wyciągniętych z powłok sienników. Wyciągając nitki z powłok sienników okazało się, że kilka sienników ma dwie powłoczki, z szarego materiału. Kilku chłopaków miało tak podarte portki, iż po prostu rozlatywały się. Wtedy ci praktycznie bez spodni, postanowili uszyć sobie nowe z powłoczek sienników. Brała w tej imprezie udział cała cela. Trzeba było stale obserwować korytarz, następnie ze ściągniętej, rozprutej na kawałki powłoczki wyciąć wszystkie części spodni, a potem je zszyć. Nikt z nas nie był krawcem, ani nie miał wielkiego pojęcia o szyciu spodni. W rezultacie, po wielu trudach i pracach trwających kilka tygodni, zostało uszyte 3 czy 4 spodnie, nadające się do noszenia. Chłopcy chodzili w tych spodniach i nie wywołało to żadnych reakcji. W trakcie tej całej, długotrwałej operacji szycia spodni, mimo kilku rewizji celi, nie nastąpiła żadna wpadka. Nauczyliśmy się dobrze chować noże, igły i maskować spodnie w trakcie roboty. W każdym bądź razie wszystkie sienniki, te które miały, zostały pozbawione podwójnych powłoczek, a materiał znalazł zastosowanie chociażby na łaty lub onuce. Po przenosinach do innej celi pierwszą rzeczą było zbadanie, czy jakiś siennik ma podwójną powłoczkę. Jak miał, to został natychmiast jednej pozbawiony, a materiał zastosowany z pożytkiem dla nas - więźniów.

W miarę upywu czasu pobytu w tym "kurorcie" wszyscy marnieli. Nabierali ziemistej, bladej cery, chudli i robili się coraz słabsi.

Mniej więcej połowa chłopaków, oczywiście jeszcze na wol-

ności, paliła papierosy lub tytoń skręcany w bibułkę. Bardzo szybko wytrząsnęli cały pył tytoniowy razem z kurzem z kieszeni, skręcili to w dostarczone gazety i powstał problem, jak przypalić. Poszukiwania chociaż jednej zapalniczki nie dały rezultatu. Po naradzie jeden ze skrętem w zębach zastukał w drzwi i patrzącemu przez judasza strażnikowi pokazał na migi prośbę o ogień. Ku pewnemu zdziwieniu strażnik otworzył drzwi i zapalniczką przypalił tego skręta. Po pewnym czasie zaczęto wydawać do celi po kilka paczek machorki. Pobierali ją palący, dzielili się między sobą i palili skręcając machorkę w gazetę, która stała się niezwykle cenna. Ponieważ strażnik odmówił wydania zapalniczek, chcąc uniezależnić się od jego humorów, palacze sami zrobili "zapalniczki". Było to krzesiwo: kawałek pręta żelaznego, kamyk, który po dłuższych staraniach udało się znaleźć, podnieść i przynieść do celi oraz częściowo spalony kawałek szmatki. Iskry wykrzesane z kamienia uderzanego odpowiednio żelazem, padając na zetlałą szmatkę wywoływały żarzenie się tej namiastki "hubki" i można było przypalić skręta. Urządzenie funkcjonowało przez cały czas. Oczywiście, wszystkie te czynności były wykonywane w ukryciu przed czujnym okiem strażników, przy stałym zagrożeniu nagłą rewizją.

Wszyscy byliśmy młodymi chłopakami, więc nadzwyczajnie wyostrzył się słuch. W więzieniu normalnie panuje cisza, strażnik chodzi jak duch. Każdy dźwięk dochodzący z korytarza coś znaczył i staraliśmy się go zidentyfikować. Oczywiście, powtarzające się dźwięki, takie jak przyniesienie chleba, kotłów z zupą, czy wyprowadzanie więźniów z innych cel do ustępu czy na spacer, były znane i rozpoznawane bezbłędnie. Nie wiedzieliśmy, kto siedzi w sąsiednich celach, z podglądania widzieliśmy dorosłych. Ale kim są nie mieliśmy pojęcia. Nie podejmowaliśmy prób

porozumienia się stukaniem, bo nikt nie znał tego więziennego alfabetu i sposobu sygnalizacji. Sąsiedzi też nie podejmowali takich prób, ale to trwało tylko do pewnego czasu.

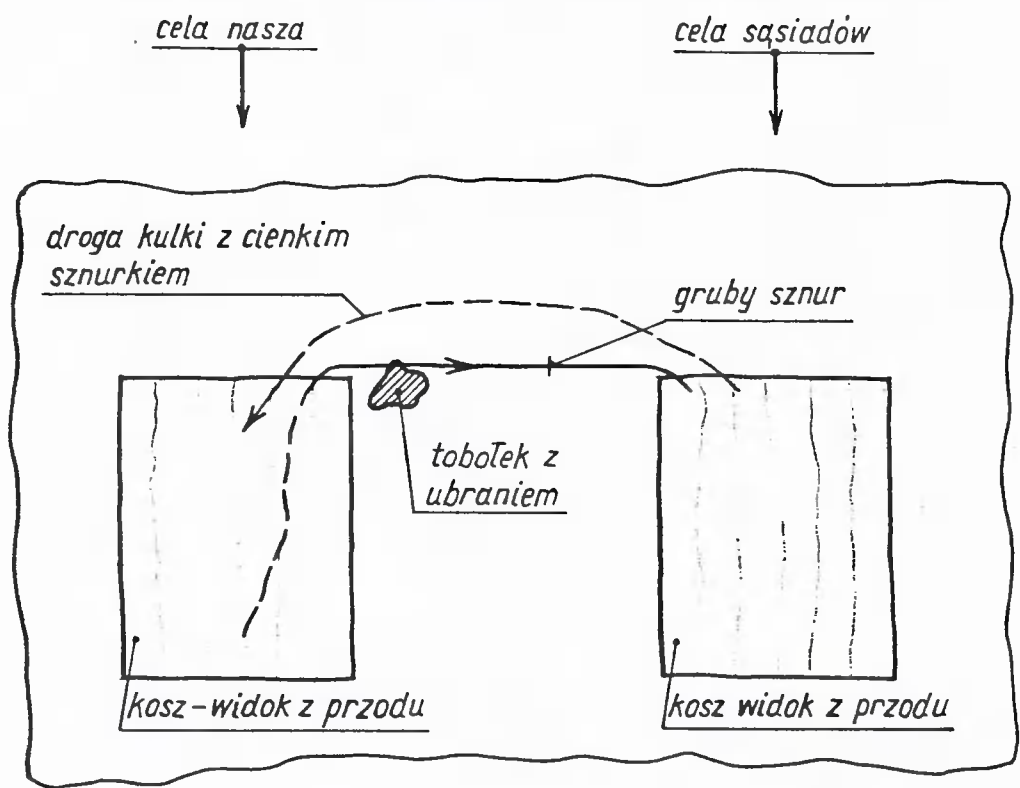
Na podstawie dźwięków dochodzących z korytarza zidentyfikowaliśmy, że nastąpiła zmiana załogi sąsiedniej celi. Nowi więźniowie zachowywali się dość hałaśliwie, byli ruchliwi i niesfor- ni. Słychać było podniesiony głos kolejnych strażników ucisza- jących tych nowych lokatorów w sąsiedztwie. Bardzo prędko ziden- tyfikowaliśmy w nowych lokatorach małoletnich więźniów - Rosjan. Wszyscy poczuli pewną solidarność z tymi sąsiadami, ale nie wie- dzieliśmy, jak nawiązać łączność. Nowi lokatorzy, po kilku dniach podjęli inicjatywę. Po apelu zaczęli wystukiwać jakieś sygnały do nas. Odpowiedzieliśmy im rytmicznym wystukaniem do dziesię- ciu, bo nic lepszego nie przyszło nam do głowy. Sąsiedzi zrozu- mieli, że tą drogą nie nawiążą z nami łączności. W pewnym momen- cie, leżeliśmy już na łózkach po wieczornym apelu i zarządzanej nocnej ciszy, usłyszeliśmy wyraźnie szept od strony okna położo- nego najbliżej celi naszych nowych sąsiadów. Natychmiast dwóch poleciało do drzwi, aby zapobiec interwencji strażnika. A dwóch chłopaków - Ukraińców, jako znających język prawie rosyjski, wspięło się na kraty posłuchać skąd dochodzi głos i kto mówi. Wszystko to działo się w celi położonej na IV piętrze. Okazało się, że mówią więźniowie z sąsiedniej celi. Rozpoczęły się wie- czorne rozmowy trwające kilka dni pod rząd. Całkowity kontakt z sąsiadami przejęli chłopcy - Ukraińcy, jako mogący najlepiej porozumieć się w języku rosyjskim. Byli bardzo z tego dumni i za- dowoleni. Przekazywali oczywiście wiadomości z sąsiedniej celi. Naszymi sąsiadami byli małoletni, młodociani więźniowie - Rosja- nie. Mówili o szykanowaniu ich przez strażników, o tym, jak są biedni i nieszczęśliwi. Wreszcie przekazali wiadomość o przewi-

dywanym widzeniu się z rodzicami jednego z chłopców. Widzenie ma nastąpić za kilka dni, a ten biedak został zupełnie obdarty przez strażników, jest ubrany w łachy i nie może tak pokazać się rodzicom. Potrzebny jest dobry garnitur, może Polacy, a sąsiedzi wszystkich nas traktowali jako Polaków, mogliby pożyczyć na kilka dni takie ubranie. Dobrze byłoby, gdyby wypożyczyli dwa garnitury, bo drugi chłopak też jest w takiej samej sytuacji. Wszyscy byliśmy oczywiście podnieceni takim kontaktem, a na wiadomość o prośbie pomocy wywołała chęć okazania takowej. Został zrobiony przegląd garderoby wszystkich w celi. Jeden z chłopców ukraińskich miał prawie nie noszony czarny, świąteczny, pieczolowicie przechowywany garnitur. Marynarka i spodnie prezentowały się wręcz elegancko. Właściciel, o nazwisku Szkredko, nie nosił tego garnituru w więzieniu, chodził w starym, rozłazącym się ubraniu. Wytypowano jeszcze jeden garnitur, też chłopca ukraińskiego, ale już gorszy: zielone spodnie, tzw. pumpy i jakaś szara marynarka. Ten chłopak też chodził w łachach, to drugie ubranie trzymał "na lepsze czasy". Chłopcy komunikujący się z sąsiadami powiedzieli w trakcie kolejnej rozmowy o gotowości wypożyczenia dwóch ubrań na kilka dni, tylko jak to zrobić? Dodać muszę, że pozostali w celi mieli tylko to co na grzbiecie, przeważnie w tym stanie. Nikt nie miał garnituru mogącego konkurować z tymi dwoma wytypowanymi, a ponadto ci chłopcy mieli po dwa. Był jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Ukraińcy chcieli samodzielnie wystąpić w roli dobroczyńców i byli wręcz zazdrośni, ażeby nikt z tej roli ich nie wyeliminował. W rozmowach zresztą tłumaczyli już sąsiadom, że nie są Polakami a Ukraińcami. Sąsiedzi wytłumaczyli i następnej nocy, po apelu i zarządzeniu ciszy rozpoczęła się operacja. Noc była akurat bez księżycy, ale pogodna i dosyć jasna. Operacja przekazania garniturów

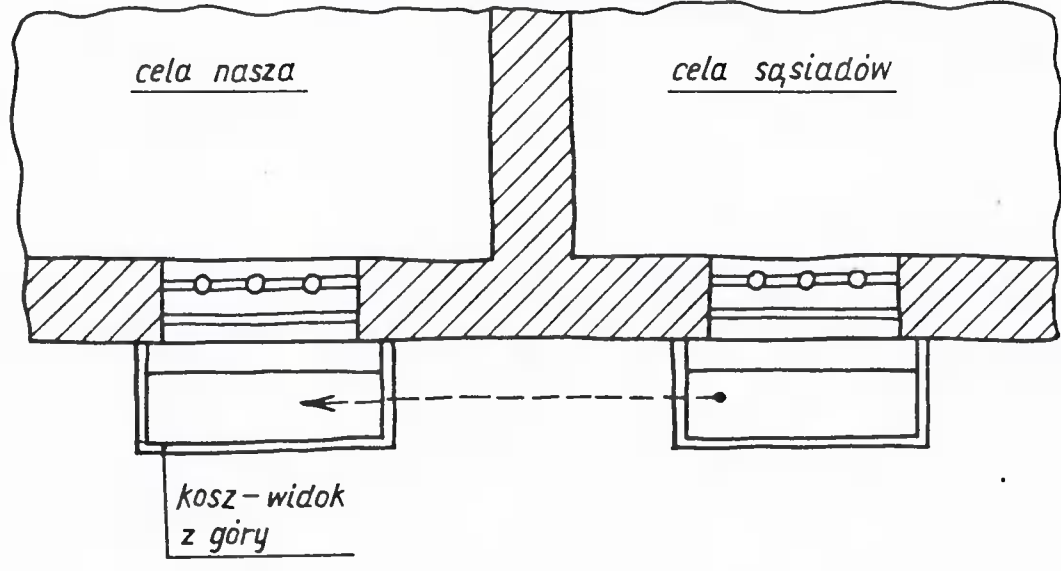
przebiegała tak: sąsiad górną częścią, otwartą kosza wyrzucił do naszego kosza kulkę (dość dużą) chleba, do której przywiązany był cienki sznurek. Nasz chłopak złapał tę kulkę i zaczął ciągnąć do siebie cienki sznurek. Do cienkiego sznurka przywiązany był gruby sznur. "Podawanie" grubego sznura trwało tak długo, aż sąsiad uznał, że u nas w celi znalazła się długość równa, a raczej większa od odległości między oknami. Wtedy garnitur Szkredki, zwinięty w mały tobołek, został przywiązany do grubego sznura i sąsiad zaczął ciągnąć ładunek do siebie, a nasz chłopak popuszczał sznur dbając, aby był dostatecznie napięty. Tej nocy zostały przetransportowane obydwie garnitury. Oczywiście, przez cały czas drzwi z judaszem były obstawione, a także przez dolną szparę w koszu stale nas dwóch obserwowało budkę strażniczą umieszczoną w rogu zewnętrznego muru więzienia. Strażnik cały czas chodził z karabinem w ręku po zewnętrznej platformie budki i na nasze szczęście nie podniósł ani razu głowy do góry. Cele, między którymi dokonywała się ta wymiana położone były na IV piętrze. Po zwinięciu sznurów przez sąsiadów, wszyscy po przeżytych emocjach natychmiast położyli się spać, ale długo nikt nie mógł usnąć. Następnej nocy sąsiedzi znowu podali sznury i ku zdziwieniu właściciela zwrócili jeden garnitur - te zielone pumpy i szarą marynarkę. Zakomunikowali, że na żadnego z chłopaków, którzy mają mieć widzenie z rodziną, nie pasuje. Czarny garnitur Szkredki pasuje i za dwa dni dadzą znać, kiedy zwróca. Dwa dni przeszły spokojnie, tylko Szkredko martwił się, czy garnitur nie będzie poplamiony lub rozdarty. W wyznaczonym terminie znowu sąsiedzi przerzucili sznury i dali znać, aby gruby sznur ciągnąć powoli, bo jest do niego przywiązany pakunek. Szkredko promieniał, a myśmy byli przeświadczeni, że "jedzie" garnitur. Przyjechała paczuszka, woreczek przywiązany do grubego sznura.

Transport z celi do celi - więzienie w Chersoniu

Widok koszy na zewnątrz budynku więziennego



Widok z góry w przekroju



Szkredko rozwiązał woreczek, wysypał zawartość na koc. Były tam ze dwie porcje chleba więziennego, kilka kawałków cukru - może 2-3 porcje, kawałek słoniny wielkości paczki papierosów - pochodzący z paczki, bo słoniny w więzieniu nie wydawali, paczka marchorki i pudełko zapalek - też chyba z paczki. Wszyscy, łącznie z właścicielem garnituru oniemieli, nikt nie rozumiał co to znaczy. Czyżby był to dar za wypożyczenie garnituru? Sam właściciel rozpoczął rozmowę przez okno. Nikt nie przeszkadzał, trwało to dosyć długo. Wreszcie Szkredko zszedł z kraty w oknie, sąsiedzi zwinęli sznury. Właściciel garnituru, zupełnie załamany, opowiedział: małaletni więzień z sąsiedniej celi powiedział, że garnitur mu się spodobał, a więc postanowił go kupić. Jedzenie i tytoń przesłane w woreczku są zapłatą za garnitur. Na mój protest - powiedział Szkredko - że nie mam zamiaru sprzedawać garnituru i prośby, aby mi go zwrócili, dowiedziałem się kim jestem. Otóż jestem sukinsynem, szpiegiem, dywersantem, kułakiem i wrogiem ludu, którego nie wiadomo po co karmi władza radziecka, zamiast od razu rozstrzelać. Rozmówca nie zapomniał dodać, co sądzi o jego mamusi, tatusiu i o nim samym w tak kwiecistej serii przekleństw, że nie całkiem dla nas zrozumiałych. Mimo takiej opinii o byłym właścicielu tego garnituru, rozmówca był tak dobry, bo przesłał cenną żywność i tytoń o wartości o wiele większej jak ten garnitur. A mógł nic nie posłać, a jednak to zrobił, bo jest uczciwym radzieckim człowiekiem, a Szkredko jest oszustem, kłamcą i w ogóle wyrzutkiem społeczeństwa. Szkredko zrozumiał, jak padł ofiarą oszustwa. Myśmy pozostali doszli do wniosku, że należy być bardzo ostrożnym z okazaniem zaufania tubylcom, chociażby byli więźniami, jak my. Długo "stosunki dyplomatyczne" z naszymi sąsiadami zostały zerwane i nawet znając już technikę, nie podjęliśmy więcej prób nawiązania kontaktów

z sąsiadami. Długo i wielokrotnie dyskutowaliśmy na ten temat i zaczęliśmy dochodzić do wniosku, jak bardzo jesteśmy naiwni. Natomiast trudno wyobrazić sobie, jak śmiała się z nas ta szajka złodziejska i jakie opowiadali legendy, niestety, prawdziwe, jak "kupili" garnitur u polaczków - tych szpiegów i dywersantów, bo tak nas nazywali sąsiedzi - tubylcy.

Któregoś dnia strażnik oznajmił: Jak ktoś ma pokwitowanie na radzieckie ruble oddane (a raczej zabrane) po aresztowaniu w trakcie rewizji, to może sobie kupić dodatkowe jedzenie w więziennym sklepiku (tzw. "ławoczka" - w języku rosyjskim). Ja nie miałem nic, tak jak prawie wszyscy w celi, żadnych rubli w chwili aresztowania. Ale dwóch czy trzech chłopców - Ukraińców - miało takie pokwitowania, opiewające na kwoty nie przekraczające 10 rubli. Eskortowani przez strażnika, który specjalnie przyszedł w tym celu, szczęśliwcy poszli. Wrócili ze smakołykami takimi jak: bielszy od normalnego chleb, trochę chałwy i landrynek oraz kilka paczek machorki. Okazało się, że wydali wszystkie pieniądze. Smakołyki sami zjedli, może podzielili się z najbliższym otoczeniem. Tak skończyły się zakupy w sklepiku więziennym.

Ciekawy był system "rotacji" strażników na korytarzu, obsługujących naszą celę. Otóż niezmiernie rzadko, w bardzo nieregularnych odstępach, zdarzało się, aby był ten sam strażnik. Nas, jak wspomniałem, co pewien czas przenosili do innej celi, a strażników tak zmieniano, że nigdy nie było wiadomo, czy i kiedy trafi się "znajomy". Oczywiście, z łatwością doszliśmy do wniosku - jest to po to, aby więźniowie nie pokumali się ze strażnikiem. Do głowy nam wtedy nie przychodziło, jak rozbudowany jest system donosicielstwa w Kraju Rad i nie wiedzieliśmy o umie

szczaniu w celach kapusiów. W naszej widać takiego nie było, bo opisane "zbrodnie" wobec regulaminu więziennego nie spowodowały nigdy żadnych represji.

Jeden z chłopców ukraińskich skutecznie przez długi czas i wiele rewizji przemycał złoty, jak twierdził, pierścionek z jakimś kolorowym oczkiem. Przemycał go w sposób naiwnie prosty. Mianowicie nosił go na palcu, a palec miał zawiązany szmatką. Na pytania strażników w czasie rewizji odpowiadał, że ma rankę, bo się skaleczył. Wszyscy w celi wiedzieli o tym pierścionku, a nawet oglądali, bo właściciel lubił się nim pochwalić. Czas i udane przemykanie przez kolejne rewizje osłabiły czujność właściciela i nastąpiła wpadka. Któregoś dnia siedząc na łóżku odwiązał szmatkę, czy to aby ją zmienić lub poprawić, czy to aby nacieszyć swoje oczy tą cennieścią, w każdym bądź razie pierścionek w całek krasie był na wierzchu. W celi nic zakazanego się nie działo, a więc nie było dyżurnych przy judaszu. No i wtedy akurat strażnik popatrzył przez judasza, zobaczył właściciela z pierścionkiem. Otworzył po cichutku drzwi i stając na progu wezwał do siebie delikwenta. Kazał oddać sobie pierścionek. Właściciel oddał, ale powiedział, że ma otrzymać pokwitowanie. Wielu miało pokwitowania na zabrane różne rzeczy w czasie rewizji; ja miałem wtedy jeszcze pokwitowanie na zegarek. Strażnik powiedział, naturalnie, jutro dostanie. Minęło "jutro" i "pojutrze", a nic się nie działo, zmieniali się strażnicy, tego który zabrał pierścionek nie widzieliśmy. Wreszcie właściciel skonfiskowanego pierścionka opowiedział kolejnemu strażnikowi co się zdarzyło i że czeka na pokwitowanie. Po kilku godzinach, bardzo prędko, przyszło do celi trzech wojskowych, widać jakiś ważnych. Kazali sobie jeszcze raz opowiedzieć całą historię. Wysłuchali, pouczyli właściciela i nas wszystkich o konieczności przekazy-

wania do depozytu wszystkich cenności, władza radziecka jest uczciwa i zwraca wszystko przy wyjściu z więzienia. Natomiast przemykanie takich przedmiotów jest karane i właściciel mógłby siedzieć w karcerze. Sprawę pierścionka wyjaśnią i dadzą znać. Co się stało dalej, ani właściciel, ani nikt z nas już się nie dowiedział. Tego strażnika nikt z nas już nigdy nie zobaczył, a właściciel pokwitowania nie dostał. Próbował upominać się jeszcze kilka razy, ale otrzymywał zawsze tę samą odpowiedź: "Naczelnik był, wyjaśnia sprawę, a jak wyjaśni to da znać! Niech nie zawraca głowy, bo karcer czeka!". O tym, że opowiadanie o karcerze nie jest straszakiem mieliśmy przekonać się niebawem.

Mijały dni, raczej monotennie, tłukliśmy wszy, łowiliśmy pluskwy, usiłowaliśmy łątać naszą garderobę. Robiło się coraz bardziej gorąco i duszno, mimo niezbyt wielkiego zagęszczenia w celi. Tak minął maj, czerwiec i zaczynał się lipiec 1940 r. Wszyscy mieli cerę coraz bardziej ziemistą, dawało o sobie znać osłabienie. Po prostu "parszywieliśmy" wszyscy, nasz wygląd na pewno nie był uroczy, chudliśmy. Na ciele, głównie na karku i pośladkach pojawiły się bolesne, nabrzmiące, ropiejące czyraki. Skóra drapana po ukąszeniach insektów była pokaleczona paznokciami, a każde zadrapanie, to strupki, ropienie trudno albo wcale nie gojących się, nawet drobnych zranień. Ciągła walka o utrzymanie ciała w możliwie dobrym stanie, a garderoby, aby nie była zbyt oberwana, trwała stale. Ale widać było, mimo wysiłków z naszej strony, jak stajemy na coraz bardziej przegranej pozycji. Ja miałem tylko kilka czyraków na pośladkach, niewielkich i niezbyt dokuczliwych. Natomiast strzegłem się, aby nie zadrapywać skóry, swędzącej po ukąszeniach insektów. Ciało miałem, można powiedzieć, dość czyste. Te wszystkie fizycz-

ne cierpienia stopniowo zaczynał przesłaniać inny problem: co z nami będzie? Co z nami władze mają zamiar zrobić? Próby dowiedzenia się czegoś od strażników nie dawały żadnych rezultatów. Otrzymywaliśmy od nich zawsze odpowiedź: *Hy ruzerso! Bcë bygem xopowo!* (Nie takieś! Wszystko będzie dobre!)

Po takich odpowiedziach rosło nasze zniecierpliwienie i złość. Chcieliśmy, aby przyszedł do nas naczelnik, ale strażnicy te nasze prośby też zbywali jakimiś ogólnikami. Odcięcie od świata było kompletne. Zaczęliśmy dyskutować, co zrobić? Prawie wszyscy słyszeli o strajkach głodowych, czyli głodówkach więźniów, jak chcieli coś wymusić od zarządu więzienia. Po kilku dniach takich narad doszliśmy do wniosku, że trzeba ogłosić głodówkę, aby wymusić wizytę naczelnika w celu podania nam wiadomości, jaki los nas czeka. Jednogłośnie zdecydowaliśmy ogłosić głodówkę, czyli nie przyjąć rano chleba i cukru, a domagać się wizyty naczelnika. Żadnych pertraktacji ze strażnikiem. Następnego dnia, po apelu porannym, jak strażnik otworzył drzwi i zawołał, aby pobrać chleb i cukier, nikt się nie ruszył. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Na pytanie strażnika dlaczego nie bierzemy chleba i cukru, starosta powiedział, że chcemy się widzieć z naczelnikiem więzienia. Próba namówienia nas przez strażnika, abyśmy wzięli chleb, to on sprowadzi naczelnika, została skwitowana milczeniem. Byliśmy trochę zdenerwowani i nawet również zaciekawieni - co będzie dalej. Strażnik w pewnych odstępach czasu jeszcze kilka razy namawiał nas do wzięcia chleba, raz strasząc, raz prosząc. W odpowiedzi było głucho milczenie z naszej strony. Tak minął czas do obiadu. Strażnik często zaglądał przez judasza i wydawało się, że na korytarzu jest, poza strażnikiem jeszcze jeden czy dwóch żołnierzy. Myśmy siedzieli lub leżeli na łózkach nie prowadząc żadnych ogóln-

nych rozmów. W celi była cisza i nastrój oczekiwania. Usłysze-
liśmy, jak postawiono kadź z zupą przed naszą celą. W chwilę
potem strażnik z chochlą w ręku wezwał nas do fasowania zupy,
dodając, że chleb możemy zabrać również. Nikt się nie ruszył.
Na pytania strażnika dlaczego tak robimy, odpowiedzią było mil-
czenie z naszej strony. Jeden z chłopaków powiedział, że rano
już zakomunikowaliśmy o co chodzi. Strażnik zatrzaskał drzwi
i dalej była cisza. Nie trwała długo. Usłyszeliśmy wejście na
korytarz kilkunastu osób, a w chwilę potem strażnik otworzył
drzwi na rozcież. W drzwiach stanęło trzech, opasyłych, nadętych
dostojnością i silnie pachnących jakąś wodą kolońską, komandi-
rów. Obok i z tyłu znajdowali się żołnierze-strażnicy w liczbie
co najmniej ośmiu. Stojący w środku komandir ruchem ręki przywo-
łał nas, abysmy podeszli bliżej. Podeszliśmy i półkolem otoczy-
liśmy naszych gości. Środkowy komandir, a tylko ten rozmawiał
z nami, najpierw zapytał: kto tu jest organizatorem buntu? Kto
cię namawiał do buntu? i wskazał ręką na stojącego najbliżej.
Ten, zgodnie z tym, jak się umówiliśmy, odpowiedział, że nikt,
tylko on sam nie wziął jedzenia. Tak zapytał kilku chłopaków.
Dodać muszę parę słów o wyglądzie naszej grupki: wyglądaliśmy
żałośnie, był upał i duchota, wszyscy byli w kalesonach, niek-
tórzy mieli na sobie koszule. Skóra w strupkach i pryszczach,
a cera szara, oczy wpadnięte, u niektórych widoczny zarost.
A naprzeciw żołnierze i komandiry NKWD w czystych mundurach,
ogoleni, pachnący wodą kolońską, z białymi wypustkami przy koł-
nierzykach mundurów, rośli, dobrze wyglądający. Komandiry nawet
z dobrze widocznymi brzuchami. Od wszystkich komandir - powiedział
że jest naczelnikiem, otrzymał tę samą odpowiedź. Spytał wtedy
dlaczego nie biorą jedzenia. Z odpowiedziami wyrwało się naraz
kilku mówiąc gorączkowo i chaotycznie, że siedzimy już tyle mie-

sięcy, wielu jeszcze od jesieni i zimy 1939 r., chcemy wiedzieć co władze więzienia chcą z nami zrobić. Nikt na nasze prośby nie chciał przyjść i wyjaśnić nam sytuację. Naczelnik nie przeszkadzał temu potokowi naszej wymowy, a jednocześnie kilku strażników-żołnierzy z boków, pomalenku weszło nieco dalej w głąb celi. Na jakiś znak strażnicy wyrwali trzech mówiących chłopców z naszego grona i wyrzuciło ich na korytarz, gdzie każdy został złapany przez dwóch innych wykręcających im ręce do tyłu. Stało się to błyskawicznie, tak że myśmy wręcz oniemieli, nawet nikt nie uciekł w głąb celi. Wtedy naczelnik cofając się ze swoją asystą na korytarz, zakończył spotkanie komunikatem: "Wszyscy jesteście przestępcami. Toczy się śledztwo, a po jego zakończeniu sąd wyda na każdego wyrok. Tych trzech za zorganizowanie buntu będzie za karę osadzonych w karcerze. Jeżeli nie weźmiemy kolacji, to następnych trzech pójdzie do karceru. Jeżeli nadal będziemy buntować się, to cała cela będzie siedziała w karcerze, miejsca tam jest dosyć". Po tych słowach strażnik zatrzasnął drzwi. Z korytarza doleciały odgłosy bicia naszych współwięźniów, potem trzasnęła furtka w kracie zamykającej korytarz i nastąpiła cisza. Rozeszliśmy się każdy na swoje legowisko, raczej nieco załamani. Zorientowaliśmy się, że strażnik prawie bez przerwy nas podgląda. Siedząc tak omówiliśmy sytuację. Właściwie dowiedzieliśmy się kim jesteśmy i będziemy sądzeni. Kiedy - naczelnik nie powiedział - ale zadawanie takiego pytania, jak widać, nie ma sensu. Każda odpowiedź będzie kłamstwem, a będziemy siedzieć do skutku, to znaczy aż do wyroku. Jaki będzie wyrok też nie wiadomo, a naczelnik nie odpowie. Do karceru zabrano, a najpierw jak było słychać zbito, trzech zupełnie przypadkowo wyrwanych chłopaków, dwóch Ukraińców i jednego Polaka. Jak widać, obietnica zastosowania dalszych represji

jest realna i dalsze kontynuowanie głodówki - bez sensu.

Wieczorem, po otworzeniu drzwi przez strażnika, wzięliśmy grzecznie „pochłobkę” na kolację. Ku naszemu zaskoczeniu strażnik wydał chleb i cukier, ale o 3 porcje mniej. Po trzech dobach wrócili z karceru nasi współwięźniowie. W celi nadal był upał, a oni, tylko w kalesonach, sino-zieloni na twarzach i ciele, trzęśli się z zimna. Byli na bosaka, tak jak zabrano ich z celi. Położyli się na swe legowiska, a myśmy każdego starali się rozgrzać masując plecy rękami i przykrywając kilkoma kocami. Rozgrzewali się długo, aż do następnego ranka. Zaczęliśmy ich pytać, jak wygląda karcer i co z nimi tam robili. Nie dowiedzieliśmy się nic. Wszyscy trzej powiedzieli, że nic nie wolno im mówić. Jak złamają ten zakaz to trafią ponownie do karceru. Nie doczekaliśmy się relacji, a tylko po wyglądzie pensjonariuszy karceru można było snuć domysły.

Po tym "buncie" jeszcze w połowie lipca 1940 r. zaczęli wzywać nas pojedynczo na przesłuchania. Jak zawsze, wezwanie w nocy, już po apelu. Zostałem wezwany tak przed oblicze sędziego śledczego NKWD. Przesłuchania odbywały się na terenie więzienia, tylko w innym budynku. W niewielkim pokoju, biurko i krzesło, plecami do okratowanego okna, bez kosza, ale z widokiem tylko na mur więzienny. Przed biurkiem w odległości jakiś 3-4 kroków, taboret. Za biurkiem siedział młody komandir, w zielonym mundurze z malinowymi patkami na kołnierzu. Lampa na biurku skierowana w moją stronę, ale muszę przyznać, nie zupełnie prosto w oczy, tylko troszkę z boku. Na znak komandira strażnik wyszedł, a mnie komandir wskazał bez słów, abym usiadł na taborecie i zaczął oglądać i czytać akta, jak mogłem się bez trudu domyśleć - moje, Ja, wychudzony, z wyszarzałą twarzą, w której widać było tylko olbrzymie, wpadnięte oczy. Na polecenie straż-

nika, ubrałem się w celi. Więc miałem na sobie pumpy uszyte z wełnianego zielonego wojskowego koca, pozbawione wszystkich sprzączek i guzików, więc nie zapięte pod kolanami, a opadnięte do kostek. Na bosych nogach trzewiki zawiązane na tasiemki własnej roboty. Spodnie przytrzymywałem ręką, bo w pasie były już bardzo luźne i ledwo się trzymały na jednej tasiemce. Od góry - flanelowa koszula, oczywiście bez guzików, odpowiednio brudna i śmierdząca, ale za to bez wszy.

Miałem wrażenie, że przesłuchujący robi to raczej rutynowo, z obowiązku, bo wszystko wyczytał już w aktach. Śledczy poczęstował mnie papierosem, odmówiłem, bo nie paliłem i kazał opowiedzieć życiorys, coraz dokładniej, w miarę zbliżania się do chwili aresztowania. Wszystko o rodzicach, pokwitowane wyraźnymi oznakami zadowolenia, że Ojciec - kapitan - oficer Wojska Polskiego u nich w niewoli (był już lipiec 1940 r. i nie wiedziałem, że Ojciec od kwietnia 1940 r. nie było wśród żywych), a Matka tak jak ja u nich w więzieniu. Potem odpowiadałem na pytania o gimnazjum - śledczy nie wierzył, że chodzili tam synowie wszystkich warstw społecznych, a nie tylko synowie oficerów i burżujów. Na pytanie śledczego, jakie znam obce języki, powiedziałem zgodnie z prawdą: uczyłem się niemieckiego - umiem trochę mówić, łaciny - umiem czytać i rozumiem proste teksty oraz nadobowiązkowo - zacząłem się uczyć języka angielskiego. Śledczy w trakcie tych moich wyjaśnień coś notował, a w końcu wygłosił kilka zdań. Nie rozumiałem o czym mówił, ale docierało do mnie tyle, że opowiadał coś o szpiegostwie. Nic nie odpowiedziałem, bo to mnie nie dotyczyło, nie byłem przecież szpiegiem. O harcerstwie, do którego należałem - nie wierzył, że nie uczono tam nienawiści do Związku Radzieckiego. Pytał o dom, jak mieszkaliśmy, nie mógł zrozumieć i nie wierzył, że nie było u nas

bez przerwy bankietów i przyjęć. Coś z tego notował, coś uzupełniał na napisanych kartkach. Wreszcie kazał mi podejść i podpisać kilka kartek, co też uczyniłem. Wtedy, ze ściśniętym gardłem, spytałem, gdzie jest Matka, widziałem Ją ostatni raz w styczniu 1940 r. w więzieniu we Lwowie. Śledczy popatrzył do akt i odpowiedział, że dowiem się po otrzymaniu wyroku.⁶ Od razu wyjaśnię, że nigdy nic, mimo czynionych prób, od władz sowieckich nie dowiedziałem się o Matce. Natomiast śledczy wygłosił do mnie dłuższe przemówienie, którego słuchałem stojąc. Trzeba pamiętać jak rozmawialiśmy: on po rosyjsku, ja po polsku nadal nie znając języka rosyjskiego. W tym przemówieniu docierały do mnie jakieś pojedyncze słowa, ale o co mu chodziło - nie wiem. Przyznam - słuchałem tego z zupełną obojętnością, starając się zachować wyprostowaną postawę, aby śledczemu nie przyszło do głowy, że jestem załamany duchowo, lub mam zamiar prosić go o litość. Wiedziałem już, że władza, w której rękach jestem, może zrobić i zrobić ze mną co się im podoba. Przecież na spółkę z Niemcami dokonali IV rozbioru Polski.

Po przemówieniu śledczy wezwał strażnika i z rękami założonymi w tył, nie spotykając żadnego innego więźnia, zostałem doprowadzony do celi. Nie miałem wtedy jeszcze 16 lat.

Jeszcze na kilka dni przed przesłuchaniem byłem doprowadziny w dzień do specjalnego pokoju. Tam sprawdzono personalne dane, na szyi powieszono tabliczkę (nie wiem co tam było napisane) i sfotografowano w trzech ujęciach; głowa do ramion; z przodu, z profilu oraz jak mogę określić pod kątem 45°. Następnie wykonano odbitki daktyloskopijne wszystkich dziesięciu palców. Potem kazano rozebrać się do naga, dokonano oględzin i opisano znaki szczególne. Ja mam dwa: jeden na brzuchu - po prawej stronie bardzo duża blizna po ciężkiej operacji ślepej kisz-

ki, drugi - szeroka blizna długości prawie czterech centymetrów, na wewnętrznej stronie prawego przedramienia.

Taką procedurę przeszli wszyscy małoletni więźniowie naszej celi. Nadal się nic nie działo, izolacja była kompletna, tłukliśmy wszy i czekaliśmy - co dalej z nami? Śledztwo było, a jak będzie wyglądał sąd? Czy uniewinnią? Jakie ewentualnie mogą być wyroki? W tych rozważaniach przeważał optymizm, ale można powiedzieć, podzielony. Ukraińcy byli wręcz pewni, że ich zwolnią do domu. Powoływali się na życzliwe odnośnienie się do nich śledczego, częstowanie papierosami oraz opowiadaniem śledczego o ucisku, jaki znosili w "pańskiej Polsce". Widać, jak akcja uświadamiająco-propagandowa zaczęła dawać rezultaty. Żydzi - też byli pewni, że ich zwolnią, bo przecież uciekli od Niemców, sami przyszli do przyjaciół i sami zgłosili się do władz sowieckich. Natomiast nam, Polakom nie wrócono raczej rychłego zwolnienia, bo albo chcieliśmy uciec od sowietów, albo byliśmy synami oficerów lub jakiś urzędników. W tym okresie szczególnie dużo gadali na ten temat chłopcy z chłopskich rodzin ukraińskich, którzy do tego przeżyli kilka miesięcy pod władzą sowietów, nim zostali aresztowani i lyknęli na wolności trochę propagandy. Ja też od września do grudnia 39 r. przeżyłem na terenach zajętych przez sowietów i niejedną wstrząs lub zdziwienie, i chociaż z trudem, ale coś dochodziło do mojej świadomości, że jestem wrogiem lub co najmniej źle widzianym przez sowietów tylko z racji pochodzenia socjalnego. Nigdy mi to nie przychodziło do głowy i myśli takie z trudem torowały sobie drogę do mej świadomości. Rozmowy tego rodzaju zaczęły się właściwie w okresie, jak zaczęto wzywać nas na śledztwa. W pierwszym okresie, o czym pisałem, bez względu na to "kto jest kto" przebiła w rozmowach pewna nuta solidarności i wspólnego losu.

Rozmów takich, jak bym określił politycznych czy o problemach społecznych, lub o utracie niepodległości przez Polskę, nie było. Omawiane były tylko sprawy bieżące, doraźne, dotyczące tego, co się dzieje w celi.

Pewnej upalnej nocy źle się poczułem, dostałem silnej biegunki. Choroba dosłownie z godziny na godzinę się nasilała, narastała silna gorączka, w tym upale trząsałem się jak na zimnie, zaczęła ze mnie lać się krew przy coraz częstszym oddawaniu stolca. Rano na apel już nie mogłem wstać z łóżka. Strażnicy wezwali żołnierza-sanitariusza, był w białym kitlu, i z jego pomocą zostałem doprowadzony, a raczej dowleczony do celi szpitalnej, takiej samej, a może tej samej, w której leżałem kilka miesięcy temu. Do szpitala zostałem doprowadzony tak jak byłem, tylko w koszuli i kalesonach. Niewiele pamiętam z tego pobytu. Jak przez mgłę widzę, jak ciągle, w dzień i w nocy, trzymając się ściany, słaniając się na nogach, stukałem do drzwi, aby wypuszczano mnie do ustępu. Nie wiem jak mnie leczono, jak badano. Nie pamiętam ażebym chciał jeść, nie wiem czy dostawałem jakieś jedzenie. Chciałem tylko pić. Od czasu do czasu dostawałem kubek herbaty, a czasem ktoś z chorych więźniów w celi, tak mi się wydaje, dawał mi coś do picia. Odebrano mi więzienną kalesony. miałem na sobie tylko więzienną koszulę sięgającą do pępka. Odzyskiwałem świadomość w łóżku na skutek gwałtownej potrzeby, połączonej z bólami, wyjścia do ustępu. Jakimś odruchem, czy instynktem nie chciałem dopuścić do zanieczyszczenia łóżka. Słaniając się wstawałem z łóżka, stukałem w drzwi, strażnik wypuszczał mnie na korytarz, gdzie bez żadnej pomocy musiałem dotrzeć do ustępu. Potem starałem się trochę umyć. Wracałem, padałem na łóżko i zapadałem w nicość. Nie wiem czy spałem, czy traciłem przytomność. Nie rozróżniałem dnia ani nocy, ani

nie wiem kiedy były wizyty lekarza, apele, wydawanie jedzenia innym chorym więźniom w celi. Tak mijały godziny, dni i noce. Wreszcie jednego dnia rano, jeszcze inni spali, obudziłem się przytomny, bez chęci wyjścia do ustępu i nie czułem gorączki. Nic mnie *nie bolało*.

Leżałem tak, rozbudzony i zupełnie przytomny rozglądając się po celi. Wiedziałem, gdzie jestem, natomiast nie umiałem określić czasu, jak długo byłem w stanie półprzytomnym. Leżąc tak bałem się wręcz poruszyć, bo może to sen i wszystko pryśnie. Leżący naprzeciw mnie mężczyzna pierwszy w celi obudził się i zobaczył, że leżę z otwartymi oczami patrząc przytomnie na świat. Patrząc tak na mnie powiedział po polsku: "No chłopcze, to cud, że żyjeś. Nikt tu w celi nie dawał ci żadnych szans na przeżycie. Tydzień czasu trwało twoje zmaganie się ze śmiercią. W tym czasie dwóch dorosłych mężczyzn wyniesiono stąd nogami do przodu". Dalej spytał kim jestem i jak trafiłem do więzienia. Powiedziałem wszystko z prawdą, wspominając również o śledztwie, tu w więzieniu w Chersoniu. Dalej mój rozmówca objaśnił, że leżą tu wszystko obywatele polscy, Polacy, w tym dwóch Żydów. Markierantów tu nie ma i dodał z odrobiną ironii - a także kapusia chyba nie ma też. Mój rozmówca był mężczyzną silnie zbudowanym, w wieku 35-40 lat, powiedział, że wpadł przy próbie przejścia granicy do Rumunii, bo jest żołnierzem (oczywiście, jaki miał stopień nie powiedział) i szedł do Armii Polskiej we Francji, by dalej walczyć. Wiedział o upadku Francji, ale był przekonany o istnieniu w Anglii Armii Polskiej walczącej nadal z Niemcami. Skąd brało się takie przekonanie u niego, lub skąd wiedział o tym - nie wiem, nie powiedział. Życzyłem mu szybkiego powrotu do zdrowia, no i wyrażałem nadzieję, że chyba wiecznie tu nie będziemy siedzieć. Na to moje życzenie i optymistyczne prognozy

uśmiechnął się i powiedział: "Widzisz Tadek jak leżę, leżałem w pozycji prawie pólśiedzącej, na granicy trochę mnie pomacali i jestem chory na serce, chciałbym aby twoje życzenia się spełniły, ale wątpię". Bliższych szczegółów nie powiedział, zamilkł i właściwie dalszej rozmowy już nie kontynuował. Po apelu przyszedł lekarz. Zbadał mnie, coś pogadał z sanitariuszem, a na zakończenie poklepał mnie po gołym brzuchu i powiedział: *"Kly, Monogey!"* Wstał i poszedł badać pozostałych chorych. Zauważyłem ze zdziwieniem, że ominął łóżko z moim rozmówcą, a on ani nie protestował, ani się temu nie dziwił. Widząc to ścisnęło mi się serce i pomyślałem - czyżby ten człowiek był już skazany na śmierć? A zatem nie warto go badać? Nie wiem, nie śmiałem pytać. Dostałem śniadanie: biały chleb, kawałek masła!, mleczną zupę, cukier, herbatę. Wszystko zjadłem z apetytem. Obiad z dwóch dań - "zmiotłem", kolację - też. Do ustępu wyszedłem dwa razy, przewód pokarmowy zaczął funkcjonować normalnie. Z chodzeniem miałem trudności, bo nogi były jak z waty, a w głowie też mi się trochę kręciło. Nigdy nie byłem tłusty, w więzieniu schudłem, a teraz wyglądałem jak szkielet obciągnięty skórą. Między posiłkami spałem, a najbliższą noc przespałem po prostu "jak kamień". Następnego dnia, w trakcie wizyty lekarz kazał mi wstać i przejść wzdłuż celi. Uczyniłem to trochę chwiejąc się. Dostałem śniadanie, takie jak wczoraj i zostałem wypisany, czyli wyrzucony ze szpitala. Obszedłem wszystkie łóżka podając każdemu rękę. Chwilę dłużej zatrzymałem się przy moim rozmówcy. Uścisnął mi rękę niezbyt mocno, nic nie powiedział, uśmiechając się leciutko ustami popatrzył na mnie dłużej swymi bardzo smutnymi oczami zapadającymi się w głąb oczodołów. W umywalni wydano mi moje brudne kalesony i koszulę. Strażnik nakazał jak zawsze: Ręce w tył! - i pomaszerowałem nieco chwiejnym krokiem. Po wyjś-

ciu na podwórze więzienne wprost ściał mnie z nóg żar lejący się z nieba. W celi szpitalnej, z oknami zasłoniętymi koszami, było można powiedzieć, chłodno. Zbliżało się południe i środek upalnego lata nad Morzem Czarnym. Strażnik podszedł do furtki prowadzącej do następnego podwórza, dał jakiś umówiony znak, furtka została uchylona przez strażnika znajdującego się na tym podwórzu. Byłem przekonany, że pomaszerujemy dalej, ale figa z makiem. Tych dwóch strażników przy uchylonej furtce ucięło sobie pogawędkę, a mogli spokojnie gadać, bo byli obaj w cieniu muru. Mnie mój strażnik kazał stanąć jakieś 10 m za sobą, a to było miejsce w pełnym słońcu. Stałem na rozgrzanym asfalcie, na bosaka, bez nakrycia głowy na podwórzu - studni zamkniętej wokół murami. Ci dwaj sobie spokojnie gawędzili. Nie wiem, jak długo to trwało, ale zaczęły mi przed oczami migać jakieś czerwone błyskawice, a nogi coraz bardziej wiotczały. Powiedziałem sobie - prędzej padnę aniżeli poproszę o prędsze doprowadzenie do celi. W każdym bądź razie wrażenia te, mimo upływu tylu lat zostały nadal silne w mej pamięci. Wreszcie moi władcy widocznie dość się nagadali, a trwało to na pewno dłużej jak pół godziny, czas ten zresztą wydał mi się wiecznością i strażnik doprowadził mnie do celi. Już nie do tej, z której zostałem zabrany, ale do innej, bo zostaliśmy przeniesieni. Załoga celi była bez zmian. Moje rzeczy zostały przeniesione przez kolegów, tych z Łodzi, w całości. Było już po obiedzie. Natychmiast położyłem się na wolnym łóżku, przeznaczonym dla mnie i usnąłem. Kolację - to znaczy miskę czaju dostałem, ale nic więcej. Po apelu znowu natychmiast usnąłem, mimo wszy i pluskiew zainteresowanych moją osobą. Następnego ranka koledzy powiedzieli, że po zabraniu mnie do szpitala wszyscy zostali szczepieni; dostali zastrzyki pod łopatkę, bolesne, po których mieli gorączkę. Do szpitala niko-

go nie zabrano, nikt nie zachorował tak jak ja. Po kilku dniach przeniesiono ich do tej celi. Ja czułem się bardzo słabo, nie mogłem jeść tego glinowatego chleba. Zamieniałem go na zupę, co chętnie czynili szczególnie Ukraińcy. Na mój temat od czasu do czasu rozpoczynano dyskusje, czy już mnie zżarła gruźlica, czy jeszcze nie i ile dni jeszcze pociągnę. Mimo takich budujących prognoz, bardzo powoli, w tych więziennych warunkach zacząłem jednak "stawać na nogi". Nadal byłem chudy jak szczapa, w twarzy widać było tylko duże, wpadnięte oczy, ale nie miałem zamiaru umierać.

Dni płynęły monotonnie, upały trwały nadal, siedzieliśmy i nic się nie działo. Wszyscy byli przesłuchani, sfotografowani, odbitki opuszek palców zrobione. Cella była położona dość nisko, chyba na I piętrze. Przez górną szparę nad koszem widać było tylko mur. Przez dolną szparę widać było spacerowe podwórze, z betonową ścieżką w kształcie koła, po której parami, z rękami w tył, czasem chodzili przez parę minut więźniowie. Podglądaliśmy tych więźniów; nikt nie rozpoznał nikogo ze znajomych. Spacerujących Polaków od Rosjan rozróżniało się z łatwością po szczątkach ubrań. Zachowania strażników na korytarzu też były bez zmian. Oglądaliśmy, jak nadal jadali naszą zupę, a strażnicy podglądając starali się złapać nas na jakiś nielegalnych czynnościach. To się strażnikom nie udawało, bo albo dobrze się kryliśmy, np. robiąc noże, albo naprawdę nic zakazanego nie robiliśmy. Wszyscy byli już zmęczeni oczekiwaniem, co dalej z nami zrobią? Wiedzieliśmy już dobrze, że musimy cierpliwie czekać.

W pierwszych dniach sierpnia 1940 r., po śniadaniu usłyszeliśmy nadzwyczajny ruch na korytarzu. Otwierano drzwi różnych cel, coś głośno mówiono, słychać było i podejrzeliśmy wyprowadzanych więźniów z cel. Judasz w tej celi też był spreparowany w ce-

lu umożliwienia podglądania, co się dzieje na korytarzu. Przy takim ruchu na korytarzu wszyscy wprost zamienili się w słuch. Oczekiwanie trwało niedługo. Strażnik otworzył drzwi, obok stał drugi żołnierz z kartką. Wyczytał nazwisko - Szkredko - sprawdził personalia; imię, otczestwo, datę uroszenia. Wygłosił sakramentalne: „*Собудуєца с бевуану! Белемпо!*”

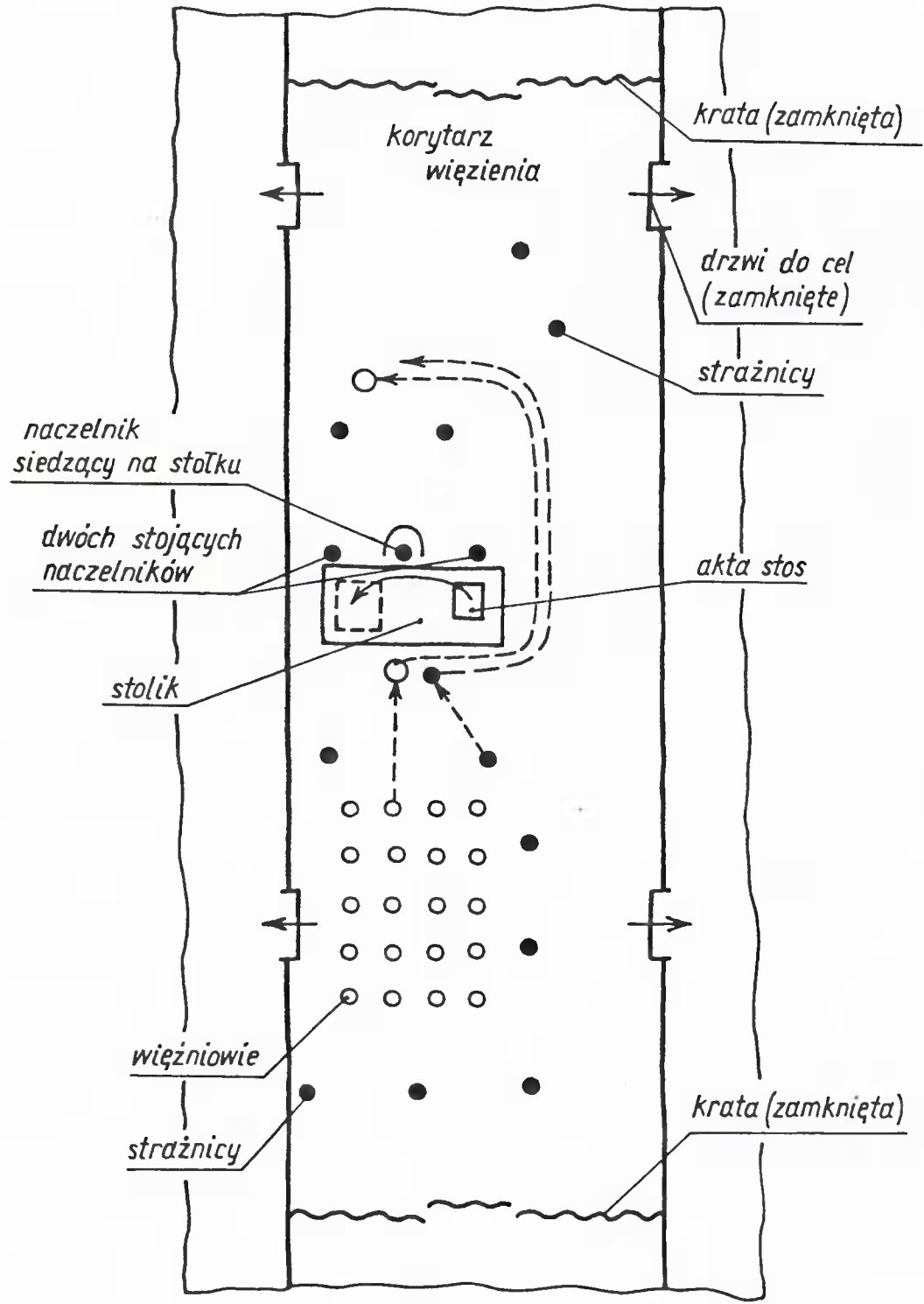
Drzwi się zatrzasnęły. Szkredko trzęsącymi się z podniecenia rękami zebrał w tobołek swoje rzeczy. Pożegnał się z najbliższymi, reszcie powiedział - do widzenia - i stanął naprzeciw drzwi. Strażnik popatrzył przez judasza, otworzył drzwi, Szkredko wyszedł na korytarz, drzwi się zatrzasnęły. Usłyszeliśmy jeszcze, jak Szkredko i kilku innych więźniów zostało wyprowadzonych z tego korytarza. Szkredko zniknął, a my nadal nic nie wiedzieliśmy. Wiadomo było tylko, że coś się dzieje. Zaczęliśmy pilnie, prawie bez przerwy podglądać spacerowe podwórze. Już następnego dnia wśród grupy chodzących po okręgu więźniów zobaczyliśmy Szkredkę. On zdawał sobie sprawę, że może być widziany przez nas, więc czekaliśmy na jakiś znak. Więźniowie chodzili z rękami założonymi w tył. Jak tylko zaczął odwracać się, idąc po okręgu, plecami do naszych okien, otworzył jedną dłoń wyraźnie rozkładając w wachlarz 5 palców. W trakcie następnego okrążenia powtórzył ten znak. Zrobiło to piorunujące wrażenie na wszystkich w celi. Rozpoczęła się gorączkowa dyskusja, co to znaczy, ta rozłożona dłoń pokazująca 5 palców. Czyżby on, syn chłopca, Ukrainiec, przypadkowo złapany na granicy obok swej wsi, ani przemytnik, ani uciekinier, został skazany? A jaki dostał wyrok? Pięć miesięcy? A może 5 lat? Po dyskusji doszliśmy, niestety, do wniosku, że jednak należy przyjąć wersję o skazaniu Szkredki na 5 lat więzienia. W celi zapanowało przygnębienie. Szkredki więcej nie widzieliśmy, co się z nim stało nikt

nie wiedział.

Mnie z celi wywołał strażnik, chyba jako drugiego, w dniach między 5 a 8 sierpnia 1940 r. Pożegnałem się serdecznie z chłopcami z Łodzi, pozostałym powiedziałem - "Do widzenia" - i zostałem wyprowadzony na korytarz z tobołkiem swych rzeczy pod pachą. Tam dołączono mnie do grupy około 20 więźniów, Polaków, z innych cel. Wyprowadzono nas z tego budynku do innego, a tam zatrzymano w korytarzu. Cała nasza grupka była otoczona, mimo że znajdowaliśmy się w więziennym korytarzu, przez 6 czy ośmiu żołnierzy. W odległości kilkunastu kroków stał w poprzek korytarza niewielki stolik. Przy nim, twarzą do nas siedział jakiś naczelnik, w mundurze NKWD. Na stoliku z jednej strony leżał stosik teczek, jak z łatwością można było się domyśleć, akt tej grupki więźniów. Po obu stronach stolika stało jeszcze dwóch żołnierzy, chyba jakiś mniejszych naczelników. A za stolikiem też było widać ze czterech strażników. Na własnym przykładzie opiszę, jak odbywała się procedura skazania więźnia w całym majestacie tam obowiązującego prawa.

Wezwano mnie prędko, jako piątego. Ten stojący wziął teczkę i odczytał nazwisko. Odpowiedziałem - ja! Wtedy razem ze mną podszedł do stolika jeden ze strażników; stał przez cały czas tuż za mną, troszkę z boku. Stojący, trzymając moje akta sprawdził personalia. Podał, a raczej położył teczkę przed siedzącym naczelnikiem. Ten otworzył moją teczkę, wyjął z niej wąski kawałek, chyba formatu A5 lub nawet A6, cienkiego papieru zapisany częściowo na maszynie, a częściowo ręcznie i odczytał. Wymienił paragrafy (niestety, za słabo znałem język rosyjski ażebym zrozumiał i zapamiętał) na podstawie których również jako "socjalno opastnyj element" (socjalnie niebezpieczny element), wyrokiem "osobogowo sowieszczanija" (specjalnego sądu zaocznego - czyli tzw. trójki; wyroki tego sądu nie podlegały żadnej

Organizacja odczytywania więźniom wyroku
na korytarzu więzienia w Chersoniu



apelacji i były wykonywane natychmiast), zostałem skazany na 3 lata pracy w obozie pracy NKWD dla małoletnich. W czasie odczytywania tego wyroku naczelnik siedział, a ja stałem jakieś 3 kroki przed stolikiem. Po przeczytaniu naczelnik podsunął ten świstek, podał pióro i kazał się podpisać. Podpisałem się, oczywiście po polsku. Siedzący naczelnik włożył tę kartkę do mojej teczki i teczkę podał naczelnikowi stojącemu z drugiej strony. Ten układał nowy stosik na drugim brzęgu stolika. Strażnik przeprowadził mnie za stolik, gdzie oddał pod opiekę strażników czekających na osądzonych więźniów. Sam strażnik wrócił po następnego więźnia. Zauważyłem, że niektórzy więźniowie odmawiali podpisu na tym świstku. Nie robiło to żadnego wrażenia na naczelnikach. Coś notowali na tej kartce, a więźnia strażnik przeprowadzał na drugą stronę. Jak dowiedziałem się po wojnie w 1946 r., Mama wyroku skazującego ją na 5 lat obozu pracy nie podpisała.

Po przeprowadzeniu wszystkich z tej grupy na miejsce w korytarzu po drugiej stronie stolika, strażnik otworzył drzwi jednej z cel, zupełnie pustej i - oczywiście licząc więźniów - kazał wejść do środka. W grupie byli wszystko obywatele polscy i prawie wszyscy Polacy. Było może 2 Żydów i 3 Ukraińców. Cella, do której nas wprowadzono była dosłownie pusta. Nie było ani pryczy, ani łóżek, ani stołka. Jedynym sprzętem, bardzo ważnym i potrzebnym był tylko kibel, czyli parasza. Wprowadzeni do celi, jeszcze podnieceni przebytymi przejściami, zaczęli się dzielić wrażeniami. Najpierw kto ile "dostał"? Wyroki były przeważnie 5 lat, ale kilku "zafasowało" 7, a nawet 10 lat. Dwa czy trzy były też wyroki po 3 lata. Zachowania ludzi były bardzo różne: jedni byli wręcz załamani, inni udawali "wisielczy humor", a inni udawali, a może tak było naprawdę, obojętność. Ja wobec tego wyroku, skazania mnie, zachowałem się tak, jak by to zupeł-

nie mnie nie dotyczyło. Było mi wszystko jedno, serce mi mocniej nie zabiło, nie wywołało żadnych emocji. Po pewnym czasie wprowadzono następną grupę takich delikwentów, a potem dokładano jeszcze kilka razy grupki osadzonych więźniów - wszystko obywateli polskich. Cella zapełniła się tak, że zaledwie można było położyć się, leżąc pokotem na betonie. Rozgorzały dalsze dyskusje. Cóż się okazało? Przeważył niczym nie uzasadniony optymizm, zawierający się w krótkim zawołaniu: "Wszystkie te wyroki to lipa! Tak jak nas razem zamknęli, to tak nas razem wypuszczą! Wojna trwa i na pewno niedługo będziemy wolni!" Nikt nie próbował uzasadniać tego optymizmu pozbawionego wszelkich podstaw. Był to początek sierpnia 1940 r., przyjaźń między ZSRR i Niemcami hitlerowskimi kwitła w najlepsze. Co się dzieje na świecie, jak toczy się wojna, nie wiedział nikt. Byliśmy dość skutecznie izolowani. Ja w tych rozmowach udziału nie brałem, słuchałem tylko pilnie, a wypowiedzi zapadały mi głęboko w pamięci. W celi byli wyłącznie osadzeni obywatele polscy, a przekrój społeczny, zawodowy i socjalny - pełny. Mimo tych objawów niczym nie uzasadnionego optymizmu, widziałem również mężczyzn złamanych i zrozpaczonych. Widoczne było załamanie duchowe, psychiczne tych ludzi, a nie fizyczne. Mną się nikt nie interesował, każdy był właściwie zajęty samym sobą.

W sprawie zachowań Polaków po odczytaniu wyroku muszę dodać: wielu zachowując postawę obojętną mówiło - to wszystko lipa, i tak wszyscy wyjdziemy wcześniej. Napewno nikt takiego nawet trzyletniego wyroku, nie mówiąc o 5-, 7- czy 10-letnich, nie będzie odsiadywał - wszyscy zostaną zwolnieni wcześniej. Ukraińcy zachowywali się tak, jak by nic z tego nie rozumieli - patrzyli wokoło "pustymi oczami". Żydzi natomiast najczęściej każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadali o ogromnej, nie-

słusznej krzywdzie, jaka ich spotkała.

Organizacja odczytywania wyroków była bardzo sprawna i znakomicie przeprowadzona. Wręcz wzorowo. Nie bardzo rozumiem tylko dlaczego tak nielicznej grupki, już zmalretowanych ludzi więzieniem, pilnowało w zamkniętym korytarzu, wewnątrz więzienia, tylu strażników. Chyba na 3 więźniów przypadało 2 strażników. Niech nikt mi nie opowiada, że Moskale to bałaganiarze, jak do-
tąd byłem świadkiem znakomitej organizacji i wysokiej sprawności działania wojsk NKWD.

Wydano zupę w południe, wieczorem czaj. Chleba nie wydano, bo każdy otrzymał swoją porcję rano w celi, przed wyprowadzeniem "z rzeczami".

Powracałem wielokrotnie do opisów zachowań ludzi w różnych więziennych sytuacjach, ale to było coś tak niesamowitego, nie znajdującego żadnego racjonalnego uzasadnienia, że zapadło mi głęboko w pamięci. Sceneria takiej dyskusji też była przecież niecodzienna: zatłoczona cela więzienna, z oknami zasłoniętymi, jak wszędzie, koszami, ludzie wymęczeni i zmalretowani, a ci ludzie głośno i z przekonaniem wygłaszający opinie o rychłym wyjściu na wolność. A wszystko to po tym, jak zafasowali "piękne" wyroki i faktycznie nic nie wiedzieli, co się dzieje na świecie.

Przypominały mi się analogiczne wypowiedzi w celi zbiorczej w więzieniu w Brygidkach we Lwowie. Też taki optymizm na przekór wszelkiej otaczającej rzeczywistości. Słuchałem tego pólleżąc na betonie, oparty o ścianę i słuchałem patrząc na przesuwane się postacie. Byłem jedynym małoletnim w tym towarzystwie.

Wieczorem, jak zawsze apel, przeliczono nas skrupulatnie (liczono więźniów stale przy wszystkich okazjach) i jak kto mógł

położył się na betonie spać. Rozmowy, już prowadzone szeptem, trwały jeszcze długo w nocy.

Rano, po apelu, wydaniu chleba i cukru, zaczęto wyczytywać nazwiska więźniów, grupkami po 5-10 osób. Tak upłynął dzień. Rozmowy zaczęły się na temat obozów. Dokąd? Jak tam jest? Nikt o tych sprawach nie miał zielonego pojęcia, a szkoda.

Na spacer nikogo nie wyprowadzono, więc nie mogłem dać żadnego znaku pozostałym małoletnim kolegom z "mojej" celi. Na pewno gubili się w domysłach, co się ze mną stało. Żadnego z nich nigdy nie spotkałem, nawet do obozu, gdzie w końcu trafiłem, też z tej celi nie przywieziono nikogo.

Moje nazwisko oraz jeszcze 3 dorosłych więźniów, wyczytano następnego dnia, kończąc wezwaniem: "Sobirajties s wieszczami! Bystro!". Przeprowadzono nas do innej celi. Tam - rewizja, taka jak przy przyjęciu do więzienia, to znaczy rozebranie do naga, przysiady, oględziny jamy ustnej, a nawet nosa, szczegółowe obmacanie wszystkich części ubrania. Wydano każdemu chleb, cukier i suche słone ryby (chyba śledzie) zaznaczając, że to na drogę. Porcje jedzenia wydano różnej wielkości. Ja dostałem najmniejszą. Oznaczało to nakrótszą podróż. Przyszedł żołnierz z teczkami i po kolei, identyfikując każdego, przekazano nas w porządku - więzień - teczka - eskortie do transportu. Dowódca eskorty wygłosił sakramentalne ostrzeżenie: "Szag biegom sczi-tajetsia pobiegom! Orażje budiet primienieno bez preduprieždienija!". Wyprowadzono nas z celi korytarzem, przez przegradzające go kraty, zamknięcia, na podwórze więzienne zamknięte dużą bramą w murze, jak widać zewnętrznym. Tu, na podwórzu do nas czterech dołączono dwie kobiety. Wyglądały na robotnice i to niedawno aresztowane, bo widać było na ich twarzach jeszcze ślady opalenizny i pewnej świeżości przynoszonej z wolności. Tę grupkę

otoczyło chyba trzech żołnierzy trzymających w rękach karabiny z nasadzonymi bagnetami, dowódca z rewolwerem w kaburze *na czele* zbliżył się do bramy. Chwilę trwały formalności, brama się uchyliła i wyszliśmy na zewnątrz więzienia. Brama za nami szybko zatrzasnęła się. Pogoda była bardzo ładna, było nadal gorąco, świeciło słońce, pora przedpołudniowa.

Pierwsze łyki powietrza wprost mnie odurzyły. Jak inaczej smakowało powietrze za murem więziennym! W ślad za tym wrażeniem ujrzałem zielone drzewa, trawę, krzaki. Ta zielen roślinności była dla mnie czymś urzekającym. Do dziś zielen drzew uważam za najwspanialszy cud przyrody, za cudowny, z niczym nie dający się porównać uroczy widok. Domyślałem się, że prowadzą nas na stację, ale droga tym razem wiodła nie przez miasto, a jakimiś bocznymi drózkami. Tylko ten jeden raz prowadzono mnie na piechotę z więzienia do pociągu. W dalszej podróży zawsze z więzienia do wagonu więziennego i z wagonu więziennego do kolejnego więzienia przewożono mnie, zarówno w dzień, jak i w nocy, specjalnym więziennym samochodem.

Szedłem podziwiając zielen drzew, łykając świeże powietrze, wprawdzie na "wacianych" nogach, zapominając nawet chwilami o swym położeniu - że jestem skazanym groźnym więźniem prowadzonym przez uzbrojony konwój.

Z tego błogostanu wyrwał mnie dźwięk języka polskiego. Jedna z robotnic mówiła do swej towarzyszki, dość głośno i wyraźnie po polsku. Ta druga od czasu do czasu tylko potakiwała. Nastawiłem uszu. Mówiła: "Popatrz przyjechałyśmy ze Lwowa same bo mówili, że dostaniemy tu dobrą pracę w fabryce. Rzeczywiście, pracę dostałyśmy, może nie tak dobrą i nie tak dobrze płatną, ale dało się jakoś żyć. Na pierwszego maja były zawody sportowe. O popatrz, tu biegałam po tym boisku (przechodziliśmy obok zwy-

kłego, prymitywnego boiska piłki nożnej). A jak spóźniłyśmy się trochę do pracy, tylko raz, to od razu pod sąd, orzekli "proguł" i wlepili nam po roku więzienia i obozu pracy". Coś tam dalej opowiadała, ale ja tego nie słuchałem. Nic z tego, co usłyszałem nie mogłem zrozumieć. Jak to? Sama przyjechała to do Chersonia, nie była żadnym wrogiem Sowietów. Raz się spóźniła do pracy i od razu do więzienia? Co to jest, co to znaczy słowo "proguł" [?]? Nic z tego nie rozumiałem. Tak zaczął się mój pierwszy etap w drodze do obozu pracy. Nadal nie wiedziałem, gdzie ten obóz, jaka czeka mnie podróż? Było to koło 10 sierpnia 1940 r.

8. Etap CHERSONŃ - NIKOŁAJEW

Wstęp: "Kalendarz podróży"

Więzień skierowany "na etap" wie na ogół, kiedy wyjechał, natomiast na początku "podróży" nie zna ani docelowego miejsca, ani - oczywiście - kiedy przyjedzie. Zmiana miejsca, więzienia etapowe, wiele spotkań z ludźmi powodują duże trudności z ustaleniem całego czasu podróży (szczególnie), jak również czasu pobytu w poszczególnych więzieniach etapowych oraz czasu trwania poszczególnych "etapów".

Po przywiezieniu mnie do Wierchoturje dobrze zapamiętałem wszystkie więzienia etapowe oraz w jakiej kolejności w nich siedziałem. Natomiast nie znałem dokładnej daty rozpoczęcia "etapu" i daty przyjazdu do Wierchoturje. Jedynie porównując swoje spostrzeżenia i wrażenia z poszczególnych więzień etapowych z informacjami innych kolegów - współwięźniów w Wierchoturje, odtworzyłem "Kalendarz podróży". Mogą w nim być błędy, ale niewielkie, jeden - dwa dni. Cała podróż może trwała do 10 dni dłużej, ale nie mniej niż 40 dni, tak jak podałem w tabeli. "Kalendarz podróży" odtworzyłem prawie 15 lat temu, konfrontowałem z Kazikiem i Zbyszkiem, a więc należy go uznać za prawie dokładny.

Rozliczenie całego czasu "podróży" przedstawia się następująco:

1. Etap CHERSON - NIKOŁAJEW (ok. 80 km)	1 dzień
2. Więzienie - NIKOŁAJEW	4 dni
3. Etap NIKOŁAJEW - CHARKÓW (ok. 450 km)	2 dni
4. Więzienie CHARKÓW	8 dni
5. Etap CHARKÓW - SYZRAŃ (ok. 900 km)	4 dni
6. Więzienie SYZRAŃ	4 dni
7. Etap SYZRAŃ - CZELABIŃSK (ok. 850 km)	4 dni
8. Więzienie CZELABIŃSK	5 dni
9. Etap CZELABIŃSK - SWIERDŁOWSK (ok. 220 km)	1 dzień
10. Więzienie SWIERDŁOWSK	5 dni
11. Etap SWIERDŁOWSK - WIERCHOTURJE (ok. 400 km)	2 dni

Razem nie mniej niż 40 dni

Początek "podróży" około 10 sierpnia 1940 r. Zakończenie "podróży" około 20 września 1940 r.

Dzisiaj z perspektywy czasu może się wydawać: cóż takiego - raptem 40 dni podróży, no może 50. Dla mnie był to cały wiek i nie wiem jakim cudem przetrwałem tę podróż. Pod względem fizycznym było ze mną bardzo źle, po prostu się kończyłem. Dość ogólników - teraz szczegółowo opis etapów.

Ogólne wiadomości o środkach transportu i warunkach podróży

Idąc tymi bocznymi ścieżkami doprowadzono nas do torów za stacją. Przy dróżce, którą szliśmy stał na bocznych torach wagon wyglądający na osobowy, pomalowany na zielono, tak jak zazwyczaj maluje się wagony kolejowe. Był to jednak specjalny wagon więzienny. Wielu więźniów - Polaków - poznało to jadące więzienie od środka, a ja wtedy poznałem to urządzenie po raz pierwszy. Wszystkie dalsze etapy swej podróży odbywałem w takim wagonie, więc opiszę go nieco dokładniej, oraz zwyczajnie konwoju.

Wagon więzienny (tzw. "stołypinka" - tej nazwy nie znałem wtedy, dowiedziałem się o niej dopiero wiele lat po wojnie) wygląda jak nasz wagon "pulmanowski" - ma wejścia tylko z dwóch końców, ale jest o ok. $\frac{1}{3}$ od niego krótszy. Z jednej strony ma okna, prawie jak normalne, tylko znacznie węższe. Jak lepiej popatrzeć, to widać, że każde okno jest zabezpieczone mocną, dość gęstą siatką - kratą, o oczkach ok. 4×4 cm. Z drugiej strony wagon wygląda inaczej. Na ok. $\frac{2}{3}$ długości nie ma żadnych okien, tylko pod samym dachem, w odstępach takich, jakie przypadają na okna, są małe prostokątne otwory o wymiarach ok. 15×10 cm, oszklone, a jak dobrze się przyjrzeć to widać jeszcze gęstą siatkę o oczkach ok. 1×1 cm. Pozostała $\frac{1}{3}$ wagonu ma takie same okratowane okna, jak strona opisana poprzednio.

Rysunki obok wyjaśniają poglądowo, jak niewinnie przedstawiało się na zewnątrz to więzienie na kółkach. Oczywiście, nie wiem, jak wyglądała wewnętrzna część wagonu przeznaczona dla eskorty, gdzie i jak przechowywano teczki więźniów. Nie wiem czy była tam jakaś kuchnia do przygotowania gorącego jedzenia dla eskorty. Tylko dla eskorty, bo więźniowie w czasie całej podróży etapem nie otrzymywali od eskorty żadnej żywności. Więzień otrzymywał przed "etapem" suchy prowiant - chleb, suszone ryby i czasem cukier - na całą drogę. Więźniom wydawała eskorta tylko zimną wodę, raz na dobę, a jak była dobra - to dwa razy. Mimo wszystko byłbym ciekaw, jak wyglądało wyżywienie eskorty w czasie podróży. Na głodnych ani spragnionych nie wyglądali i nie widziałem, aby jedli przy więźniach.

Co do "karceru", to sam słyszałem, jak groziła eskorta osadzeniem w tym pomieszczeniu. Więźniowie twierdzili, że takie pomieszczenie jest w każdym wagonie, ale się nie dowiedziałem jak wygląda, a sam tam nie siedziałem. Prawdopodobnie jest w tej

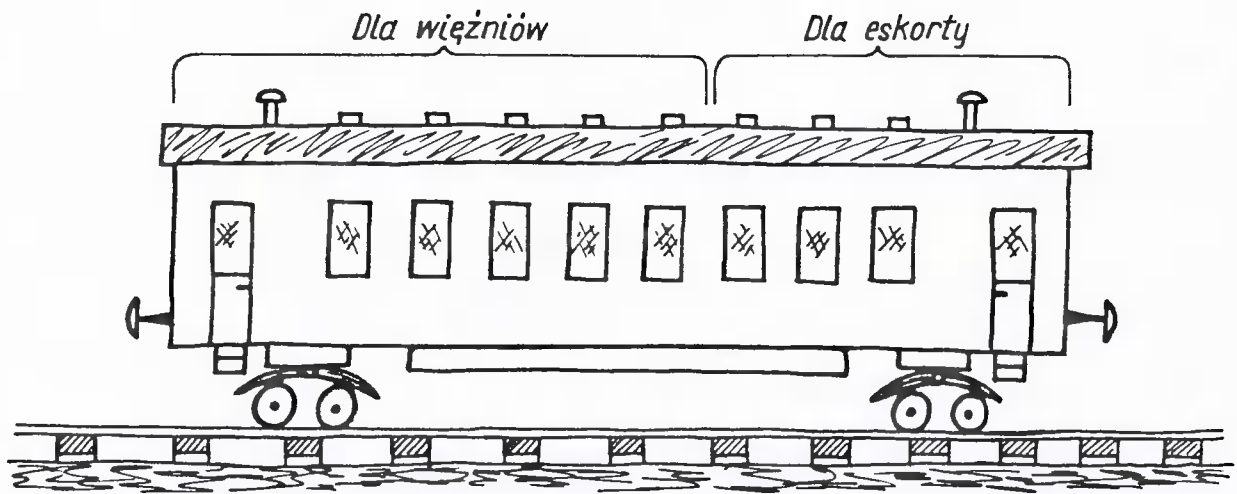
części wagonu, jak na rysunku, ale to tylko hipoteza.

Natomiast ciekawie urządzony jest sam przedział-cela dla więźniów. Rysunek obok takiej celi-przedziału wyjaśnia wiele szczegółów. Wszystkie ławki, półki, ściany, podłoga i sufit są wykonane z bardzo mocnych, grubych, gładkich desek. Na zewnątrz powleczone jakąś żółtawą farbą, czy lakierem. Części stalowe, kraty i osiatkowania też są pomalowane - zabezpieczone przed korozją. W czasie swych podróży widać było, że wagony więzienne są intensywnie eksploatowane, np. ławki były powycierane, ale nigdy nie zauważyłem, aby coś było połamane lub uszkodzone. Drzwi odsuwały się sprawnie, ławki były całe, a kraty w idealnym stanie. Każdy przedział miał oświetlenie elektryczne. Nie pamiętam, czy lampa była przymocowana pod sufitem, czy zawieszona na "ślepej" ścianie. Wydaje mi się, że pod sufitem, oczywiście odpowiednio zabezpieczona i okratowana.

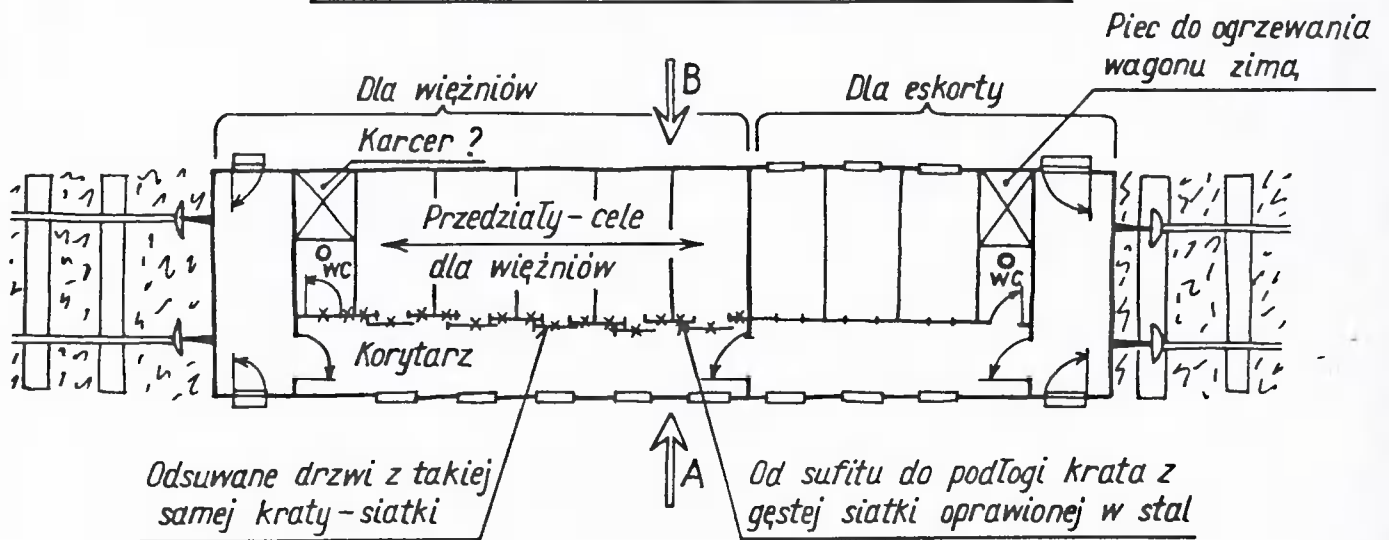
Dla ilu ludzi, tj. więźniów, był teoretycznie przeznaczony (zaprojektowany) przedział? Oczywiście, dla ośmiu więźniów! Wiadomo, że podróże w Rosji trwają po kilka dni, a zatem przewidziano również dla ośmiu ludzi jadących w przedziale miejsca leżące. Teoretycznie rozmieszczenie więźniów w przedziale miało przedstawiać się następująco:

- w dzień: ośmiu więźniów siedzi, po czterech na każdej ławce (analogicznie jak w normalnym przedziale III klasy - teraz nazywa się to II klasą). Ruchoma na zawiasach środkowa deska odłożona na boczną półkę I piętra. Półki I i II piętra puste lub mogą tam leżeć bagaże więźniów (jak je mają);
- w nocy: ruchoma środkowa deska odłożona na środek. Półka I piętra tworzy jedną płaską powierzchnię, od jednej do drugiej bocznej ściany przedziału. Wycięcie w środkowej ruchomej desce (od strony korytarza) umożliwia zarówno stanie przy drzwiach jak również wchodzenie z podłogi wagonu na półki I i II pię-

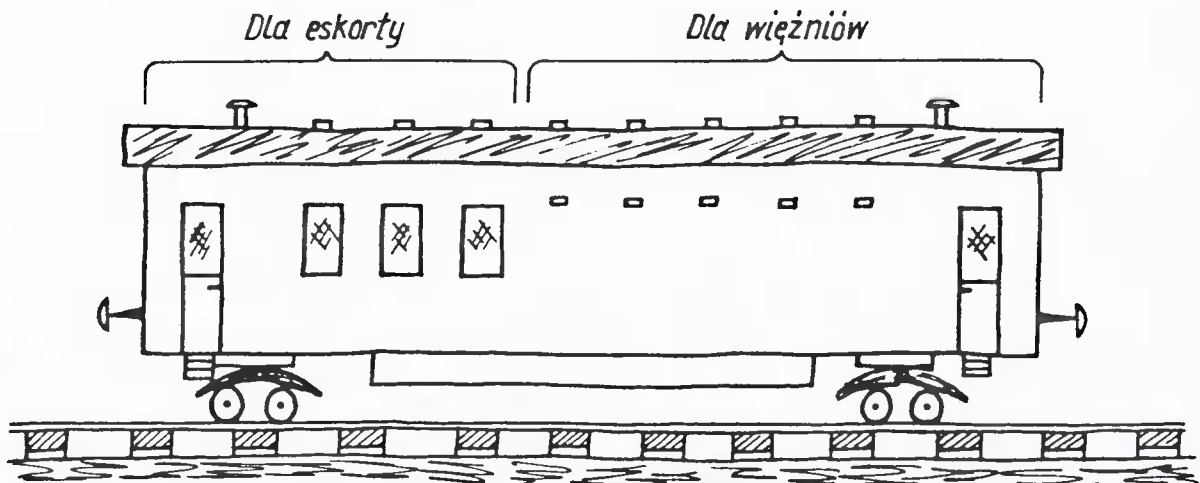
Widok wagonu od strony korytarza (A)

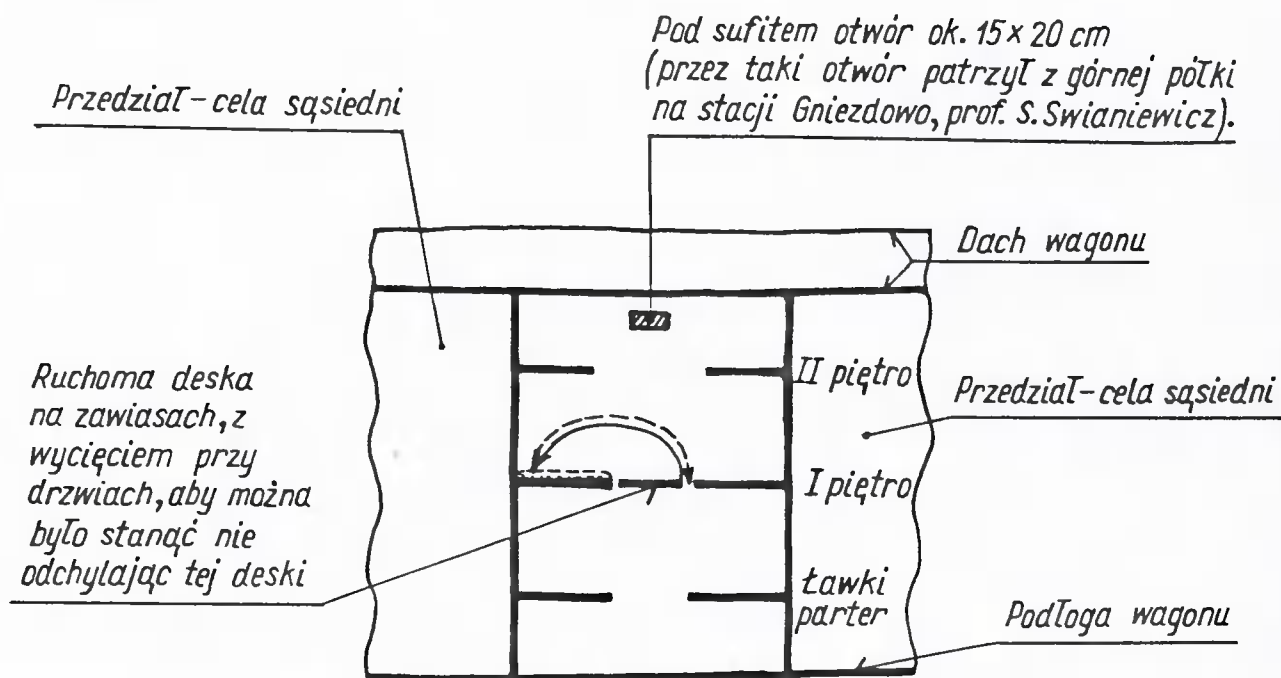


Widok wagonu z góry - (po „zdjęciu” dachu)

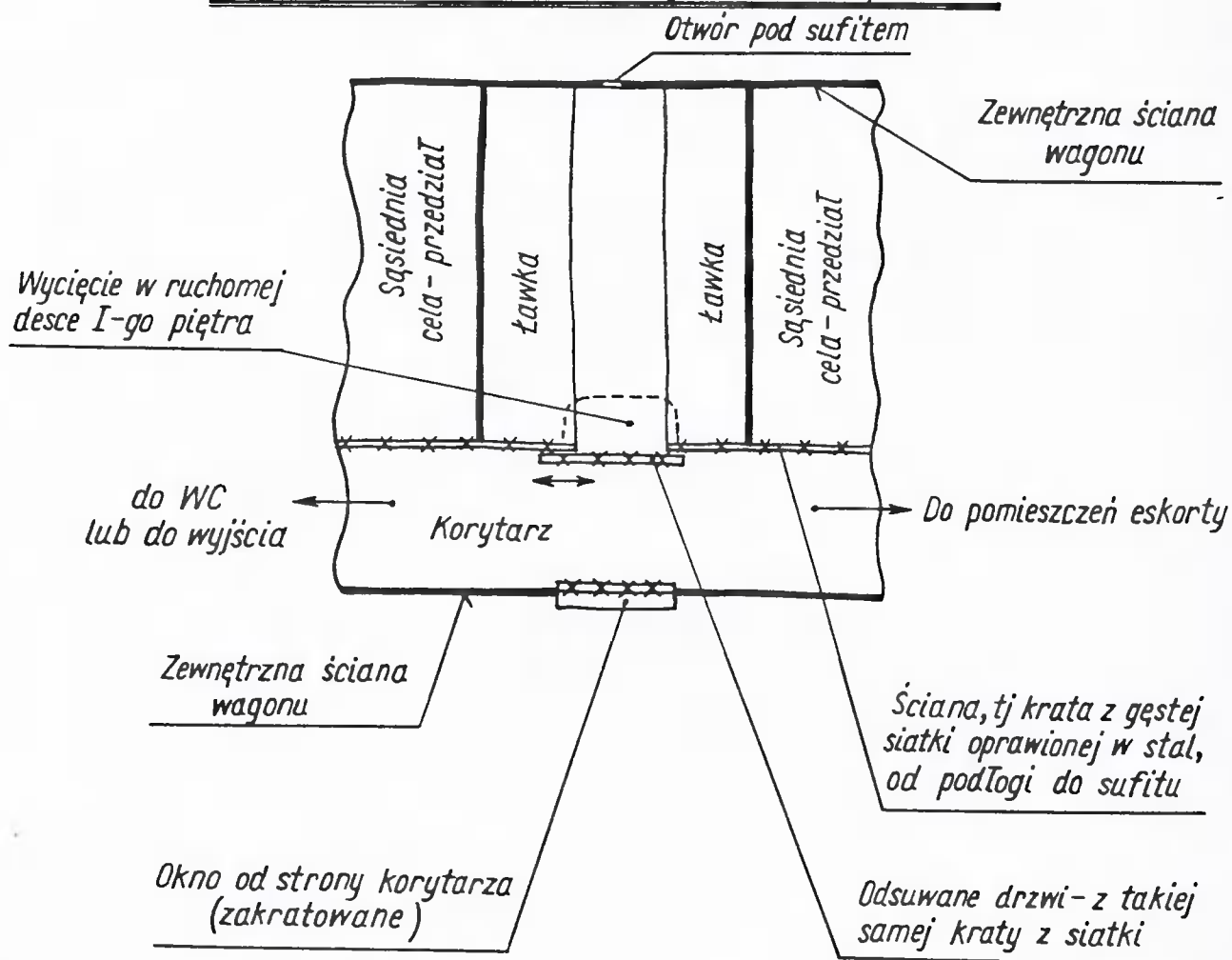


Widok wagonu od strony przedziałów (B)





Widok przedziału - celi z góry - na Ławki parteru



ra. Ośmiu więźniów ma miejsca leżące: dwóch na ławkach służących w dzień do siedzenia, czterech na półce I piętra, dwóch na bocznych półkach II piętra.

Tak przedstawia się teoretycznie rozmieszczenie więźniów w przedziale tego wagonu-więzienia.

Praktyka wygląda zupełnie inaczej. Na podstawie własnych doświadczeń i relacji innych znajomych mi więźniów mogę powiedzieć: nigdy w takim przedziale nie jechałem w mniejszej liczbie niż 14 więźniów. Wtedy 6 leżało na półkach I i II piętra, a 8 siedziało na dole na ławkach. Jeszcze można było wytrzymać. Ja natomiast jechałem na kilku etapach, gdzie w przedziale było dwudziestu kilku. Największą liczbę więźniów w jednym przedziale pamiętam - 26. Wtedy w przedziale jest już bardzo źle.

Jak widać, taki wagon liczący nie więcej niż 5 przedziałów dla więźniów, jest bardzo pojemny. Przewóz 60 więźniów, to znaczy po 12 na przedział, to wprost rozpieszczanie tej "zarazy" i wożenie w nieuzasadnionym luksusie. Załadowanie 100 więźniów do tego wagonu (po 20 na przedział) jest prawdopodobnie zwyczajową normą. Jeżeli trzeba przewieźć w jednym wagonie 120 więźniów, to też eskorta da sobie radę - to są zdolni i przedsiębiorczy chłopcy.

Tłok, zaduch - jechałem latem - to jeszcze nie najgorsze uciążliwości tej podróży etapem. Reszta zależy od zachowania konwoju, czyli od żołnierzy wojsk NKWD. Jak wspomniałem, każdy więzień otrzymuje suchy prowiant na całą podróż, od razu w więzieniu, po wezwaniu go z celi "na etap". Jest to chleb, bardzo złej jakości, przeważnie solone lub suszone ryby, a czasem jeszcze cukier. Oczywiście, te ryby są bardzo marne, a jeżeli nie śmierdzą, to już jest dobrze. Eskortą nie wydaje więźniom żadnej żywności, a tylko wodę. Jeżeli jest "dobra", to dają wodę dwa razy na dobę. Często "dają" wodę tylko raz na dobę. Wodę podają

w wiadrze blaszanym i każdy z pasażerów celi-przedziału po kolei pije po parę łyków z tego wiadra. Nigdy nie widziałem, aby eskorta wydała kubek, a nikt z więźniów nie miał takiego naczynia. Tych parę łyków zimnej wody, przeważnie raz na dobę, to całe picie. Jechałem latem, było gorąco, a jeszcze do tego ^{jak} ktoś zjadł solone ryby, to trudno mu było wytrzymać "od jednego do drugiego wiadra z wodą". Tłok, pragnienie, no i oczywiście stale głód, jeszcze nie były najgorszą udręką w czasie podróży. Najgorszą udręką był problem wychodzenia do ustępu. Dobra, czyli ludzka eskorta wyprowadzała więźniów dwa razy na dobę. Można było nawet wyżebrać jeszcze dodatkowe wyjście. Drańska - najwyżej raz na dobę, a o dodatkowym wyprowadzeniu nie było mowy. W tym tłoku i zaduchu więźniowie siusiali na podłogę lub do cudzych butów. Robili pod siebie. Eskorty albo nie zwracała na to uwagi, albo groziła karcerem. Wyprowadzanie do ustępu w wagonie - to cała procedura. Normalnie na korytarzu z przedziałami dla więźniów było stale dwóch strażników, może jak był spokój, to jeden. Widać było często jednego spacerującego z jednego końca korytarza do drugiego i z powrotem. W czasie wyprowadzania do ustępu stało dwóch przy drzwiach (oczywiście zamkniętych) na obu końcach korytarza. Trzeci otwierał - odsuwał kratę - i pojedynczo wyprowadzał więźniów do ustępu. Licząc, że wyprowadzenie, załatwienie potrzeby i doprowadzenie z powrotem do celi-przedziału trwało średnio na jednego więźnia 4 minuty, to aby "załatwić" 15-osobową załogę jednego przedziału potrzeba 60 minut, czyli 1 godzinę. Na cały wagon liczący 5 przedziałów - 5 godzin. A zatem eskorta praktycznie musiałaby bez przerwy "pracować" wydając wodę i wyprowadzając do ustępu przez około 12 godzin, gdyby "dawali" dwa razy na dobę wodę i dwa razy wyprowadzali do ustępu. Tak "męczyć" się eskorta na ogół nie miała zamiaru. Skutek - im większy tłok, tym gorsze, wręcz nieludzkie warunki. Brud więź-

niów nie przeszkadzał eskorcie, a zanieczyszczona podłoga wagonu, a czasem półki i ławki, też nie. Po każdym etapie wagon był sprzątny, prawdopodobnie przez więźniów zatrudnionych przy tej lekkiej pracy. Na początku etapu, jak mnie wsadzano do przedziału, to było czysto - widać było wyraźnie, że wagon był sprzątny.

Wydawać by się mogło, że w tym strasznym tłoku wszyscy więźniowie się męczą. Pogląd całkowicie błędny, bo niektórzy jadą zupełnie wygodnie. Na każdym etapie, w każdym przedziale sytuacja się powtarzała. Środkową, tj. półkę I-go piętra zajmuje szef kryminalistów, bandzior zdegenerowany i dopuszcza do swego towarzystwa tylko pokrewne dusze. Oczywiście, dba aby na tej uprzywilejowanej z wielu względów, półce nie było nadmiernego tłoku. Dopuszcza, aby tam leżało 5, najwyżej 6 (ten szósty może siedzieć pod ścianą) bratnich dusz. Na dwie najwyższe półki też dopuszcza tylko wybrańców, ale to już jest druga kategoria. Ci mają cicho leżeć i nie przeszkadzać "arystokracji" na I piętrze. Reszta, tzn. chołota, a więc polityczni, jakaś tam inteligencja ma do swej dyspozycji cały parter. A więc jak do przedziału wsadzą 20 więźniów, to na parterze będzie co najmniej 12, a jak "szef" na I piętrze potrzebuje więcej miejsca, to 14. Metoda jest prosta: na I i II piętrze zazwyczaj 6, najwyżej 8 więźniów, reszta na parterze może się rozlokować, jak im się podoba. "Szef" się do tego nie wtrąca. Natomiast eskorta ma tu coś do powiedzenia: nie wolno kłaść się na podłodze pod ławkami. Więźniów mógłby zrobić dziurę (czym? chyba palcem) w podłodze i uciec.

Środkowa półka, tzn I piętro, ma jeszcze kilka dodatkowych zalet: leżąc głową w stronę korytarza (a tak leżeć muszą wszyscy więźniowie - oczywiście jak leżą), można widzieć trochę światła przez okno w ścianie korytarza wagonu; można spokojnie pluć

przez wycięcie w środkowej desce na parter (eskorta się nie wtrąca, bo więzień nie pluje na korytarz); a także można spokojnie siusiać przez szparę między deskami na parter (ci na parterze na pewno się nie poskarżą). Również wiadro z wodą dziwnym trafem zawsze ląduje najpierw na półce I piętra i jest tam trzymane tak długo, aż eskorta zaczyna przynaglać, bo inne przedziały czekają, wtedy łaskawie podają na parter.

Procedura przekazywania na etap i z etapu do więzienia zawsze taka sama:

- wywołanie po nazwisku z celi;
- przekazanie eskorcie: identyfikacja na podstawie teczek akt personalnych, przekazanie teczek i więźnia dowódcy eskorty;
- rewizja; zawsze szczegółowa z rozebraniem do naga i "przysiadami";
- wydanie prowiantu na całą drogę;
- transport (samochodem więziennym) do wagonu.

A z etapu:

- transport (samochodem więziennym) z wagonu do kolejnego więzienia etapowego;
- przekazanie straży więziennej (już na terenie więzienia): identyfikacja na podstawie teczek akt personalnych, przekazanie teczek i więźnia straży więziennej (jakiś naczelnik zawsze zaraz zabierał teczek);
- rewizja, zawsze szczegółowa;
- odprowadzenie do celi.

Raz jeszcze wyraźnie podkreślam: żadnego bałaganu nie było, każdy więzień był identyfikowany przed wyjazdem na kolejny etap i po kolejnym etapie w momencie przekazania do kolejnego więzienia etapowego. Widziałem wyraźnie jak sprawnie przebiegała cała procedura, jak wszystko było przemyślane i zorganizowane. Obsłu-

ga, czyli żołnierze wojsk NKWD przeszkoleni znakomicie, a ja stykałem się tylko z szeregowcami i komandirami niższych stopni. Natomiast czy obsługa była drańska, czy zdarzały się ludzkie odruchy u tych NKWD-zistów, zależało tylko od cech osobistych tych ludzi w obcych mundurach. W swej drodze spotkałem się zarówno z draństwem, jak i z ludzkimi odruchami żołnierzy NKWD. Niektórzy, niestety nieliczni, zadawali resztki człowieczeństwa.

Pierwszy, doświadczalno-szkoleniowy etap

W tym dość długim wstępie wyprzedziłem w kilku miejscach przyszłe zdarzenia, ale łatwiej będzie zrozumiały mój tekst o etapach. Opisy wyrażone w skrótach będą jasne.

Po doprowadzeniu nas do wagonu, od razu kazano wsiadać nam, mężczyznom. Wsadzono nas czterech Polaków do jednego pustego przedziału. W chwilę potem było słyhać, jak do innego przedziału wprowadzono te dwie kobiety - też Polki - skazane za "proguł" (wtedy nie miałem pojęcia, co to znaczy).

Pierwsze moje wrażenie - to wprost zachwyty i ulga, że w tak dobrych warunkach będę jechał do obozu. Uzgodniliśmy od razu, kto będzie spał na górze, kto na dole. Nasze skromne bagaże oczywiście położyliśmy na najwyższych półkach. Zanim wagon ruszył zabraliśmy się za jedzenie, licząc, że lada moment dadzą "czaju", a przynajmniej "kipiatki", czyli wrzątku. Ja niestety, prawie nic nie jadłem. Byłem nadal osłabiony po przebytej ciężkiej czerwonce, chleba nie mogłem jeść, a ryby solone zupełnie nie wchodziły w rachubę. Żułem tylko w ustach odłamany kawałek skórki chleba i lizałem małeńki kawałeczek cukru. Tak rozproszeni, dwóch na jednej ławce, dwóch na drugiej, przeświadczeni, że w takich luksusach dojedziemy do obozu, już bez emocji zauważyliśmy jak wagon ruszył. Potem go przetaczano, aż wreszcie ruszył, jak łat-

wo można się było zorientować, doczepiony do osobowego pociągu. Zatrzymywał się na małych stacyjkach, ale tak, że "nasz" wagon był zawsze za peronem, mimo to przez okno w korytarzu widać było trochę "wolnego" świata. Strażnik spacerował po korytarzu przyglądając się nam z ansolutną obojętnością. Był jasny, ciepły, nawet gorący dzień, a pora gdzieś koło południowa.

Taka sielanka trwała jakieś pół godziny, może trochę dłużej, jak pociąg zatrzymał się na kolejnej stacyjne. Tym razem słychać było jakiś ruch przy drzwiach "naszego" wagonu, trzaskanie drzwiami, kilku strażników przeszło korytarzem. Jeden z nich zatrzymał się przed "naszym" przedziałem, odsunął drzwi-kratę, a od strony wejścia wprowadzono, a raczej sami weszli "gęsiego", czterech albo sześciu dobrze zbudowanych, w średnim wieku, więźniów - Rosjan. Nowi lokatorzy nie mówiąc rozejrzeli się po przedziale, natychmiast rozłożyli środkową pryczę, czyli półkę I piętra, wszyscy tam się wdrapali. Zrzucili nasze tobołki na dół, spokojnie się ułożyli na półkach I i II piętra i z góry, bez słowa oglądali nas takim wzrokiem, jak kot myszy w pułapce. Tobołków nie mieli żadnych. Zrozumieliśmy, że z tą wygodną podróżą, to coś nie tak. Ja zrozumiałem, że muszę być zadowolony ze swego miejsca siedzącego. Jeszcze przed zachodem słońca pociąg zbliżył się do jakiegoś dużego miasta i zatrzymał się na stacji. Strażnik kazał tylko mnie "zabrać się z rzeczami". Pożegnałem trzech Polaków, z którymi jechałem od Chersonia. Kim byli, nie wiem, widzieliśmy się tylko kilka godzin. Została mi w pamięci sylwetka jednego - starszego mężczyzny z odrastającymi, prawie zupełnie siwymi włosami na głowie, wzrostu średniego. Dla mnie miał wygląd nauczyciela. Kim był w rzeczywistości i jak się nazywał - nie wiem. O dwóch pozostałych nic nie potrafię powiedzieć.

Z wagonu wyprowadzono jeszcze kilku Rosjan. Tuż przy wyjś-

ciu z wagonu stał zwrócony tyłem kryty, niewielki samochód, do którego od razu po kolei nas błyskawicznie wpychano. W samochodzie było zupełnie ciemno, ale w resztkach światła wpadającego przez otwarte drzwi zobaczyłem ławki wzdłuż boków tego blaszanego pudła. Usiadłem ze swym tobołkiem koło nóg, pozostali usiedli też, drzwi zatrzaśnięto i auto natychmiast ruszyło. Cała operacja została przeprowadzona błyskawicznie. Oczywiście liczone nas skrupulatnie przy wsiadaniu do tego samochodu. Słysząc było odgłosy miejskiego ruchu, auto kilka razy zatrzymywało się na chwilę, ale cała podróż trwała krótko. Wreszcie nastąpił dłuższy przystanek, słysząc było duży ruch kojarzący się z otwieraniem bramy więzienia. Auto znowu ruszyło i po chwili stanęło, kierowca wyłączył silnik. Otworzyły się drzwi, a strażnik krzyknął: "Wychadi! Bystro!". Zrozumiałem: jestem w "domu", czyli w następnym więzieniu. W tym momencie jeszcze nie wiedziałem, że jest to więzienie w mieście Nikołajew.

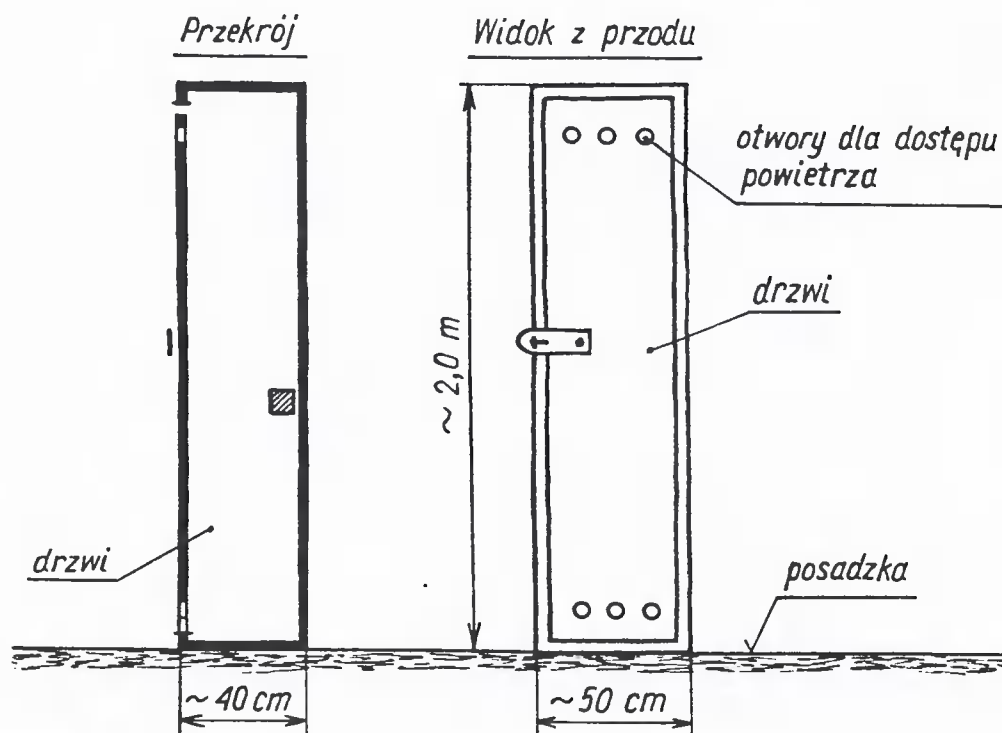
9. Więzienie w NIKOŁAJEWIE

Wysiadłem wraz z innymi więźniami (jedyne Polak w tej grupie) i wprost oniemiałem z wrażenia. Jeszcze był dzień, słońce zachodziło, a jego promienie rzucały ostatnie blaski na pałac, przed którym stałem. Na wprost głównego wejścia był taras i schody - kilka stopni. Skrzydła pałacu, półkoliście załamane, jak gdyby ramionami obejmowały plac z widocznymi resztkami niegdyś istniejącego tu ogrodu. Sam budynek był niewysoki - widać było tylko jedno piętro i to w części środkowej. Natomiast zwieńczenia dachu, obudowa drzwi i okien, szczególnie głównego wejścia, bogato zdobione. Rzeźby delikatne, wręcz koronkowej roboty, a całość robiła wrażenie lekkości i spokoju. Ściany pałacu zachowały jeszcze resztki bieli i świeciły w tym zachodzącym słońcu. W całości ten pałac był większy od siedziby Króla Jana III w Wilanowie. Pałac (a teraz więzienie) stał na niewielkim wzniesieniu, frontem na południe, a teren przed nim łagodnie opadał. Obejrzałem się - dalej nic nie było widać. W odległości może 50 metrów - więzienny wysoki mur zwieńczony rzędami drutów kolczastych, ze stalową bramą, zamykał horyzont. Na rogach muru wieże strażnicze. Jeszcze popatrzyłem na pałac i wtedy zacząłem dostrzegać ślady robót "modernizacyjnych": okna przeważnie zakryte koszami lub zabite deskami, część ozdób zniszczona, w oknach nie osłoniętych koszami widać było wmontowane potężne kraty. Mimo tych wszystkich zniszczeń całość zachowała piękno i styl, których nawet adaptacja na więzienie nie zdołała zatrzeć do końca. Nagły widok tego pałacu, mimo że teraz przerobionego na więzienie, wywołał u mnie chyba dlatego tak silne wrażenie, bo od wielu już miesięcy oglądałem tylko mury normalnych więzień. Niedługo trwała ta sielanka. Wprowadzono nas przez główne wejście, teraz widzia

łem, jak zdewastowane, do hall'u. Marmurowa posadzka, ułożona w jakieś wzory, poszczerobiona i porysowana, trzymała się jeszcze nieźle. Widać było tylko początek biegnących półkoliście, też marmurowych schodów, prowadzących niegdyś na I piętro, bo dalsze wejście odgradzała krata, a za nią "parawan" z ordynarnych desek. Z sufitu zdobionego płaskorzeźbami, częściowo potłuczonymi, na drutach zwisały niczym nie osłonięte żarówki. Pod ścianą stał rząd drewnianych szaf, wąskich - szerokości ok. 50 cm - wysokości jakieś 2 metry, z drzwiami na całej wysokości. W drzwiach na dole i na górze było wywierconych po kilka otworów. Każde drzwi szafy zaopatrzone w solidny skobel, a obok na drucie wisiała zatyczka. Wszystkie drzwi szaf były zamknięte, z tym, że w niektórych drzwi były zamknięte na skobel zabezpieczony zatyczką, a w niektórych skobel i zatyczka wisiały luźno. Myślałem, że są to szafy na jakieś akta czy inne papiery, zdumiony w duchu ich nieco dziwnym wyglądem.

Normalna procedura przebiegła szybko i sprawnie, tzn. rewizja (jak zawsze z rozebraniem do naga) oraz identyfikacja teczeki i więźnia, co kończyło procedurę przekazania do więzienia. Ubrałem się możliwie szybko, zawiązałem na tasienki (oberwane od kalesonów) rozlatujące się już buty, aby mi nie spadały z nóg (sznurowadła odebrano mi w Brygidkach we Lwowie) i mimo upału zarzuciłem swój gimnazjalny zimowy płaszcz na ramiona, czapkę włożyłem na głowę, a tobołek ze swym dobytkiem wziąłem pod pachę (tobołek - to był koc, zielony wojskowy, w który miałem zawinięty sweter, koszulę i zmianę bielizny - wszystko już znoszone i bardzo brudne; nie prane od przekroczenia progu więzienia w grudniu 1939 r., a teraz był sierpień 1940 r.). Tak przygotowany czekałem na odprowadzenie do celi. Inni więźniowie - wszyscy Rosjanie - też byli gotowi.

Szafa do przechowywania więźniów



Podszedł do mnie jeden z żołnierzy-strażników wskazując ręką, że mam iść w kierunku tych szaf. Trzeba pamiętać, że w więzieniu najpierw idzie więzień, a potem strażnik. Dochodząc do jednej z szaf, strażnik zrównał się ze mną, wyciągnął rękę i otworzył drzwi szafy. Stałem na wprost, szafa była pusta, bez żadnych półek. Strażnik widząc moją ogłupiałą minę, gestem kazał mi rzucić na podłogę mój tobołek, chwycił za ramię odwracając mnie twarzą do siebie i tyłem wepchnął do szafy. Zatrzasnął drzwi i usłyszałem, jak założył skobel. Szafa była tak płytka, że więzień musiał stać. Nie mógł upaść. Jedyną wygodę stanowiła wąska listwa przybita na wysokości pośladków, o którą można było się oprzeć, zapierając się jednocześnie kolanami o drzwi szafy. Było ciemno, ciasno i duszno. Wiedziałem, że muszę stać w tej szafie tak długo, jak moi obecni władcy będą chcieli. Na żadną litość nie można było liczyć. Jak długo stałem w tej szafie - nie wiem. Wreszcie strażnik otworzył drzwi, wyszedłem prawie zaczadzony na wacianych nogach. Świeciły żarówki zawieszane na drutach u sufitu, była już noc. Podniosłem tobołek, a strażnik wskazał kierunek marszu. Skierował mnie do jednych z bocznych drzwi znajdujących się w tym hall'u. Tuż przed tymi drzwiami wyprzedził, otworzył je i wprowadził do - jak sądzę dawnego saloniku - a teraz kancelarii. Raczej był to gabinet, jakiegoś naczelnika. Stałem na środku, strażnik za mną, tobołek rzuciłem na podłogę. Stałem kilka kroków przed stołem przykrytym jakimś suknem, a za stołem siedziało trzech wojskowych. Najgrubszy pośrodku, widać najważniejszy, a dwóch po bokach. Siedzieli rozparci w fotelach, na stole leżała tylko jedna tekturowa, niezbyt gruba teczka. Przypuszczam, że moja. Widząc takie grono, a wiedząc, że nie są to przyjaciele, odruchowo wyprostowałem się i spokojnie zacząłem też im się przyglądać. Mimo zmęczenia

i wiejskiej kondycji fizycznej nie miałem zamiaru okazywać słabości. Po chwili, jak obie strony już się obejrzały, chyba ten pośrodku zaczął zadawać, oczywiście po rosyjsku, pytania. Ja odpowiadałem po polsku. Najpierw zwykle dane personalne. Potem o Ojcu, jak powiedziałem - kapitan, oficer Wojska Polskiego - jest u nich w niewoli, to zobaczyłem na ich twarzach i w zachowaniu jakąś zjadliwą radość. A jak się dowiedzieli, że Matka też jest u nich w więzieniu - byli wręcz ucieszeni, uradowani wymieniając jakieś uwagi między sobą. Wreszcie bliżej zainteresowali się moją osobą. Co to za mundur mam na sobie; miałem na ramionach narzucony swój granatowy gimnazjalny płaszcz z niebieskimi wypustkami na mankietach rękawów i gładkimi guzikami z białego metalu. Odpowiedziałem, że to jest płaszcz, obowiązkowy mundur gimnazjalny. Wyłowili z mojego wyjaśnienia słowo: "gimnazjalista" i znowu ogromnie się ucieszyli. Nie zdawałem sobie wtedy zupełnie sprawy, że już jako syn "białego", burżuazyjnego oficera jestem wrogiem ludu, a jako gimnazjalista - to już w ogóle władza radziecka robi mi łaskę trzymając mnie jeszcze w więzieniu. Robią mi, gimnazjaliście, łaskę dając jeść i dach nad głową. Dla takich jak ja nie ma miejsca na ziemi. Może pracą w obozie zasłużę na łaskę i pozwolą mi żyć, a uczyć to mi nie wolno się już nigdy. Takie pouczenia otrzymałem, nie wszystko zrozumiałem, ale sens był dla mnie jasny. Wreszcie zakończyła się ta cała konwersacja. Siedzący za stołem coś poszeptali między sobą. Jeden z nich wstał, wyjął z szuflady duży nóż, taki do krajania chleba, wyszedł zza stołu i podszedł do mnie. Byłem zdziwiony, czekałem co będzie robił idąc z tym nożem do mnie. A on bez słowa podszedł i bardzo starannie obciął mi wszystkie metalowe guziki od płaszcza. Zebrał je w garści i położył na stole. Ten najgrubszy naczelnik dał znak, strażnik mnie wyprowadził i idąc korytarzem z resztkami zdobień, teraz poprzegradzanym ciężkimi kratami wy-

glądającymi ordynarnie na tym tle, otworzył jedne drzwi i wepchnął do celi.

Stanąłem kilka kroków od drzwi i rozejrzałem się. Byłem w dużej celi (dawniej była to jakaś sala) całej zastawionej rzędami żelaznych łóżek z pozostawionymi małąkami przejściami między nimi. Na łóżkach poniewierały się w nieładzie brudne i podarte koce. Silna, nie osłonięta żarówka nad drzwiami oświetlała tę ponurą celę, ale w dalszych jej kątach panował mrok. W oknach mocne kraty, ponadto zabite do 2/3 wysokości deskami, a na zewnątrz kosze. Przez okna nie dochodził nawet promyk światła, mimo że mur i podwórze na pewno było oświetlone. Na wolnej przestrzeni koło drzwi, wynoszącej kilka metrów stał drewniany kibel (po rosyjsku "parasza"). Było gorąco, duszno i panował normalny więzienny smród, który poczułem, bo przyszedłem z pomieszczeń mniej śmierdzących. Panowała idealna cisza. W tej ogromnej celi, przewidzianej dla kilkuset więźniów, byłem zupełnie sam. Przeszedł mi po plecach dreszcz. W tym momencie, a stałem tyłem do drzwi, usłyszałem ledwie słyszalny szmer za drzwiami. Zorientowałem się, że strażnik bez przerwy podgląda mnie przez "judasza". Ogarnęła mnie wprost złość: "Niedoczekanie twoje, nic sobie z was nie będę robił" - pomyślałem. Wybrałem łóżko pod ścianą, trochę dalej od drzwi, aby mi światło palącej się żarówki przez całą noc nie świeciło za bardzo w oczy i zrobiłem sobie legowisko. Chciało mi się pić, marzeniem był kubek "kipiatku", ale nic z tego. Nawet zimnej wody nie miałem szans się napić. Jeść nawet nie bardzo mi się chciało, mimo że praktycznie cały dzień nic nie jadłem. Tylko rano w więzieniu w Chersoniu napiłem się ciepłego płynu udającego herbatę i zjadłem do tego trochę chleba. Tę soloną rybę zostawiłem w wagonie, bo w ogóle nie miałem zamiaru brać tego do ust. Żułem tylko kawałki skórki

chleba z porcji otrzymanej na drogę i lizałem kawałeczek cukru. Ten kawałeczek cukru chyba trzymał mnie przy życiu. Teraz wygrzebałem z kieszeni ostatki tego kawałka cukru, w całości wziąłem do ust, zdjąłem marynarkę, spodnie i buty i położyłem się na swoim kocu. Leżałem w swojej, nie tylko brudnej, ale i porzrywanej w kilku miejscach, bieliźnie. Przykryłem się swoim płaszczem, bo jednak było mi chłodno. Tak leżąc doszedłem do wniosku, że nie jest źle! Pierwszy odcinek podróży odbyłem wręcz w luksusowych warunkach, leżę na łóżku, wygodnie, bez tłoku. Nikt mnie nie niepokoi, żydnych zbirów nie mam za sąsiadów. Zmówiłem jeszcze w duchu krótki pacierz. Oczy zaczęły mi się kleić i wtedy przypomniałem sobie, że w tych dniach 12 sierpnia 1940 r. kończę szesnaście lat. Jeżeli dziś są moje urodziny - myślałem - to nawet nieźle je obchodzę. Ułożony przepisowo na łóżku - to jest nogami do ściany, głową do przejścia, ręce na wierzchu - twardo usnąłem. Tak zakończył się pierwszy dzień podróży etapem. Ten był wyjątkowo dobry, następne były już tylko coraz gorsze jeden od drugiego.

Nie dane mi jednak było za długo spać tej nocy i wylegiwać się na łóżku. Obudziło mnie szarpnięcie za ramię. Gdy jakoś przytomniej spojrzałem, strażnik był już koło drzwi i usłyszałem znane zawołanie: "Sobirajsia s wieszczami!". W więzieniu panowała nadal cisza, żarówka świeciła oślepiającym blaskiem, więc trwa jeszcze ta krótka letnia noc - pomyślałem. Ledwie przytomny, w ustach "popiół", język jak "kołek", ale cóż miałem robić. Ubrałem się, zawinałem w koc swój nędzny dobytek, płaszcz narzuciłem na ramiona i przepisowo z tobołkiem pod pachą stanąłem przed drzwiami. Przeświadczony byłem o wyekspediowaniu mnie "na etap". Jednak pomyliłem się. Szliśmy dość długo korytarzami, aż strażnik otworzył drzwi jednej z cel i wepchnął mnie do środka. Stanąłem

przy drzwiach, nad nimi świeciła oczywiście mocna żarówka, a przed sobą miałem o pięknych kształtach niewielkie pomieszczenie. Ściana na wprost była owalna, w niej dwa okna z resztkami ozdób na ścianie. Kraty wbite w te okna wyglądały wręcz dziwnie, kosz za oknem przesłaniał widok. Pod nogami miałem drewnianą posadzkę ułożoną w jakieś wzory, na suficie - plafon. Na tym tle, pod półkolistą ścianą stało kilka piętrowych prycz, zbitych niedbale z bardzo nędznie wyglądających desek i balików.

Lokatorzy celi obudzili się, było ich czterech i przez chwilę w milczeniu mnie oglądali, a ja ich. Od razu zorientowałem się, że to są Polacy. Trudno mi sprecyzować po czym, ale Polacy rozpoznawali się w więzieniach bez-błędnie. Jeden z nich wstał, podszedł do mnie i ni to spytał, ni to stwierdził - po polsku - "gimnazjalista?!". Potwierdziłem i przedstawiłem się. "No cóż, powiedział, jeszcze do pobudki zostało trochę czasu, kładź się i śpij, pogadamy potem. Chyba będziemy mieli taką możliwość". W tej celi mieli konewkę z wodą, więc się napiłem i położyłem spać na wskazanej wolnej pryczy. Byłem uspokojony i odprężony - byłem wśród swoich, życzliwych mi ludzi.

Rano pobudka, liczenie, wyprowadzenie do ustępu - ordynarna, jak wszędzie lartyna, zrobiona w jakimś dawnym saloniku - wydanie chleba, cukru i czaju. Wreszcie mieliśmy spokój, zaczęła się rozmowa. Na wstępie mój nocny rozmówca powiedział, wskazując na jeszcze dwóch: "To są moi przyjaciele, a tamten - wskazał na trzeciego - to wprowadzie Polak, ale kapuś". Poprosił, abym powiedział kim jestem i jak tu trafiłem. Opowiedziałem. Wtedy mój rozmówca przedstawił się. Powiedział, że jest oficerem zawodowym, kapitanem z garnizonu w Zamościu. Podał swoje imię i nazwisko. Niestety, na długo jeszcze przed końcem wojny zatarało mi się w pamięci. Pozostałych dwóch też się przedstawiło -

też byli oficerami - chyba obaj porucznikami. Z kapusiem nie prowadzono żadnej rozmowy, siedział z boku z dość kwaśną miną. Wszyscy byli w cywilnych ubraniach, bo usiłowali przekroczyć granicę do Rumunii, aby kontynuować walkę w Armii Polskiej we Francji. Niestety, zostali złapani, ale nie rozpoznani jako oficerowie. Przeszli normalne śledztwo, otrzymali wyroki i zostali skierowani na etap - do obozu. W jednym z więzień etapowych ktoś ich rozpoznał i doniósł strażnikom NKWD. Po wstępnym przesłuchaniu powiedziano im, że poprzednie wyroki zostały anulowane. Zawrócono ich z etapu (osadzono tu w więzieniu w Nikołajewie - teraz dowiedziałem się gdzie jestem) i powiedziano, że ponownie będzie wobec nich przeprowadzone śledztwo i otrzymają nowe wyroki. Oczywiście nie wiedzieli, ani gdzie, ani kiedy. Wiedzieli o klęsce Francji, mimo to mieli niezachwianą wiarę, że Niemcy zostaną pobici, my wyjdziemy z więzień i znowu powstanie wolna Polska. Rozbiór Polski uważali jako zdarzenie przejściowe. Wojna się toczy - mówili - walczy Anglia, liczyli na przystąpienie Ameryki do wojny i mówili, że musi zwyciężyć sprawiedliwość. Na takich rozmowach, a był to sierpień 1940 r., upływał czas między posiłkami. Na spacer nas nie wyprowadzano. W trakcie jakiejś rozmowy jeden z oficerów wiedząc już, że pochodzę prawie z Warszawy powiedział o poznanym w więzieniu (prawdopodobnie w Odesie) sympatycznym doktorze Piliszku z Warszawy. Powiedziałem z radością - "Naturalnie, znam!". W tym miejscu zamilknałem, bo dr Piliszek był jednocześnie oficerem zawodowym w I Dywizjonie Pociągów Pancernych w Legionowie, gdzie służył mój Ojciec. Moi rozmówcy musieli spostrzec moje "zacięcie" i niechęć do dalszej rozmowy na ten temat, ale nie "ciągnęli mnie za język".

Natomiast tu, w więzieniu w Nikołajewie moi rozmówcy nie chcieli wierzyć, aby mnie, mimo wydanego już wyroku, wywieziono

gdzieś do obozu w głębi Rosji. Byli zdania, że raczej odeślą mnie do jakiegoś poprawczaka pod Lwowem i wydalą na "tamtą stronę" - do domu, czyli na tereny okupacji niemieckiej. Ten kapitan chyba naprawdę w to wierzył, bo podał mi swój adres w Zamościu, gdzie mieszkał z żoną i córką. Chciał, ażebym zawiadomił jego żonę o spotkaniu w więzieniu w Nikołajewie. Niestety, tak jak nazwisko tego kapitana, jak i adres zatarły się w mojej pamięci na długo przed końcem wojny. A to był sierpień 1940 r. Odetchnąłem psychicznie w tej celi, odprężyłem się nerwowo i nawet zacząłem wszystko jeść co dawali, łącznie z chlebem moczonym w herbacie lub wodzie. Czułem powracające siły. W ustępie był kran z wodą, więc kilkakrotnie cały się umyłem, wprawdzie bez mydła, ale trochę brudu pozbyłem się. Wszy prawie wcale nie miałem, a walka z nimi stanowiła jedno ze stałych zajęć w ciągu dnia. Kapuś był trzymany krótko. Jak oficerowie chcieli coś omówić między sobą, to kazali mu siedzieć w najdalszym kącie celi, obok stawał jeden z oficerów, a w drugim końcu dwóch szeptem rozmawiało. Przede mną się nie kryli, wręcz powiedzieli, że mogę słuchać, ale ja sam nie chciałem brać udziału w rozmowach o sprawach mnie nie dotyczących. Już wiedziałem, że nie należy zbyt dużo wiedzieć. Tak upłynęły cztery dni. Piątego dnia rano, zaraz po "prowierce" (czyli po przeliczeniu więźniów w celi), strażnik wywołał moje nazwisko z dodatkiem: "Sobirajsia s wieszczami! Bystro!". Zebrałem swój majątek, pożegnałem się z oficerami - wszyscy podali mi rękę - a kapitan dodał kilka serdecznych słów otuchy. Nawet kapusiowi kiwnąłem z daleka głową i gotów do drogi stanąłem przed drzwiami. Błysnęło oko w judaszu, strażnik otworzył drzwi, wymaszerowałem znowu w nieznane - na etap.

10. Etap NIKOŁAJEW - CHARKÓW

Normalna procedura ekspedycji na etap przebiegła sprawnie i szybko. Rewizja, wydanie chleba, solonego śledzia i kawałka cukru - na drogę, załadunek do samochodu. W grupie sami dorośli kryminaliści - Rosjanie - ja jeden Polak i to małoletni. Moi towarzysze podróży zachowują się zupełnie swobodnie, tak jak by jechali na wycieczkę. W blaszanym pudle samochodu zostaliśmy stłoczeni jak śledzie. Ja siedziałem wciśnięty gdzieś w kąt na blaszanej podłodze. Załadunek do znanego mi już wagonu za stacją, sprawny i szybki. Do mego przedziału wpakowano chyba z 18. Rozlokowanie wg zasad kryminalistów: I piętro - arystokracja złodziejsko-bandycka, II piętro - łaskawie dwóch dopuszczonych, a reszta - około 12 na parterze. Dla mnie miejsca na ławce zabrakło, usiadłem więc na swoim tobołku na podłodze. W nocy nawet leżałem, oczywiście na podłodze i wtedy odkryłem najspokojniejsze i najlepsze w tej sytuacji miejsce - pod ławką. Uciążliwości podróży - normalne, zniosłem bez specjalnego trudu. Widocznie nabrałem trochę sił w więzieniu w Nikołajewie, również chyba dzięki życzliwej w tej celi atmosferze. Eskorta nie wyróżniała się też niczym specjalnym. Natomiast na I piętrze było wesoło, a mną na szczęście nie interesowano się wcale. Podróż trwała dwie doby, jak z głośnych rozmów bywalców z I piętra dowiedziałem się, że wjeżdżamy do Charkowa.

Muszę wyjaśnić jeszcze jedną osobliwość podróżowania wagonem więziennym. Mianowicie podróż na trasie Nikołajew - Charków, gdzie odległość między tymi miastami wynosi ok. 450 km, trwała 2 doby. Nasuwa się pytanie: dlaczego tak długo? Otóż wagon więzienny na ogół, mimo że doczepiany do pociągów osobowych, nie jedzie bez przerwy. W czasie podróży jest odczepiany, bo część

więźniów na jakiejś stacji wyładowują lub załadowują nowych. Więzienia i obozy są rozsiane wszędzie, nie tylko w dużych miastach. Widocznie nie zawsze eskorta uważa za możliwe załadowanie lub wyładowanie więźniów w czasie postoju pociągu na stacji.

Wjechaliśmy do Charkowa wieczorem, a do więzienia dowieziono mnie już w nocy, znanym typem samochodu i w "zwykłych" warunkach.

11. Więzienie w CHARKOWIE

Więżenia, które teraz poznawałem, to więzienia etapowe. Różnią się od tzw. śledczych tym, że izolacja więźniów nie jest aż tak ścisła. Tu wszyscy są po wyrokach i jadą do obozów, gdzie mają odbywać karę, czyli wyrok, naturalnie pracując.

Więżenie w Charkowie to normalny, porządnny obiekt zbudowany chyba jeszcze za carskich czasów. Budynek murowany, kilkupiętrowy.

Rewizja i przekazanie (teczka - więzień) odbywała się już w nocy, na korytarzu. Wtedy zobaczyłem po raz pierwszy grupę małych więźniów - Rosjan. Gdzieś ich prowadzili strażnicy. Byli oberwani, brudni, bluzgali przekleństwami, zachowywali się agresywnie. No cóż, pomyślałem, w takim towarzystwie będę musiał być w obozie, ale teraz w więzieniach etapowych będę prosił strażników, aby mnie wsadzali do celi z dorosłymi. Na razie, nawet z tych krótkich "znajomości" z dorosłymi kryminalistami, wyniosłem doświadczenie, że po prostu nie interesują się moją osobą. A to już wiele znaczyło, zaczynałem rozumieć gorzką prawdę: "Najgorszym wrogiem jednego więźnia jest drugi więzień".

Uprzywilejowani są kryminaliści, stanowią arystokrację i mogą bezkarnie maltretować więźniów politycznych. Straż się nie wtrąca.

Tu, w Charkowie, jakoś trafiłem do celi z dorosłymi. Cella duża, prycze z desek, podłoga betonowa, kosze na oknach i tłok. Trudno mi określić, ilu nas było w tej celi - 50 czy 100, ale miejsc na pryczach brakowało. Dzień i noc był ruch, to wprowadzano nowych, to wywoływano po kilku na etap. Raz udało mi się ułożyć na pryczy, ale szybko zostałem doprowadzony do porządku. Po prostu jeden z kryminalistów wyrzucił mnie z takiego, nienależ-

nego mi miejsca. Aby mieć spokój, zrobiłem sobie legowisko pod pryczą, na posadzce, dość daleko od kibla. Leżałem tam cały czas, wychodząc tylko po swoją "pajkę" chleba i cukier oraz aby zjeść miskę zupy. Zupa w południe, barszcz czerwony z jarzynami, była znakomita. Żadna zupa w żadnym więzieniu tak mi nie smakowała. Wprawdzie wyprowadzano nas dwa razy na dobę do ustępu, to niestety nie miałem żadnej możliwości, aby się umyć. Mimo tej znakomitej zupy robiłem się coraz słabszy i oczywiście coraz brudniejszy. Pluskwy w celi były całkiem dorodne, a wszy miałem coraz więcej. Do normalnego rytuału należała również "prowierka" - czyli liczenie nas dwa razy na dobę i kontrola krat w oknach. Wszyscy wtedy musieli stać w rzędkach piątkami, a dwóch strażników liczyło. Czasem coś się im nie zgadzało, więc liczenie trwało długo i było powtarzane wielokrotnie. Krótko mówiąc, nic nadzwyczajnego, brud, smród, tłok, zaduch, ale za to żarówki, bardzo silne świeciły od mroku do świtu.

Trzeciego czy czwartego dnia zauważyłem wysypkę między palcami rąk oraz na brzuchu. Wysypkę tę nie tylko zauważyłem, ale i poczułem - swędziła bardzo, zmuszając do drapania. Przy pierwszej okazji pokazałem ręce strażnikowi i pokazałem również na brzuch, pokazując wymownie, jak się drapię. Strażnik kazał zabrać mi rzeczy i po chwili wyprowadził mnie do celi chorych. Zachorowałem na świerzb (po rosyjsku "czasotka"). Była to niewielka cela przeznaczona dla chorych na świerzb. Siedzieli w niej tylko małe dzieci - Rosjanie i również chłopcy innych narodowości - ja jeden Polak, w sumie było nas tam nie więcej niż 10. Cela urządzona normalnie - gołe prycze, brudne koce i to wszystko. Jedzenie jak w zwykłej celi. Moi współwięźniowie zachowywali się spokojnie. Widać było, że to nie arystokracja bandycko-złodziejska, a raczej mogę ich określić jako takich, co trafili za kra-

ty przypadkowo. Tacy też byli. Niestety, wtedy jeszcze zbyt słabo znałem język rosyjski aby rozmawiać.

Kuracja odbywała się następująco: rano po apelu i śniadaniu (chleb, cukier i herbata) wyprowadzano wszystkich do sąsiedniej celi, gdzie były pryszniczynie i dawali po kawałku mydła. Była ciepła woda, więc umyłem się dokładnie, wręcz odżyłem. Po kąpieli przychodził felczer (żołnierz w białym kitlu) i z blaszanego pudła, drewnianą łopatką dawał każdemu na rękę porcję żółtawej tłustej mazi, wydając polecenie aby wysmarować nią całe ciało. Szczególnie miejsca zaatakowane wysypką. Po kolacji powtarzała się taka sama procedura jeszcze raz. Ja pilnie przestrzegałem tych zaleceń i już po dwóch dniach pryszczce przestały mnie swędzić, zaczęły przysychać. Kuracja była skuteczna. Natomiast moi współwięźniowie robili wszystko, aby nie pozbyć się choroby. Udawali, że się smarują, rozdrapywali wysypkę, niektórzy wyglądali strasznie. Ciało mieli pokryte licznymi ropiejącymi ranami, ale nadal się nie leczyli. Nie rozumiałem dlaczego tak robią, mogłem się jedynie domyślać, że nie chcą wrócić do celi lub chcą jak można najdłużej uniknąć etapu. Ja wiedziałem - nie uniknę ani jednego, ani drugiego, a chciałem być przede wszystkim zdrowy. A z tym było coraz gorzej, jednak nadal traciłem siły mimo zjedzenia kilku misek tego wspaniałego barszczu. Chciałem, aby te koszmarne jazdy etapami, a to był dopiero początek, już się skończyły. Miałem nadzieję - może w obozie dla małoletnich będzie lepiej. Jak to dobrze być nieświadomym i żyć złudzeniami.

Trzeciego czy czwartego dnia, żołnierz-felczer po porannej kuracji uznał mnie za wyleczonego i klucznik odprowadził do tej samej celi, z której mnie zabrał. Dalej poszło szybko - już wieczorem zostałem wezwany "s wieszczami" - czyli na etap. Siedziałem w więzieniu w Charkowie, jak obliczyłem, nie więcej jak 8

dni.

Procedura przekazania: więzień - teczka i inne formalności zostały załatwione, jak zwykle szybko i sprawnie. Transport do wagonu - w blaszanym pudle samochodu w potwornym tłoku. Znowu wylądowałem w znanym mi już przedziale tego specjalnego wagonu, sam jeden małoletni Polak wśród dorosłych więźniów różnej narodowości. Z Polski nie było nikogo.

12. Etap CHARKÓW - SYZRAŃ

Więźniowie w przedziale rozlokowali się zgodnie z ustalonymi zasadami: pierwsze piętro - arystokracja bandycko-złodziejska, czterech drabów. Czuli się znakomicie, jak w domu. Oni chyba byli w domu. Wpuścili na drugie piętro dwóch wybrańców, którzy wskoczyli tam, jak polne koniki, a reszta, chyba ze 12 miała do dyspozycji cały parter. Nie czekając na nic wlażłem pod ławkę i tam spokojnie gromadziłem siły do podróży, która nie wiedziałem ani jak długo będzie trwała, ani w jakim mieście czeka na mnie następne więzienie etapowe, a może już obóz. Solone ryby oddałem jednemu z więźniów, zostawiłem cukier i chleb. Nikt się nie rozbierał, a tym bardziej nie zdejmował butów; ja też. Eskorta była zwyczajna, ani specjalnie drańska, ani liberalna.

Drugiego lub trzeciego dnia podróży zauważyłem jak jeden ze strażników, żołnierz NKWD, bardzo uważnie mi się przygląda. Wreszcie w nocy, jak widocznie sam pełnił straż na korytarzu, przywołał mnie gestem do kraty. Wylazłem spod ławki i stanąłem twarzą przy siatce drzwi. Strażnik spytał, czy mam kogoś z rodziny w więzieniu. Mimo słabej jeszcze znajomości języka rosyjskiego, pytanie zrozumiałem dobrze. Odpowiedziałem przez ściśnięte zdenerwowaniem gardło, bo takiego pytania się nie spodziewałem, że Matkę. Została ze mną aresztowana, w grudniu 1939 r., nie wiem co się z nią dzieje, widziałem ją ostatni raz w styczniu 1940 r. w więzieniu we Lwowie. Chociaż mówiłem po polsku, strażnik dobrze mnie zrozumiał. Powiedział wtedy, że dwa lub trzy tygodnie temu wiozł tym samym etapem (tj. Charków - Syzrań) Polkę - kobietę, która na pewno była moją Matką. Dodał jeszcze, że była ubrana w bardzo porządne rzeczy, miała ze sobą tobołki, tylko bardzo martwiła się o kogoś bliskiego - na pewno o mnie.

Cała rozmowa była bardzo króciutka. Strażnik odszedł od kratydrzwi, ja wlażłem ponownie pod ławkę. Więźniowie, ci co nie spali, nie okazali żadnego zainteresowania tym incydentem.

To, co zrobił ten strażnik, żołnierz wojsk NKWD, w jakimś ludzkim odruchu, było wręcz czymś niesłychanym. Udzielił wiadomości jednemu z więźniów o drugim więźniu. Może sądził, że ja już długo nie pociągnę (mój wygląd świadczył o mnie) i nic nie szkodzi, jak na koniec dowiem się, gdzie jest moja Matka. Chcę wierzyć, że nie kierowały nim żadne sadystyczne odruchy. W każdym bądź razie, jestem przekonany, gdyby o tym dowiedział się dowódca eskorty, to ów żołnierz wojsk NKWD byłby surowo ukarany. Do końca podróży strażnik ów nigdy nie okazał żadnym odruchem, że miał taką rozmowę ze mną. Wobec mnie był idealnie obojętny, traktował mnie jak powietrze.

Robiłem się coraz słabszy, nie zawsze nawet wykorzystałem swoją kolejkę do wypicia wody z wiadra. Wszelkimi siłami, zarówno teraz, jak i na wszystkich następnych etapach, dbałem i udało mi się, aby się nie zanieczyścić. Po prostu, aby nie narobić w portki. Gdyby to się stało, to byłoby straszne, coś najgorszego co mogłoby się zdarzyć.

Wreszcie po czterech dniach i nocach kazano zbierać manatki. Znaczyło to przyjazd do stacji docelowej. Przez cały czas, za wyjątkiem przerw na sen, na I piętrze było gwarno i wesoło.

Wyładowano nas wczesnym rankiem. Było gorąco, a słońce oślepiało swym blaskiem. Krytym samochodem, wprost z wagonu, w tłoku jak zawsze, dowieziono nas do więzienia. Jak usłyszałem od bywalców - jesteśmy w Syzranii. Ta nazwa miasta nic mi nie mówiła.

13. Więzienie w SYZRANIU

Tym razem cała procedura przekazania - przyjęcia odbywała się na podwórzu. Pod nogami ziemia ubita jak skała, a nad głową niebo bez chmur i słońce. Narastał upał, robiło się bardzo gorąco.

Na podwórzu tłum ludzi-więźniów. Istna wieża Babel. Zobaczyłem Chińczyków, Mongołów, jakiś ludzi o wyglądzie orientalnym, prawdopodobnie mieszkańców południowych republik Kraju Rad, oczywiście Rosjan, Ukraińców i innych narodowości. Ludzie ci w resztkach różnych ubrań, letnich i zimowych, wynędzniali, tworzyli wprost niesamowity obraz. Widziałem wielu ludzi kalekich, bez rąk czy nóg. Ci też byli skrupulatnie rewidowani, musieli odpinać protezy i podawać do rąk żołnierzy NKWD. Obok mnie jakiś człowiek rozpaczliwie starał się ustać na jednej nodze, bo protezę podał do rewizji. A żołnierz NKWD trzymał w rękach tę protezę i skrupulatnie oglądał, badał i opukiwał. Nie wolno było nikomu podejść do kaleki i pomóc mu. Był skwar, upał i duszno, a wokoło ten wręcz nierzeczywisty widok. Na próżno w tym tłumie wypartywałem Polaków. Byłem sam wśród obcych, obojętnych ludzi (w najlepszym wypadku). Arystokracja złodziejsko-bandycka gdzieś zniknęła. Dokoła widziałem tylko zmaltretowanych, już zobojętniałych na wszystko ludzi, których rewidowali, identyfikowali z teczkami, sortowali, przepędzali z miejsca na miejsce żołnierze NKWD. Władcy traktowali tych ludzi-więźniów jak przedmioty z zupełną obojętnością wykonując swe czynności jak automaty. Od czasu do czasu słychać było tylko jakiś okrzyk władcy, gdy niewolnik zbyt wolno wykonał jakieś polecenie.

Byłem już po całej procedurze, usiadłem na swoim tobołku w miejscu wyznaczonym dla tej grupki ludzi, do której mnie zaliczono. Tu też nic nie działo się przypadkowo. Sortowanie przyję-

tych do tego więzienia odbywało się bez przerwy. Zarówno mnie, jak i innych gnębiło najbardziej pragnienie, a niektórych na pewno też głód. Trwało to wszystko godzinami.

Wreszcie już w drugiej połowie dnia całą tę grupę, w której i ja byłem, wprowadzono do jakiejś celi. W pierwszym momencie wydawało się, że ta cela jest już całkiem pełna, ale pogląd ten okazał się błędny. Moja grupka została wciśnięta bez specjalnego trudu. Chociaż siedziałem w Syzranii wszystkiego jakieś cztery (może pięć) dni, to byłem przenoszony z celi do celi ze trzy razy. Drzwi w celach w ciągu dnia nie zawsze były zamykane, a ruch "jak na odpuście" panował dzień i noc. Więzienie w Syzranii było brudniejsze od więzienia w Charkowie, a to było gorsze od tego w Nikołajewie. Krótko mówiąc, im dalej na wschód, to więzienia były coraz brudniejsze, panował coraz większy tłok i wszelkie skutki z tym związane. To w Syzranii było już typowym więzieniem etapowym, gdzie sortowano więźniów zgodnie z marszrutą wypisaną na teczce, skierowującą do wyznaczonego obozu. Tu nic nie działo się przypadkiem. Spałem i leżałem przez cały czas na betonowej, brudnej podłodze. Zresztą spałem tak począwszy od więzienia w Charkowie - miejsca na pryczy dla mnie nie było. Obojętniałem na wszystko, świat oglądałem jak przez mgłę, a otoczenie i warunki wydawały mi się czymś nierzeczywistym.

Na drugi czy trzeci dzień, leżąc tak na posadzce i gapiąc się na korytarz przez otwarte drzwi zobaczyłem prowadzoną na etap grupę kobiet, a wśród nich Polkę. Poznałem bezbłędnie. Wprost wstąpiły we mnie dodatkowe siły, poderwałem się i wprowadzając na wacianych nogach podszedłem do drzwi. Grupka kobiet w tym momencie została zatrzymana. Nie tracąc ani chwili czasu zwróciłem się wprost do tej Polki stojącej akurat w odległości dwóch kroków od drzwi. Powiedziałem swoje imię i nazwisko i poprosiłem,

że jak kiedykolwiek zobaczy moją Matkę, podałem imię Matki, to niechaj powie Jej, że jestem zdrow, dobrze się czuję, mam trzy-letni wyrok i "jadę" do obozu dla małoletnich. Zakładałem Ją, że w żadnym wypadku nie wolno Jej powiedzieć, jak rzeczywiście wyglądam. Zdawałem sobie sprawę, jak wyglądałem - można się było zakładać czy "pociągnę" jeszcze tydzień, czy dziesięć dni. O nazwisko tej Pani nawet nie pytałem, a patrząc na Nią nawet nie wiedziałem jak wygląda. Na chwilę wzrok nasz spotkał się - powiedziała tylko: "Dobrze, powiem tak jak chcesz". Cała ta scena trwała tylko chwilę. Konwojent stojący na przodzie coś krzyknął i cała grupka kobiet razem z tą Polką⁽⁴⁰⁾ poszła dalej. Ja wróciłem do swego legowiska na posadzce pod pryczą.

Wiedząc od konwojenta-żołnierza NKWD, że tu gdzieś krzyżują się moje drogi z drogami Mamy, na ścianach, na pryczach wy- krobywałem swoje imię i nazwisko oraz datę. Ta "zabawa" groziła osadzeniem w karcerze, ale robiłem to licząc, że ktoś przeczyta, zapamięta i może przekazać wiadomość.

Wieczorem czwartego dnia czułem się coraz gorzej. Zgłosi-łem strażnikowi, że jestem chory, a ten jak popatrzył na mnie, to bez słowa zaprowadził mnie pod drzwi celi, gdzie przyjmował lekarz. Czekało na przyjęcie kilku więźniów, więc stanąłem w kolejce. Nie dane mi było zobaczyć lekarza. Stałem bardzo krótko, jak przyleciał inny żołnierz, zwymyślał mnie od ostatnich, bo jestem wyznaczony na etap. A ja zamiast siedzieć w celi gdzieś się pętam. Prowadził mnie prawie biegiem i z trudem udało mi się mu wytłumaczyć, aby mi pozwolił zabrać moje rzeczy z celi. Zosta-awiałem je tam idąc do lekarza.

Identyfikacja: teczka - człowiek, rewizja, wydanie prowian- tu na drogę została przeprowadzona błyskawicznie, chociaż jak zawsze skrupulatnie. Nim się spostrzegłem zostałem wepchnięty

do znanego pudła samochodu już bardzo ciasno wypełnionego więź-
niami. Była już kompletna noc. Zaczynał się następny odcinek
drogi w nieznane, ale już wiedziałem, że do coraz gorszego.
W więzieniu w Syzranii byłem cztery doby.

14. Etap SYZRAŃ - CZELABIŃSK

Niewiele wrażeń zostało mi w pamięci z tego etapu, liczącego około 850 km i trwającego 4 doby. Zacząłem widzieć świat jak przez mgłę. Nic mnie nie obchodziło to co się działo dokoła. Etap zresztą na pewno nie różnił się niczym od innych. Jedzenie, picie, warunki i tłok były jak zwykle. Spałem i leżałem jak zawsze na podłodze pod ławką. Tu dowiedziałem się od żołnierza z eskorty, że robi mi ogromną łaskę pozwalając leżeć na podłodze. Jest to zabronione, bo mógłbym zrobić dziurę w podłodze i uciec. Ale widocznie "mój wygląd świadczył o mnie" i dał mi spokój. W przedziale było tłoczno, ale na I piętrze luźno i wesoło. Byłem sam Polak wśród dorosłych kryminalistów, Rosjan. Na szczęście nie interesowali się mną zupełnie. Traciłem siły, a mogłem jeść tylko cukier i żułem godzinami kawałki skórki chleba. Duże poruszenie wśród więźniów wywołał moment przekraczania granicy między Europą i Azją. Mnie to zupełnie nie interesowało. Uprzytomniłem sobie tylko, że jestem za górami Uralu, więc na Syberii. W nocy dowieziono nas, takim samochodem jak zwykle, do więzienia w Czelabińsku.

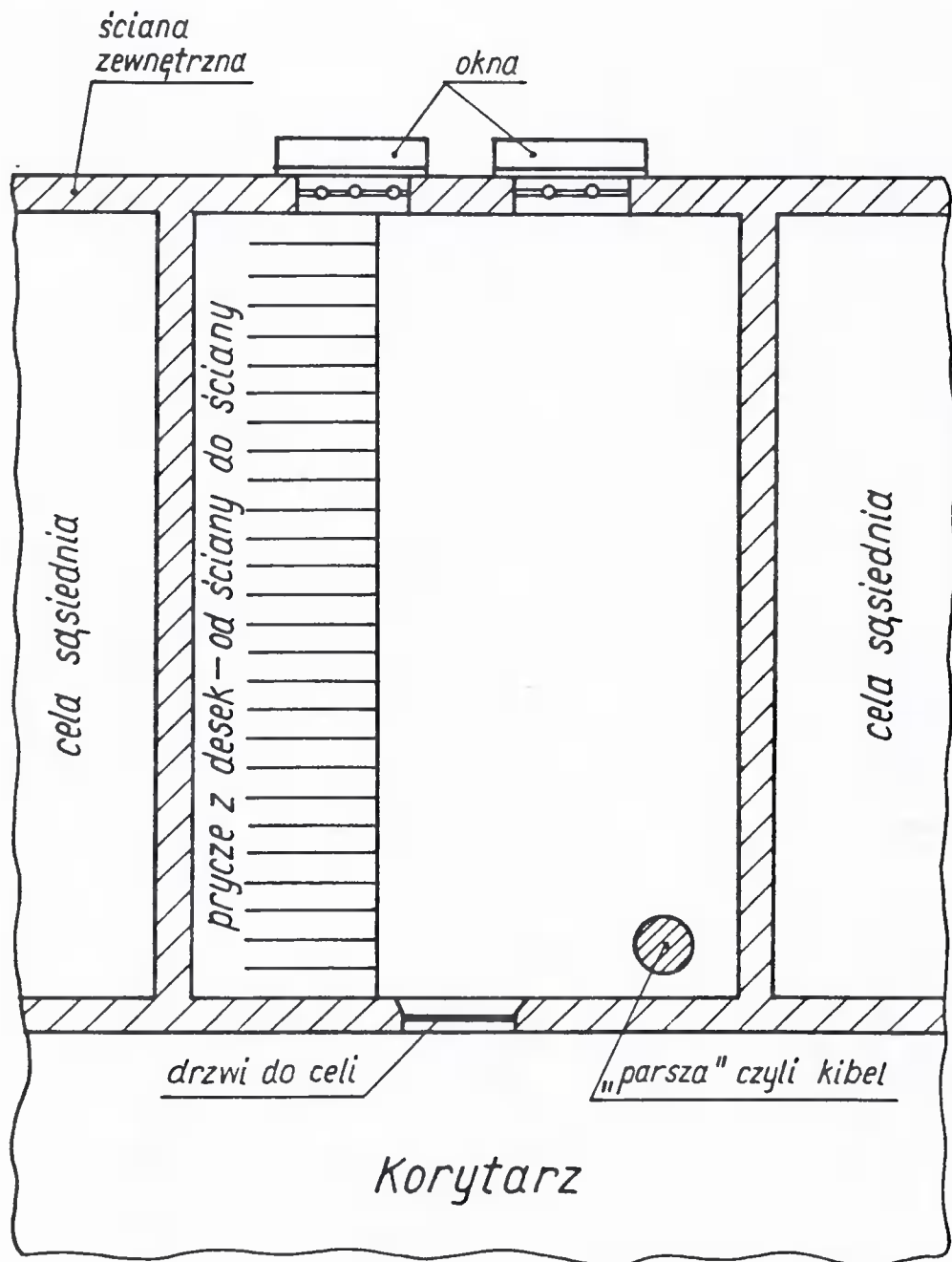
15. Więzienie w CZELABIŃSKU

To więzienie wydało mi się jeszcze gorsze od poprzedniego. Była noc, przyjmowano transport na korytarzu w jaskrawym blasku niczym nie osłoniętych silnych żarówek. Mimo moich, co tu dużo gadać - nieśmiałych i nieudolnych próśb, aby zostawić mnie z dorosłymi więźniami, zostałem wsadzony do celi małoletnich. Stało się to, czego się od dawna obawiałem. Strażnik po prostu wepchnął mnie do tej celi, natychmiast zatrzasnął drzwi i usłyszałem dźwięk energicznie zasuwanego ryglu.

Stałem kilka kroków od drzwi. Cella była niezbyt duża, lokatorów około 30, ale było całkiem luźno. Na wprost dwa okna, przepisowo okratowane i osłonięte koszami. Na lewo, wzdłuż dłuższego boku tej prostokątnej celi była jedna, od ściany przy drzwiach do ściany z oknami, długa drewniana prycza. Reszta celi, tj. około $3/4$ powierzchni była wolna, nie zastawiona żadnymi "meblami". No, jeżeli nie liczyć "paraszy" stojącej przy drzwiach, na prawo od nich. Pod nogami, jak zwykle, betonowa posadzka, brudna, wprost czarna.

W celi, mimo już głębokiej nocy i czasu po "prowierce" czyli apelu wieczornym, trwało, wręcz kwitło ożywione życie. Pośrodku pryczy siedział na kilku kocach po turecku wyrostek, silny i dobrze odżywiony. Był ubrany w ładną letnią koszulkę z krótkimi rękawami. Obok, wianuszkami siedziało lub w pozach półleżących otaczało centralną postać kilku wyrostków. Rozprawiali o czymś z ożywieniem. Kilku siedziało pod oknem i z zacięciem grało w karty otoczeni gromadką kibiców. Prycza w zasadzie była pusta, bo zajęta tylko w części środkowej przez "księcia z jego dworem". Dopiero po chwili zobaczyłem siedzących w kucki lub stojących na uboczu kilka postaci, robiących wrażenie wyrzucanych za nawias tej społeczności na pryczy i grającej w karty.

Cela więzienia w CZELABIŃSKU
(małoletni)



Wszyscy byli w mniejszym lub większym stopniu brudni i oberwani. W szarych lub czarnych koszulach i spodniach, wielu na bosaka, oberwani, wyglądali odrażająco.

Moje wejście do celi nie wywołało żadnej sensacji. Gracze i kibice tylko popatrzyli na mnie i wrócili do swego zajęcia. Natomiast ksiązę i jego dwór przerwali debatę i z oddali zaczęli oglądać mnie w milczeniu. Po chwili ksiązę, a raczej herszt kiwnął ręką, abym się przybliżył. Podeszed~~tem~~, rzuciłem na posadzkę swój tobołek i płaszcz, i czekałem co będzie dalej. Dwóch ze świty, jak zobaczyłem na polecenie herszta, wstało i podeszło do mnie. Jeden zrewidował mój tobołek i płaszcz, a drugi zrewidował mnie. Pytał przy tym czy mam złoto, pieniądze i w ogóle "cenneści" - a jak mam, to żebym natychmiast oddał. Jeżeli sam znajdzie, to wtedy "mordę będę miał obitą". Ku ogromnemu rozczarowaniu rewidentów i herszta nic nie miałem godnego natychmiastowej konfiskaty. Zresztą ja nic nie miałem. Jedynie oglądali mój sweter -pulower, ale rzucili go na kupkę moich łachów. Muszę dodać, że mimo tak trudnych warunków, złego stanu zdrowia, nadal na tle tej całej szajki wyglądałem wręcz "wytwornie". Ciągłe starałem się, jak tylko mogłem dbać o swój wygląd. Miałem na sobie koszulę, wprawdzie brudną ale całą, zapiętą na guziki, a na nią założoną marynarkę. Spodnie, tzw. pumpy, miały wprawdzie ucięte metalowe sprzączki, ale na dole, już przy kostkach były zawiązane na tasiemki własnej roboty. Buty, już rozlatujące się, też były zawiązane na tasiemki. Nic nie było oberwane, ani podarte. Ciągłe jeszcze w całości. Pasek od spodni oczywiście mi odebrano jeszcze w Brygidkach, ale w Chersoniu przyszyłem w odpowiednich miejscach guziki. Portki nie opadały. Rewidenci wrócili na miejsce, a herszt przystąpił do przesłuchania mnie. Od razu, jak tylko wszedłem do celi, niejako na podstawie mego wyglądu wiedział

że jestem Polakiem. Potwierdzenie tego było tylko formalnością. Natomiast, jak się dowiedział o moim pochodzeniu, że jestem gimnazjalistą i chciałem uciec ze Związku Radzieckiego, jego oburzenie nie miało wprost granic. Zaczął mi wymyślać używając całego bogactwa językowego przekleństw i obelg. Najłagodniejsze to: "Ty swołocz". Wreszcie podniecając się coraz bardziej zaczął krzyczeć bijąc się jednocześnie pięścią w piersi: "Ja karmannyj wor! Czestnyj grażdandin sowieckowo sojuza! A ty wrag naroda, szpion, diwersant i swołocz! Ubić тебя nada!" i tak dalej w tym stylu. (W tłumaczeniu: Jestem kieszonkowym złodziejem! Uczciwym obywatelem Związku Radzieckiego! A ty jesteś wrogiem ludu, szpiegiem, dywersantem i swołoczą! Trzeba ciebie zakatrupić"). Stałem spokojnie słuchając tego wszystkiego, niezbyt dokładnie rozumiejąc, ale sens był dla mnie jasny. Mimo tak obiecującej scenerii jakoś nie byłem w stanie się przestraszyć. Stałem wyprostowany i patrzyłem na miotającego i zionącego przekleństwami herszta. Nie wiem dlaczego mnie nie skatowali, a widziałem, że gwardia herszta była gotowa do takiego czynu. Wreszcie herszt machnął ręką i łaskawie wskazał mi miejsce na betonowej posadzce, opodal "paraszy". Również rozłożyłem swój koc, na nim płaszcz, porządnie ułożyłem swoje resztki ubrania, z butów i marynarki zrobiłem foremny podglówek, założyłem sweterek na koszulę i położyłem się spać.

Karcjarze w czasie całej tej sceny prawie wcale nie zwracali na nią uwagi. W celi, mimo już głębokiej nocy życie towarzyskie kwitło w pełni. Nie zauważyłem, aby mimo wrzasków herszta, a karcjarze też od czasu do czasu głośno "dyskutowali", *aby* strażnik zainteresował się tym, co się dzieje w celi.

Byłem zmęczony, a tu było lepiej niż w wagonie. Napiłem się wody - zbiornik z wodą był w celi - a kibel miałem prawie "pod nosem". Można powiedzieć, wprost same luksusy. Szybko usnąłem

twardym snem. Niestety, jeszcze tej nocy obudziło mnie energiczne szarpnięcie za ramię. Nade mną stał jeden z karciarzy i oznajmił, że sweter, który mam na sobie jest jego. Zrozumiałem - zdjąłem sweter bez słowa i oddałem. Karciarz zabrał go i odszedł. W więzieniach tutejszych panowało takie złodziejsko-bandyckie prawo. Karciarze grali w karty o rzeczy innych więźniów, jak reguła politycznych. Ten co wygrał stawał się "prawnym" nowym właścicielem takie rzeczy. Biada takiemu więźniowi politycznemu, który by jej nie oddał. Ów nowy właściciel mego swetra jeszcze przed odejściem ponownie dokonał przeglądu moich rzeczy robiąc potworny bałagan, ale nic nie zabrał. Znowu ułożyłem wszystko w porządku i usnąłem.

Rano obudził mnie łoskot - strażnik walił pięścią w drzwi. Wstałem, zebrałem rzeczy na kupkę. Po chwili otworzyły się drzwi celi i strażnik nakazał wychodzenie do ustępu. Zobaczyłem, że wyszło nie więcej niż połowa pensjonariuszy. Herszt oraz gwardia i kilku jak widać uprzywilejowanych zostało. Leżeli na pryczy i chyba udawali, że śpią. W ustępie był kran z wodą (naturalnie tylko zimną) nad blaszanym korytem, a strażnik dawał każdemu kto chciał po kawałku mydła. Niewielu się myło, więc spokojnie, bez tłoku, dość porządnie do pasa się umyłem. Miałem jeszcze swój ręcznik. Wprawdzie brudny, ale był. Jak strażnicy robili w tej celi "prowierkę" czyli apel - nie wiem.

Wreszcie przyszła pora wydawania śniadania. Strażnik na płachcie wydał porcje chleba i woreczek z cukrem dla całego składu osobowego celi. Kilku zaufanych zabrało całą płachtę, wysypało porcje ("pajki") chleba na pryczę, cukier też wysypali na jakąś szmatkę i oddali opakowania strażnikowi. Nikt niczego nie dotknął. Wydali herbatę. Napiłem się tego ciepłego płynu, patrzyłem i czekałem co będzie dalej? Hersztowi oraz kilku z najbliż-

szego otoczenia poddani przynieśli usłudźnie miski z herbatą. Ten sypał cukier garścią do swej miski, najbliższym wg uznania, chleba jedli ile chcieli. Wydobyli również ze swojej "spiżarni" jakieś mięso, wędlinę, masło czy ser. Wreszcie "arystokracja" nażarła się i przypomniała sobie o reszcie załogi celi. Herszt własnoręcznie łaskawie "dał" mi moją "pajkę" chleba i kawałek cukru. Wygłosił przy tym pouczające przemówienie, z którego zrozumiałem, że wprawdzie jestem "swołocz ostatniego rzędu", to jednak daje mi porcję, bo on jest "uczciwym obywatelem sowieckim", a u nich jest sprawiedliwość. A zresztą na pewno niedługo sam zdechnę, więc niech wiem jacy dobrzy są "grażdanie sowieccy". Po takim załatwieniu problemu z moją osobą przystąpił herszt do rozdziału pozostałego chleba. Niektórzy dostali dwie porcje, kilkunastu jedną lub pół, a chyba pięciu albo ośmiu nie dostało nic. Cały cukier został w dyspozycji herszta, nieliczni dostali tylko po kawałeczku.

Dzięki temu, że umyłem się jako tako, napiłem ciepłej herbaty i noc przespałem względnie dobrze, to trochę "przejrzałem na oczy". Życie w celi toczyło się wartkim nurtem, a strażnicy nie ingerowali zupełnie. A dzieło się wiele. Siedziałem na swoim tobołku i patrzyłem.

Gra w karty przy kilku "stolikach" toczyła się bez przerwy. Stawką było wszystko - chleb, cukier, części ubrania. Jak grający zgrał się do nitki, to stawką były uderzenia drewnianą łyżką w czoło nad nasadą nosa. Niektórzy mieli na czole sino-krwawy guz i opuchnięte wokoło oczy. Kilka razy jeszcze niektórzy przeglądali moje części ubrania, ale nic nie znaleźli godnego uznania jako fant do gry. Sweter już został wygrany w nocy, a teraz w dzień widziałem jak zmieniał ze dwa razy "właściciela". Herszt również grał od czasu do czasu i zawsze wygrywał. Uderze-

nia łyżką drewnianą w czoło były również karą wymierzaną nieposłusznym.

Kilku było zajętych fabrykacją kart do gry. Były robione z bibułek do skręcania papierosów^{x)}. Kilka takich bibułek sklejało klejem robionym z miękiszu chleba. Jeden z niewolników rozrabiał ten miększy w ustach, a potem odpowiednio wyrabiał w palcach. Znaki były rysowane i barwione przez wyszkolonego rysownika. Rzeczywiście, ten chłopak miał talent. Czarny barwnik robiono z sadzy, czyli po prostu ze spalonego kawałka szmatki. Czerwony barwnik^{x)} - to krew "pobierana" od niewolnika. Gotowe, sklezione z kilku warstw bibułek karty suszono na gołych plecach innego niewolnika. Musiał leżeć tak długo na posadzce aż karty wyschły. Wysuszone smarowano jakimś tłuszczem. Karty tak zrobione, wprawdzie małego formatu, były sztywne, śliskie, a rysunki nie ścierały się, bo były na wewnętrznej bibułce. Z drugiej strony była czarna lub czerwona koszulka.

Herszt zarządzał od czasu do czasu rozrywki kulturalne. Kilku wybijało takt melodii drewnianymi łyżkami, inni śpiewali, a artyści tańczyli. Za dobre wykonanie - nagroda, czyli np. kawałek cukru lub "pajka" chleba. Za złe wykonanie - odpowiednia liczba uderzeń łyżką w czoło lub pięścią w zęby. Herszt i asysta decydowali o poziomie artystycznych występów. Wielu tych chłopaków było muzykalnych i wykonywało swoje występy z talentem.

To była tylko niewinna rozrywka. Poważną sprawą były zapasy. Wyznaczeni zawodnicy stawali do walki, a była to walka bez pardonu. Żadne udawanie. Widzowie i oczywiście elita robili zakłady i każda grupa dopingowała wrzaskiem swego faworyta lub obiecywała mu, co z nim zrobi, jak przegra. To nie były żarty. Jeżeli zwycięzcą nie był typ herszta, to przeważnie musiał natychmiast stawać do walki z następnym wyznaczonym przez władcę.

x) Mój przyjaciel, Zbyszek Chmielewski, który też siedział w tym czasie w więzieniach sowieckich, twierdzi, że karty do gry robiono z ustników papierosów (np. „BIEZOMOR KAWAZ”), a czerwony barwnik - z tłuczonej na proszek czerwonej cegły.

FA.

W innym miejscu celi działał mistrz z asystentami robiący tatuaże. W tym miejscu była cisza i atmosfera skupienia przerywana od czasu do czasu sykiem lub jękiem pacjenta. Tatuaże, czyli "nakołki" robił mistrz na zamówienie, oczywiście za zapłatą. Ale widziałem, jak herszt kazał aby jednemu z niewolników zrobiono tatuaż. Nic nie pomogły wrzaski i protesty. Gwardia zawlokła niewolnika do mistrza, jeden usiadł mu na głowie, drugi na nogach. W ciągu pół godziny jakiś tatuaż na plecach delikwenta został wykonany, a herszt oglądając gotowe dzieło śmiał się do rozpuku przy wtórze asysty.

Obiad, czyli zupę i kolacje, też jakąś kaszę wydawano regularnie. Każdy mógł spokojnie podejść po swoją porcję i zjeść. Herszt i asysta nie fatygowali się do drzwi - im przynoszono. Zobaczyłem, że w czasie otwierania drzwi na korytarz, a działa się to tylko wtedy, gdy wydawano posiłki, za drzwiami stała ^{um}wzbroniona straż, co najmniej trzech czy czterech strażników. Nam w Chersoniu jedzenie zawsze wydawał jeden.

W celi było stałe głośno, a od czasu do czasu rozlegały się po prostu wrzaski. Bardzo hałaśliwe były dyskusje przy kartach, dopingi w czasie zapasów lub wrzaski w czasie wykonywania na którymś z niewolników egzekucji. Nigdy nie zauważyłem, aby tym co się dzieje w celi zainteresował się strażnik.

Cała elita oraz prawie wszyscy pensjonariusze bez przerwy palili papierosy. Dokładniej, nie papierosy a machorkę skręcaną w kawałku gazety. Może najwyżej herszt skręcał w bibułce, ale też chyba nie, bo bibułka była niezbędna do produkcji kart i do palenia nie należało jej marnować.

Raz w ciągu dnia strażnik uchylił drzwi i wezwał jednego z chłopaków. Był to jeden z niewolników, zabiedzony i zastraszony chłopak w kiepskiej kondycji fizycznej. Chłopak prędko wyszedł,

a herszt z asystą rozsiedli się na pryczy i o czymś z ożywieniem zaczęli rozmawiać, stale spoglądając w kierunku drzwi. Sprawa się szybko wyjaśniła. Wszedł z powrotem do celi ów chłopak, niosąc w połach wyciągniętej na wierzch koszuli jakieś produkty żywnościowe. Niektóre były w szczątkach jakiegoś opakowania. Zbliżył się natychmiast, bez słowa, do herszta i wysypał wszystko na koc. Sam odszedł w drugi koniec celi. Zarówno herszt, jak i asysta nawet nie spojrzeli za "byłym" właścicielem paczki. Energicznie zajęli się wysypaną zawartością. Przebierając i wydzierając sobie jakieś kąski pożarli natychmiast prawie wszystko, a od czasu do czasu herszt wybrańcom rzucał jakieś kawałki. Elita bawiła się świetnie, było bardzo wesoło, niestety, nie wszystkim było do śmiechu. Po takim załatwieniu się z paczką (po rosyjsku - "pieriedacza"), herszt do "byłego" właściciela wygłosił przemówienie. Jak zrozumiałem, powiedział temu chłopakowi, że paczka była nędzna i mała, więc sprawiedliwie nic nie dostał. Ma postarać się, aby rodzina dostarczyła następnym razem lepszą i większą paczkę. Jak nie, to mordę mu zbiją.

Rodzina paczki mogła przekazywać, bo wszyscy tutaj byli już osądzeni. Wszyscy mieli już wyroki a tak jak ja, byli w drodze do obozów pracy, czyli po rosyjsku "isprawitelno-trudowych kołonii NKWD dla niesowierszennoletnich". Nie zdawałem sobie wtedy sprawy ile trudu kosztowało rodzinę spowodowanie przyjęcia i dostarczenia więźniowi paczki w więzieniu etapowym. To był bardzo trudny wyczyn.

Elita miała na swym koncie jeszcze inne, wręcz zbrodnicze wyczyny, mianowicie gwałty i przestępstwa seksualne dokonywane na innych współwięźniach- chłopcach. Na szczęście nie byłem świadkiem tych wyczynów, nie będę ich opisywał, aczkolwiek całe to zagadnienie poznałem w obozie. Skutkiem tych wyczynów było to,

że pokrzywdzeni chłopcy zostawali dosłownie wyrzucani poza nawias całego tego więziennego społeczeństwa. W obozie nie wolno im było siadać do posiłków przy wspólnym stole, używać tych samych naczyń itd. Po prostu byli traktowani jak trędowaci. Wiadomość o takim pokrzywdzonym w więzieniu przekazywali współwięźniowie do obozu, a tam był ciąg dalszy prześladowania. Natomiast sprawcy tych zbrodni wcale się z tym nie kryli, chodzili w glorii bohaterów. To, że tu w więzieniu żaden ze strażników ani nikt z kierownictwa nie interesował się, jak płynie życie w celi małoletnich, to od biedy można usiłować przyjąć do wiadomości. Natomiast to, że kierownictwo obozu również tolerowało dalsze prześladowania pokrzywdzonych w ten sposób, nie wolno wybaczyć. Nazywali się wychowawcami, a obóz, nazywany kolonią, nosił nazwę "poprawcza". Zresztą o życiu w obozie, czy kolonii napiszę w następnym tomie.

Tak przesiedziałem w tej celi pięć dni. Za wyjątkiem zabrania mi swetra moi współlokatorzy nie interesowali się więcej mną. Porcję chleba i cukru oddawali każdego dnia. Widocznie doszli do wniosku, że się i tak kończę, a więc nie należy mi przeszkadzać. Ja jednak chyba troszeczkę "złapałem oddech". Do lekarza nie próbowałem się dostać. Mimo, iż właściwie ta cała bandycko-złodziejska szajka nic mi złego nie zrobiła, to jednak marzyłem, aby w następnym więzieniu etapowym dostać się do celi dla dorosłych.

Tylko mnie jednego, wieczorem, zabrano na etap. Wszystko, cała procedura identyfikacji i ekspedycji przebiegła sprawnie i szybko. Właściwie nim się spostrzegłem już byłem w znanym mi przedziale więziennego wagonu.

16. Etap CZELABIŃSK - SWIERDŁOWSK

Sądząc po wielkości porcji chleba na drogę etap zapowiadał się krótki. Jechałem jedyny Polak z dorosłymi kryminalistami. Oczywiście moje miejsce było jak zawsze na parterze, a raczej w suterenie. Właściwie nic z tego etapu nie pamiętam. Przebiegał na pewno typowo. Trwał jedną dobę, może dwie, ale dokładniej nie mogę określić.

Wyładunek nastąpił też wieczorem. W czasie transportu do więzienia dowiedziałem się, że to miasto nazywa się Swierdłowsk.

17. Więzienie w SWIERDŁOWSKU

W czasie procedury osadzania w tym więzieniu odniosłem wrażenie, że jest jeszcze brudniejsze i gorsze aniżeli w Czelabińsku. Strażnik dał się ubłagać i wsadził mnie do celi z dorosłymi. Nie potrafię opisać wyglądu tej celi, a wrażeń specjalnych nie zostało mi wcale. Nikt się mną nie interesował, gdzieś tam leżałem, swoją porcję chyba otrzymywałem. Znowu od zakończenia tego etapu świat widziałem jak przez mgłę i co się dzieje wokoło przestało mnie interesować. Wypatrywałem tylko Polaków, ale żadnego od więzienia w Nikołajewie nie widziałem. Było tylko to znamienne spotkanie z Polką w więzieniu w Syzranii.

Piątego dnia, wieczorem, zostałem wezwany na etap.

18. Etap SWIERDŁOWSK - WIERCHOTURJE

W trakcie normalnej procedury identyfikacji, rewizji i przekazania więźniów wraz z teczkami nowej eskorcie, zauważyłem w grupie kilku małoletnich. Załadowano wszystkich nas małoletnich do oddzielnego przedziału w dobrze znanym mi wagonie więziennym. Niewielu nas było - może ośmiu lub dziesięciu. Kilku z nich początkowo bardzo aktywnych, teraz przycichło. Wdrapali się wprawdzie na pryczę I piętra, ale był spokój. Na dole zostało tyle miejsca, że mogłem położyć się na ławce służącej normalnie do siedzenia. Nikt mi nie przeszkadzał. Jechałem wprost luksusowo i gdyby nie ta słabość, to byłoby wspaniale.

Podróż trwała krótko, właściwie niecałą dobę. Był jasny, cichy, słoneczny dzień, gdy wczesnym popołudniem wyładowano tylko nas, małoletnich na małej stacyjce. Dookoła był las - tajga. Dowódca konwoju z pociągu przekazał nas wraz z teczkami jakiemuś cywilowi, który nasze dokumenty włożył do płóciennej torby. Pociąg odjechał, a ja oglądałem się, gdzie uzbrojona w karabiny eskorta. Tymczasem całą eskortę stanowił jakiś wojskowy z rewolwerem w kaburze u pasa oraz ten cywil, który nas odebrał i miał przy sobie torbę z naszymi dokumentami. Nazwa stacji widniała nad wejściem, ale ja wtedy nie umiałem przeczytać napisu.

Tch dwóch nie śpiesząc się ani specjalnie nie pilnując tej grupki małoletnich więźniów, ruszyło ścieżką za budynek stacyjki. Oczywiście my wszyscy poszliśmy za nimi. Dziwiło mnie to wszystko, ale jednocześnie pomyślałem: Jak nie pilnują, to musi być stąd bardzo trudno, albo wręcz niemożliwe, uciec. Za stacją na placu stała stara odkryta ciężarówka, a obok dwóch, słusznego wzrostu, milczących młodych ludzi. Jak się trafnie domyśliłem - kierowca i pomocnik. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to

są więźniowie. Do skrzyni ciężarówki wsiedli wszyscy małoletni więźniowie, ^{oraz} tych dwóch dorosłych, to znaczy wojskowy z rewolwerem u boku i cywil z torbą zawierającą nasze teczki akt, do kabiny wsiadł kierowca z pomocnikiem i ciężarówka ruszyła.

Było chłodno, słońce chowając się za konarami wysokich drzew świeciło mi w twarz, bo siedziałem tyłem do kierunku jazdy. Chłonałem świeże, czyste, wprost balsamiczne dla mnie powietrze i leniwie myślałem: "Tam daleko na zachodzie, gdzie teraz świeci słońce, jest mój dom. A ja ciągle jadę na wschód, czy wrócę?" Ciężarówka jechała powoli polną, wyboistą drogą wśród lasów. Liście na brzozech już prawie wszystkie opadły, wisiały tylko gdzie-niegdzie pośółkłe resztki. Natomiast drzewa iglaste, strzeliste, jaśniały piękną, soczystą zielenią. Było dla mnie oczywiste, że pokonuję ostatni etap w drodze do obozu, gdzie jako "groźny przestępca" mam odbywać "zasłużoną karę".

Podróż ciężarówką trwała nie dłużej niż pół godziny, jak wjechaliśmy do wioski. Zaraz na skraju zatrzymaliśmy się przed niewielkim, murowanym, parterowym budyneczkiem. Cywil coś powiedział, wyleźliśmy z ciężarówki i zaprowadzono nas do tego budyneczku. Tam wszystkich nas zamknięto w normalnej celi z betonową posadzką, pod sufitem były dwa maleńkie okienka zaopatrzone w solidne kraty. Wzdłuż dłuższej ściany stała jedna, z gołymi deskami drewniana prycza, a koło drzwi kibiel. Cella była niewielka, o wymiarach około 6x4 m. Dla tak niewielkiej liczby więźniów to luksus, było luźno. Położyłem się na pryczy w czym nikt ze współlokatorów mi nie przeszkadzał. Zapadł mrok i nad drzwiami zaświeciła się mocna żarówka, jak zawsze w celi.

Strażnik, w towarzystwie jeszcze jakiegoś cywila, wydał wszystkim po misce ciepłej zupy. Och, jak mi smakowała! Chleba nie dali, ale strażnik jednemu z więźniów kazał przynieść i pos-

tawić na pryczy blaszany zbiorniczek z wodą. Na dole był kranik, a do zbiorniczka należał kubek przytwierdzony na łańcuszku. Napilem się tej wody. Była bardzo smaczna.

Jeszcze tego wieczoru wyprowadzono nas do ustępu, gdzie była również umywalnia i leżały kawałeczki mydła. Takiego ciemno-brunatnego więziennego, ale było to mydło. Umyłem się samotnie, bo moi współtowarzysze stronili od tej czynności.

W celi zrobiłem sobie posłanie na pryczy. Moi współlokatorzy zachowywali się bardzo potulmie, coś tam w kącie z ożywieniem szeptali między sobą. Ze słów strażnika zrozumiałem, że przyjęcie do obozu odbędzie się jutro rano. Kończył się dla mnie jeden rozdział życia, a jutro miał zacząć następny. Jakoś nabrałem otuchy, spałem bardzo dobrze i spokojnie.

Był to koniec września 1940 r. (dokładnej daty nie znam). W podróży, po ogłoszeniu mi wyroku, z więzienia w Chersoniu do tego miejsca byłem przeszedł miesiąc. Co najmniej 40 dni, a może nawet pięćdziesiąt. Miesiąc temu skończyłem 16 lat, moja kondycja fizyczna była w kiepskim stanie, po prostu wyglądałem jak szkielet, a w twarzy świeciły tylko oczy.

Wioska, do której mnie dowieziono i gdzie był obóz nazywała się WIERCHOTURJE.

Tadeusz Piętkowski

Opracowanie kalendarza rdawej:

od 15 października 1983 r.

do 27 października 1983 r.

Pisanie tekstu (z poprawkami)

od 13 października 1985 r.

do 27 listopada 1989 r.

PRZYPISY DO TOMU II

1. Tom II pt. WIĘZIENIE, zamieszczony w dwóch zeszytach jako cz. 1 i 2, zacząłem pisać w Polanicy dn. 13 października 1985 r., zakończyłem w Kołobrzegu dn. 27 listopada 1989 r. Zarówno w Polanicy, jak i w Kołobrzegu byłem w sanatorium, bo serce mam już nie najbardziej sprawne. Podstawę i cenną pomocą był KALENDARZ do tomu II, opracowany w Polanicy w dniach od 15 października 1983 r. do 27 października 1983 r. Dopiski zrobiłem już o świcie 28 października 1983 r. Próby pisania wspomnień w domu w Warszawie niestety kończyły się niepowodzeniem. Okazało się, że mogłem pisać tylko w czasie pobytów w sanatoriach, do których wyjeżdżałem w tym czasie jesienią każdego roku.

2. Zobaczyliśmy się dn. 24 marca 1946 r. (niedziela). Mama transportem wojskowym drogą morską przypłynęła z Anglii do Gdańska dn. 19 marca 1946 r. Pociągiem przyjechała do Warszawy, gdzie zatrzymała się u Brata - Stanisława Ciemochowskiego (mego Wuja). Wujostwo mieszkali w tym samym mieszkaniu, co przed wojną, Aleja 3-go Maja 2 m 20. Zostałem zawiadomiony telegramem przez Wuja i przyjechałem z Gliwic. Telegram otrzymałem dn. 23 marca 1946 r. i tegoż dnia wyjechałem nocnym pociągiem do Warszawy. Przyjechałem do Warszawy rano 24 marca 1946 r. Daty podstawowe ustaliłem na podstawie dokumentów przechowywanych teraz w moim domowym archiwum.

Data: 19 marca 1946 r. - została ustalona na podstawie dokumentu wydanego przez Centralne Archiwum Wojskowe w Rembertowie.

Data: 23 marca 1946 r. - została ustalona na podstawie telegramu Wuja zawiadamiającego o przyjeździe Mamy do Polski.

3. Data: 2 lutego 1940 r. została ustalona po wojnie, jak spotkałem się z Mamą. Mama też siedziała w Brygidkach i wiedziała dokładnie, że 2 lutego 1940 r. zabrano ją z celi do transportu (dalsze uwagi w przypisie 5). Ja pamiętałem, że mego współwięźnia zabrano z celi "na wolność" na przełomie stycznia-lutego 1940 r.

Dzisiaj (a nawet o wiele wcześniej) nie mam żadnych wątpliwości, że mego współwięźnia zabrano do transportu do Rosji. Na pewno nie wypuszczono go na wolność. Wtedy byłem przekonany, że mój współwięzień jest już u siostry we Lwowie. Obiecał to przecież oficer, a oficer nie kłamie! Nie brałem wtedy pod uwagę, że był to oficer, przepraszam - komandir wojsk NKWD.

4. W kwietniu 1940 r. rozpoczęło się, o czym wtedy oczywiście nie wiedziałem, wywożenie polskich oficerów z obozów, gdzie byli przetrzymywani przez NKWD.

Z obozu w Kozielsku, do stacji Gniezdowo, a stąd na śmierć do Lasu Katyńskiego. Z obozu w Starobielsku, do stacji Diergaczi koło Charkowa - gdzie ich zamordowano - nie wiadomo do dziś. Z obozu w Ostaszkowie, do stacji Bołogoje - też nie wiadomo do dziś, gdzie ich zamordowano. Z tych trzech obozów wyselekcjonowano 448 oficerów różnych stopni, przewieziono do obozu w Pawliszczew Bor, następnie do Griazowca, a po zawarciu umowy z Polskim Rządem na emigracji w Londynie, zwolniono i trafili (w większości) do Polskiej Armii gen. W. Andersa. Ojca wśród nich nie było.

Ogółem, z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie funkcjonariusze NKWD zamordowali w kwietniu 1940 r. około 15 tysięcy jeńców, przeważnie oficerów zawodowych i rezerwy

(powołanych pod broń w 1939 r.), wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r.

Ojciec, kpt. Ludwik Pieńkowski, został wzięty do niewoli przez Armię Radziecką koło miejscowości Bursztyn (na pld.-wschód od Lwowa) w nocy z 19 na 20 września 1939 r. (byłem tego świadkiem). Jak udało mi się ustalić już po wojnie, Ojciec został osadzony najpierw w Starobielsku, następnie przewieziony do Kozielska i zamordowany przez NKWD w Lesie Katyńskim w kwietniu 1940 r. Jest na liście jeńców obozów sowieckich, opracowanej przez majora Adama Moszyńskiego, jako jeńiec obozu w Kozielsku (str. 148, dziewiąte nazwisko od góry strony. "Lista Katyńska", "GRYF", Londyn 1982. W archiwum domowym mam również list z Instytutu i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie z 15 lipca 1988 r.

5. Wtedy nie wiedziałem, że Mama takim samym transportem, w jeszcze gorszych warunkach bo zimą, w czasie mrozów, dn. 2 lutego 1940 r. (piątek) została wywieziona z Brygidek do więzienia w Odessie. W więzieniu w Chersoniu nie siedziała. Wtedy, to jest w kwietniu 1940 r. siedziała już prawie 2 miesiące w więzieniu w Odessie. Tam przeszła śledztwo i na korytarzu przeczytano wyrok skazujący Ją na 5 lat "trudowoisprawitelnych łagieriej".
6. W tym czasie (to jest w połowie lipca 1940 r.) Matka albo była jeszcze w więzieniu w Odessie, albo już po wyroku przewieziona etapem do pierwszego więzienia etapowego w Charkowie. Prawdopodobnie była już w więzieniu w Charkowie, bo jak ustaliliśmy po wojnie, wywieziono Ją po ogłoszeniu wyroku, z więzienia w Odessie około 8 lipca 1940 r. Etapowe więzienia: Charków, Syzrań, Czelabińsk, Pietropawłowsk. Docelowo:

stacja rozdzielcza Karabas koło Karagandy; dowieziono Ją tam około 5 września 1940 r.

7. "Proguł" - w dosłownym tłumaczeniu - spacer, a także "proguł-ka" - spacerek. Zwykle słowo używane w mowie i piśmie bez specjalnego znaczenia. W końcu lat trzydziestych został w ZSRR wydany specjalny dekret o socjalistycznej dyscyplinie pracy, a kodeks karny został uzupełniony o odpowiednie paragrafy. Nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy została nazwana "proguł" i słowo to nabrało złowrogiego znaczenia, bo kary za to "przestępstwo" były surowe. Ustalenia były następujące:

- spóźnienie do 20 minut - kara: co najmniej pół roku obozu pracy;
- spóźnienie do 2 godzin - kara: co najmniej rok obozu pracy;
- nieobecność całego dnia - kara: co najmniej trzy lata obozu pracy.

W czasie wojny kary zostały zwielokrotnione. Najniższa wynosiła chyba trzy lata. Praktycznie nie można było się usprawiedliwić, wyroki zapadały w trybie doraźnym, żadna apelacja nie przysługiwała. Np. na usprawiedliwienie: tramwaj się spóźnił. Sąd odpowiadał: trzeba było wyjechać z domu wcześniej itp. W Polsce, po wojnie, w latach czterdziestych też wprowadzono analogiczny dekret, ale obowiązywał niezbyt długo. Naogół, mimo nacisków różnych władz zwierzchnich, lokalne kierownictwa zakładów pracy starały się nie doprowadzać do oddawania pod sąd "obwinionych".

Cały ten problem może już ktoś dokładnie opisał lub opisze, tu przedstawiłem w zarysie, z pamięci.

W ZSRR dla wielu ludzi pracy skutki dekretu o "progule" były

tragiczne, a słowo "progul" nabrało złowrogiego znaczenia.

8. Po wojnie dowiedziałem się, że dr Franciszek Piliszek nie został rozpoznany w więzieniu jako oficer. Nie wiem dokładnie, jak trafił do więzienia, ale wydaje mi się, że za próbę przekroczenia granicy.

Jeszcze jedno muszę dodać. Widziałem ostatni raz dr Piliszka we Lwowie, w końcu października 1939 r. Ubrany w jakieś cywilne łachy handlował na ulicy papierosami. Nie miał najmniejszego zamiaru zgłaszać się jako oficer do rejestracji, zarządzanej przez władze sowieckie. Mówił, że chyba wróci do Warszawy. Został "normalnie" skazany i zesłany do obozu (niestety, nie wiem gdzie). Po ogłoszeniu "amnestii" jesienią 1941 r. wstąpił do Armii Polskiej dowodzonej przez gen. W. Andersa. Wyjechał z Armią na Wschód, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Po wojnie osiedlił się we Francji. Udało mu się tam sprowadzić żonę - Wierę z synkiem. Z nekrologu opublikowanego w Życiu Warszawy (nr 162 z dn. 11 lipca 1983 r.) dowiedziałem się: ś.p. Stanisław Tadeusz Piliszek, major WP, lekarz psychiatra, ur. w Warszawie dn. 11 lutego 1908 r., więzień obozów, uczestnik walk o Monte Cassino, odznaczony wieloma orderami; zmarł dn 5 lipca 1983 r. w Anglii i tamże zostanie pochowany na cmentarzu w Wolverhampton - zawiadamiają: żona, syn, siostra, szwagier, synowa, wnuki i rodzina (W-46 7292-1).

9. Była to jedyna wiadomość o Matce, bardzo ogólnikowa, jaką otrzymałem przez cały czas wojny. Praktycznie od 7 stycznia 1940 r., kiedy widziałem Ją w więzieniu Brygidki we Lwowie, do 29 maja 1945 r., jak wróciłem z frontu jako podporucznik wojsk pancernych, nic nie wiedziałem. Wtedy, w maju 1945 r.

dowiedziałem się tylko, że Matka jest w Anglii. Zobaczyliśmy się dopiero 24 marca 1946 r. w Warszawie.

10. Nazwisko tej Pani poznałem po wojnie, latem 1946 r.. po powrocie Matki do kraju. Była to Pani Nina Krupianka, wówczas w sierpniu 1940 r., gdy z Nią mówiłem, młoda około 20-letnia dziewczyna. Spełniła swą misję do końca, a było to tak: latem 1942 r. była żołnierzem w Pomocniczej Służbie Kobiet w Armii Polskiej dowodzonej przez gen. W. Andersa i była już w Teheranie (Persja - obecnie Iran). Zapamiętała moje nazwisko i prośbę z więzienia w Syzranii przekazaną w sierpniu 1940 r. Rozpoznała moją Matkę, która też była żołnierzem w Pomocniczej Służbie Kobiet, pracowała jako kasjerka kantyny w świetlicy w Teheranie. Nazwisko mojej Matki było powszechnie znane. Pani Nina podeszła do kasy i poprosiła moją Matkę o chwilę rozmowy na osobności. Po upewnieniu się, co do tożsamości i że nadal Matka o swym synu nic nie wie, powiedziała to co Jej nakazałem. Powiedziała, że latem 1940 r. widziała mnie i rozmawiała ze mną w więzieniu etapowym w Syzranii. Prosiłem o przekazanie, że czuję się dobrze, jestem zdrow, mam trzyletni wyrok i jadę do obozu dla małoletnich, tylko nie wiem do jakiej miejscowości. Więcej nic nie powiedziała, a Mama nie śmiała pytać. Obie Panie widziały się w Teheranie jeszcze wielokrotnie, ale Pani Nina raczej unikała ponownej rozmowy z moją Matką, a Matka nie śmiała, a wręcz bała się pytać. Nie chciała utracić ostatniej iskielki nadziei. Była to jedyna praktycznie wiadomość o mnie w czasie całej wojny, jaką otrzymała Matka. Jakże wdzięczny jestem Pani Ninie Krupiance za tak dobre spełnienie tej misji! Znając mój rzeczywisty wygląd miała prawo sądzić, wtedy w 1942 r., że dawno

nie ma mnie wśród żywych. Dalsze losy Pani Niny Krupianki są mi nie znane.

Ante
/Tadeusz Piętkowski/

Posłowie do Tomu II - więzienie

Po upływie siedmiu lat jak zakończyłem pisanie tego tomu zdecydowałem się oprawić cztery egzemplarze tekstu przepisane na maszynie i po jednym ofiarować naszym synom. Żadnych zmian do napisanego tekstu nie wprowadzałem, ale w posłowniu podaję kilka uściśleń, wiadomości i uzupełnień na podstawie otrzymanych dokumentów.

1. Wyrok specjalnego trybunału (osoboje sowieszczanije) został na mnie wydany 23 lipca 1940 roku, prawdopodobnie odczytany 2 lub 3 dni później, a więc NKWD wysłało mnie w drogę do obozu być może jeszcze w ostatnich dniach lipca 1940 roku. Do obozu w Wierchoturje przywieziono mnie być może w ostatnich dniach sierpnia 1940 roku. Dokumenty w tej sprawie otrzymałem w maju 1992 roku.

2. Sprawdziłem odległości między miastami, w których były więzienia, miejsca mego "czasowego pobytu".

Odległości mierzone w linii prostej na mapie o podziałce 1:7 500 000:

* wioska nad rz. Sołokiją, Rawa Ruska, Lwów	80 km
* Lwów - Chersoń	720 km
* Chersoń - Nikołajew	60 km
* Nikołajew - Charków	460 km
* Charków - Syzrań	920 km
* Syzrań - Czelabińsk	830 km
* Czelabińsk - Swierdłowski	200 km
* Swierdłowski - Wierchoturje	230 km

RAZEM. - około...3500 km

W relacji podałem ogółem3800 km

Różnica wynosząca około 300 km, przy tego rodzaju odległościach nie jest istotna, a wynika głównie z błędnie ocenionej odległości pierwszego odcinka "podróży" oraz odległości Swierdłowski - Wierchoturje.

Biorąc pod uwagę, że transporty nie jechały po linii prostej, to można oszacować długość przebytej przeze mnie drogi, w opisanych warunkach na około:

$$3500 \times 1,3 = 4550 \text{ km}$$

Szacunkowo przebyłem trasę długości około 4600 kilometrów

3. Jak dowiedziałem się z dokumentów przekazanych przez Rosję, mój Ojciec, kapitan Ludwik Pieńkowski, był więźniem obozu w Starobielsku. Do obozu w Kozielsku nie został przewieziony. Został zamordowany przez NKWD w więzieniu w Charkowie, w kwietniu lub pierwszej dekadzie maja 1940 roku. Ciało zakopano, wraz z około czterema tysiącami zamordowanych polskich oficerów więzionych w Starobielsku, na terenie ośrodka rekreacyjno - wypoczynkowego dla funkcjonariuszy NKWD, w pobliżu osady Piatichatki, przy tak zwanej Czarnej Drodze, na obrzeżu Charkowa. W książce mjr. Adama Moszyńskiego, na którą powołuję się w swojej relacji, jest pomyłka.

Napisałem dotychczas tylko ten Tom II. Mam materiały do napisania wszystkich pozostałych. Oby mi sił i zdrowia starczyło, bo z jednym i z drugim jest u mnie nie najlepiej, a liczę teraz 72 lata i 6 miesięcy.

Warszawa, dn. 12 lutego 1997 r.



Tadeusz Pieńkowski

Załączniki:

1. Pismo Generalnej Prokuratury Ukrainy - Prokuratury ZSRR.
2. Tłumaczenie na język polski załącznika 1.
3. Pismo o rehabilitacji Prokuratury obwodu lwowskiego - Prokuratury ZSRR
4. Tłumaczenie na język polski załącznika 3.



Прокуратура СРСР
ПРОКУРАТУРА

УКРАЇНСЬКОЇ РАДЯНСЬКОЇ
СОЦІАЛІСТИЧНОЇ РЕСПУБЛІКИ
252601, м. Київ-11, Різницька, 13/15

Прокуратура СССР
ПРОКУРАТУРА

УКРАИНСКОЙ СОВЕТСКОЙ
СОЦИАЛИСТИЧЕСКОЙ РЕСПУБЛИКИ
252601, г. Киев-11, Рязницкая, 13/15

12.05.92 г. №13-38133-92
На №31-Д-5190-90 от 07.08.91 г.

123557, гор. Москва,
ул. Климашкина, 4

Посольство Республики Польша
Консульский отдел

На Ваш запрос о реабилитации польского гражданина Тадеуша Пеньковского Генеральная прокуратура Украины сообщает, что Пеньковский Тадеуш Людвигович, 1924 года рождения, уроженец города Познани Республики Польша, до ареста 22 декабря 1939 года проживал в гор. Жовква Львовской области и обучался во 2 классе городской гимназии. Осужден Особым совещанием при НКВД СССР 23 июля 1940 года по ст. 16-80 УК УССР к 3 годам лишения свободы. Освобожден 10 февраля 1942 года. Согласно расписки Пеньковского Т.Л., имеющейся в его архивном уголовном деле, все личные документы, изъятые при аресте, ему возвращены.

В соответствии со ст. 1 Закона "О реабилитации жертв политических репрессий на Украине Пеньковский Тадеуш Людвигович 29 апреля 1992 года реабилитирован.

Направляя Вам справку № 13/3626-92 о реабилитации, прошу принять меры к ее вручению гражданину Пеньковскому Т.Л.

Приложение: по тексту на 1 листе.

Прокурор отдела надзора за
соблюдением законов о нацио-
нальной безопасности, государ-
ственной границе и таможенном
деле Генеральной прокуратуры
Украины советник юстиции

Б.И. Вальяничков

*
087890

TLUMACZENIE Z JEZYKA ROSYJSKIEGO

(Godło państwowe ZSRR)

Prokuratura ZSRR

PROKURATURA
UKRAIŃSKIEJ RADZIECKIEJ
SOCJALISTYCZNEJ REPUBLIKI

252601, m. Kijów, Reznickaja, 13/15

12.05.92 r. Nr 13-38189-92

123557, m. Moskwa,
ul. Klimaszkina, 4

Na Nr 31-D-5190-90 z 07.08.91 r.

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej
Wydział Konsularny

Na Wasze zapytanie w sprawie rehabilitacji polskiego obywatela Tadeusza Pieńkowskiego, Generalna Prokuratura Ukrainy zawiadamia, że Pieńkowski Tadeusz Ludwikowicz, urodzony w 1924 roku, w mieście Poznań, w Polskiej Republice, przed aresztowaniem 22 grudnia 1939 roku mieszkał w m. Żółkiew Lwowskiego obwodu i uczył się w 2 klasie miejskiego gimnazjum. Osądzony Specjalnym kolegium przy NKWD ZSRR 23 lipca 1940 roku z par. 16-80 UK URSS został skazany na 3 lata pozbawienia wolności. Zwolniony 10 lutego 1942 r. Zgodnie z podpisem Pieńkowskiego T. L., znajdującym się w jego aktach śledczych, wszystkie osobiste dokumenty, skonfiskowane przy aresztowaniu, zostały jemu zwrócone.

Zgodnie z par. 1 Prawa "O rehabilitacji ofiar politycznych represji na Ukrainie" Pieńkowski Tadeusz Ludwikowicz został 29 kwietnia 1992 roku rehabilitowany.

Skierowując Wam zaświadczenie Nr 13/3626-92 o rehabilitacji, proszę przedsięwziąć środki w celu wręczenia jej obywatelowi Pieńkowskiemu T. L.

Załączniki: zgodnie z tekstem na 1 arkuszu.

Prokurator wydziału nadzoru nad przestrzeganiem praw bezpieczeństwa narodowego, państwowej granicy i spraw celnych Generalnej Prokuratury Ukrainy,
radca prawny

(podpis nieczytelny) W.L. Waljanikow

087890 *

Tłumaczył:


Tadeusz Pieńkowski

ПРОКУРАТУРА УКРАЇНИ

Довідка

ПРОКУРАТУРА
Львівської області

про реабілітацію

290604, Львів-4, пл. Возз'єднання, 7

29 квітня 1992 р. № ІЗ/3626-92

Гр. Пеньковскі Тадеуш Людвигович
рік і місце народження 1924, м. Познань, Республіка Польща

місце проживання до арешту м. Жовква, Львівської області, Україна
місце роботи, посада рід заняття) до арешту учень 2 класу гімназії м. Жовкви, Львівської області

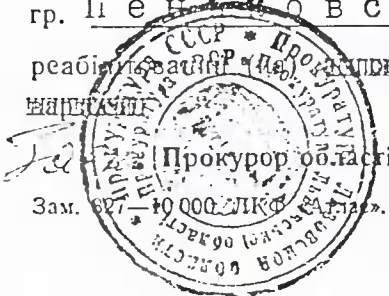
коли і яким органом засуджений (репресований) постановою особливої наради при НКВС СРСР від 23 липня 1940 року

кваліфікація скоєного злочину і міра покарання з врахуванням внесених у вирок (несудові рішення) змін ст.ст. 16-80 КК УРСР / замах на незаконний перехід держкордону / 3 / три / роки ув'язнення у виправно-трудовому таборі.
заарештований « 22 » ... грудня 1939 р., звільнений « 10 » ... лютого 1942 р.

Утримувався під вартою, в місцях позбавлення волі, два _____ років, І місяців, 19 днів; знаходився в засланні _____ років, _____ місяців, _____ днів.

На підставі ст. 1 Закону Української РСР від 17 квітня 1991 р. «Про реабілітацію жертв політичних репресій на Україні»

гр. Пеньковскі Тадеуш Людвигович
реабілітований (не) згідно з законодавством



З. Д. КОТИК

TLUMACZENIE Z JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO


PROKURATURA UKRAINY
PROKURATURA
Lwowskiego obwodu
290604, Lwów-4, ul. Wozzjedianija 7
29 kwietnia 1992 r. Nr 13/3626-92

ZASWIADCZENIE
o rehabilitacji

Ob. P I E Ń K O W S K I Tadeusz Ludwikowicz
rok i miejsce urodzenia; 1924 r., m. Poznań, Polska Republika
miejsce zamieszkania przed aresztowaniem; m. Zólkiew, Lwowskiego obwodu, Ukraina.
miejsce pracy przed aresztowaniem; uczeń 2 kasy gimnazjum m. Zólkiew, Lwowskiego
obwodu
kiedy i jakim organem osądzony (represjonowany); postanowienie Specjalnego kolegium
przy NKWD ZSRR z dnia 23 lipca 1940 roku.
kwalifikacja przestępstwa i wyrok; par. par. 16-80 KK URSR (zamiar bezprawnego
przekroczenia państwowej granicy) 3 (trzy) lata uwięzienia w poprawczo-
roboczym obozie.
aresztowany; 22 grudnia 1939 r.
zwolniony ; 10 lutego 1942 r.
Okres pozbawienia wolności; dwa lata, 1 miesiąc, 19 dni.

Zgodnie z par. 1 Prawa Ukrainńskiej RSR z dnia 17 kwietnia 1991 r.
"O rehabilitacji ofiar politycznych represji na Ukrainie"
ob. P I E Ń K O W S K I Tadeusz Ludwikowicz został rehabilitowany.

Prokurator obwodu (podpis nieczytelny) Z. D. KOTIK
(okrągła pieczęć z godłem państwowym)
(napis: "* Prokuratura ZSRR * Prokuratura Lwowskiego obwodu *")

Tłumaczył: 
Tadeusz Piefkowski

Tadeusz Pieńkowski
ul. Solec 23 m. 22
00-403 Warszawa
tel. 23-06-47

ARCHIWUM WSCHODNIE

11/851

Załącznik do mego listu
z dnia 11 lipca 1991 r.
skierowanego do
Archiwum Wschodniego

Warszawa, dn. 10-III-1989r.

Zastrzeżenie

Wykorzystanie niniejszej relacji
do publikacji, w całości lub czę-
ści, tylko za zgodą autora.

ZWIĄZEK SYBIRAKÓW

(załącznik do kwestionariusza)

Relacja

Tadeusz Pieńkowski, syn Ludwika, ur. 12 sierpnia 1924 r. w Poznaniu. W czerwcu 1939 r. ukończyłem II klasy gimnazjum (z promocją do kl. III ogólnokształcącego im. księcia J. Poniatowskiego w Warszawie. Mieszkałem do wybuchu wojny w Legionowie k. Warszawy, ul. Słoneczna Nr 19.

Zostałem aresztowany przez żołnierzy wojsk pogranicznych NKWD, razem z Matką, dn. 22 grudnia 1939 r. nad rzeką Sokokija k. Rawy Ruskiej, przy próbie powrotu do domu w Legionowie z terenów zajętych po 17 września 1939 r. przez Armię Czerwoną. Zostałem osadzony w więzieniu w Rawie Ruskiej, potem w "Brygidkach" we Lwowie. Tam w dniu 7 stycznia 1940 r. po raz ostatni widziałem Matkę, przed bardzo długim rozstaniem, a mogło to być na zawsze. Na przełomie marca i kwietnia 1940 r. zostałem przewieziony transportem w towarowym wagonie do więzienia w Chersoniu. Tam po śledztwie odczytano mi na korytarzu wyrok specjalnego sądu zaocznego - 3 lata obozu pracy dla małoletnich. Transportem w specjalnych wagonach więziennych, przez więzienia etapowe w miastach: Nikołajew, Charków, Syzrań, Czelabińsk, Swierdłowski (podróż trwała około miesiąca), zostałem przywieziony we wrześniu 1940 r. do obozu w miejscowości (raboczyj posiełek) Wierchoturje, rejon Nowa Lala, obwód Swierdłowski. Wierchoturje leży nad rzeką Turą, na Urału po stronie azjatyckiej, na północ od Swierdłowska w odległości ok. 300 km.

Oboz dla małoletnich w Wierchoturje był na terenie klasztoru.

obozie byli osadzeni chłopcy wielu narodowości, w wieku od 12 do 18 lat, przeważnie kryminaliści (kilku było tzw. politycznych - skazani bo rodzice zostali rozstrzelani, trzech uciekinierów z Żotwy do ZSRR w latach 1938-39 r.), z wyrokami od 3 do 10 lat. Początkowo liczba więźniów wynosiła ok. 800, a po przywiezieniu chłopców z ewakuowanego w lipcu 1941 r. obozu z miejscowości Nadwojcy (leży nad kanałem Biełomorsko-Bałtyckim ~~KANAL~~, na północ od miasta Pietrozawodzk w odległości ok. 240 km), liczba wzrosła do ok. 1400.

Polacy do obozu zostali przywiezieni (z kilkoma wyjątkami) w sierpniu - wrześniu 1940 r., zakwalifikowani jako polityczni, wielu z dodatkową klauzulą "socjalno opastnyj element". Ogółem w obozie było ok. 40 Polaków, chłopców urodzonych przeważnie w 1924 r., kilku rocznika 1923 i 1925. Byliśmy rozproszeni po różnych blokach i celach-sypialniach, prawie nigdy nie było w jednej sali jednocześnie dwóch Polaków. Większość pochodziła z rodzin inteligencji - synowie oficerów, urzędników państwowych; nieliczni byli synami rzemieślników, nie przypominam sobie czy był ktoś z chłopów. Pochodzący z rodzin inteligenckich byli uczniami gimnazjum, mieli przeważnie ukończone dwie klasy, kilku jedną, a kilku trzy klasy gimnazjum.

Po ogłoszeniu "amnestii" (w wyniku zawartej umowy z Polskim Rządem w Londynie - lipiec 1941 r.) prawie wszyscy zostali zwolnieni w październiku 1941 r. a dalszych dwóch w grudniu 1941 r. Zwolnieni wyjechali - jakie były ich dalsze losy, nie wiem. Pozostało w obozie czterech, a z nich: dwóch (K. Burczak i T. Pieńkbowski) zwolniono w lutym 1942 r., ale nie pozwolono wyjechać z Wierchoturje, a dwóch (J. Aleksandrowicz i Z. Chmielewski) nie zwolniono. Jerzy Aleksandrowicz zmarł w obozie dn. 19 lipca 1943 r., a Zbigniew Chmielewski został zwolniony dopiero po zakończeniu wojny dn. 25 stycznia 1946 r.

Po wojnie udało się odtworzyć z pamięci nazwiska niektórych z ogólnej liczby ok. 40, którzy w tamtych latach byli w obozie w Wierchoturje.

1. Aleksandrowicz, Jerzy - uczeń Korpusu Kadetów w Rawiczu, pochodził z Białegostoku, tam aresztowany, wyrok - 5 czy 7 lat. Przywieziony do obozu w Wierchoturje w lipcu 1941 r. z obozu w miejscowości Nadwojcy. Nie został objęty "amnestją". Zmarł w obozie Wierchoturje dn. 19 lipca 1943 r.
2. Burczak, Kazimierz - pochodził z Pińska, tam aresztowany w 1940 r., wyrok - 5 lat. Zwolniony z obozu dn. 10-II-1942 r. Wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego 26-II-1944 r. Służył w 9 pułku piechoty, III dywizji, jako szeregowiec. W czasie wojny awansował do stopnia chorążego. Brał udział w walkach na Przyczółku Czerniakowskim. W czasie dalszych walk na froncie ciężko ranny nad Kanąkem Hochenzolernów w okolicach Berlina. Po wojnie został w wojsku. W stopniu pułkownika przeniesiony na emeryturę. Zmarł w Warszawie dn. 8 października 1988 r.
3. Chmielewski, Zbigniew - pochodzi z Warszawy. Aresztowany 29-IX-40r w okolicach miejscowości Szepietowo, wyrok 5 lat. Przywieziony do obozu 30-IV-41r. Nie został wogóle objęty "amnestją". Zwolniony z obozu dopiero po wojnie 25-I-46r. Wrócił do Polski ok. 1-VII-1946 r. Mieszka w Warszawie.
4. Chytry, Mikołaj - zwolniony z obozu w X-1941 r. Podobno, po wojnie, był w Polsce.
5. Filipowicz, (?),
albo Filipowski - zwolniony z obozu w X-1941 r, dalsze losy nie znane.

Na terenie obozu znajdował się tartak gdzie cięto pnie drzew przywożonych kolejką wąskotorową z pobliskiej tajgi. Pnie drzew cięto na deski i bale mechaniczną piłą - nazywaną "lesorama". Zakład obrabiający drewno wyposażono w niezbędne maszyny, jak ~~piły~~ mechaniczne piły tarczowe, strugarki, frezarki i inne, umieszczone w drewnianych, nie ogrzewanych szopach. Była również suszarnia drewna i malarnia gotowych wyrobów. Warsztaty mechaniczne do obróbki metalu, wyposażone w zbieraninę bardzo wysłużonych maszyn z Niemiec, Anglii i innych krajów (tokarki, strugarki, wiertarki i inne), mieściły się w dawnych stajniach i wozowniach; budynki murowane i ogrzewane. Zmontowano również odlewnię żeliwa, (formowanie, odlewanie i czyszczenie odlewów), warsztat modelarski, kuźnię, stanowiska do spawania. Cerkwie także wykorzystano na warsztaty i magazyny. Energię elektryczną dostarczała elektrownia pracująca na terenie obozu, wyposażona w niemiecką maszynę parową z 1905 roku i generatory. W palenisku pod kotłem palono wyłącznie drewnem, ścinkami, wiórami, trocinami z tartaku i warsztatów stolarskich.

Na tym kończą skrócony opis obozu. O ludziach, ich zachowaniach, stosunkach międzyludzkich, dyscyplinie - karach i nagrodach, propagandzie, wyżywieniu, warunkach bytowych i wielu innych sprawach - piszę w pełnej relacji.

.....

W uzupełnieniu relacji kilka słów o losach moich Rodziców.

Matka, Jadwiga Fieńkowska, córka Edwarda, z domu Ciemochowska, ur. dn. 17 marca 1902 r. w Częstochowie, zawodowo nie pracowała. Aresztowana przez żołnierzy wojsk pogranicza NKWD (razem ze mną) dn. 22 grudnia 1939 r. nad rzeczką Sołokija w rejonie Rawy Ruskiej, została osadzona w więzieniu w Rawie Ruskiej, potem w "Brygidkach" we Iwowie. Na przełomie stycznia i lutego 1940 r. została przewieziona transportem w towarowym wagonie do więzienia w Odessie. Po śledztwie odczytano Jej na korytarzu wyrok specjalnego sądu zaocz-

nego, wyrok - 5 lat obozu pracy. Transportem w specjalnych wagonach więziennych, przez więzienia etapowe w miastach: Charków, Syzrań, Czełabińsk, Pietropawłowsk, została przywieziona do stacji rozdzielczej (tam przydzielano więźniów do poszczególnych obozów) w miejscowości Karabas (leży na południe, w odległości ok. 30 km od miasta Karaganda, Kazachskaja Republika ZSRR). Osadzono ją w obozie Beduik (otoczonym wieńcem podobozów), położonym w stepie w odległości kilunastu kilometrów od stacji rozdzielczej w Karabas. Dn. 4 września 1941 r. została zwolniona na podstawie "amnestii". Po pokonaniu wielu przeszkód zdołała przyjechać do Buzułuku gdzie wstąpiła dn. 26 listopada 1941 r. do formującej się tam Armii Polskiej. Ewakuowana w marcu 1942 roku wraz z wojskiem do Iranu (Persja), potem do Iraku i Palestyny, została transportem morskim w grudniu 1943 r. wysłana do Anglii. Od stycznia 1944 r. do 8 maja 1945 r. służyła w stopniu sierżanta w Specjalnym Oddziale Spadochronowym dowodzonym przez mjr. Szymanowskiego. Latem 1945 r., po otrzymaniu wiadomości, że żyję i jestem już w Polsce, zgłosiła się na powrót do kraju. Wróciła do Polski dn. 19 marca 1946 r. Matka od tego czasu mieszka stale ze mną i moją rodziną.

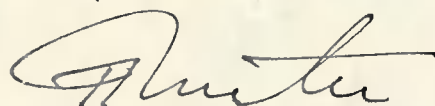
Ojciec, kapitan Ludwik Pieńkowski, syn Kazimierza, ur. 8-VI-1895 r. w Warszawie, służył, jako oficer służby stałej, w I Dywizjonie Pociągów Pancernych w Legionowie k. Warszawy. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami wyjechał z kolumną samochodową dywizjonu, wieczorem 6 września 1939 r. w kierunku południowo-wschodniej Polski. Wiem o tym, gdyż Ojciec zabrał mnie ze sobą (miałem wtedy 15 lat). Wieczorem dn. 19 września 1939 r., kolumna dywizjonu połączona z kilkoma innymi zmotoryzowanymi oddziałami, w odległości kilkunastu kilometrów (prawdopodobnie 10-15 km) na północny-zachód od miasteczka Bursztyn, natknęła się na oddziały Armii Czerwonej (miasteczko Bursztyn jest położone w odległości ok. 100 km na południe od Lwowa i ok. 80 km na południo-

wy-zachód od Tarnopola). Po krótkiej, trwającej około godziny walce oddziały polskie poddały się. Ojciec, wraz z innymi oficerami, został wzięty tej nocy do niewoli. Po raz ostatni widziałem Ojca w dzień, dn. 21 września 1939 r., w miasteczku Bursztyn, na terenie murowanego kościoła, gdzie był przetrzymywany jako jeden z jeńców wojennych Armii Czerwonej. Trudno mi dokładnie określić liczbę oficerów trzymany tam pod strażą. Było ich wielu, na pewno wszystkich tam przetrzymywanych było kilkuset. Dnia 22 września 1939 r. miejsce to było już puste, oficerowie jako jeńcy, pod konwojem zostali wyprowadzeni na wschód.

Po wojnie (jak pisałem, w czasie wojny nie było mnie w Polsce) dowiedziałem się, że Ojciec w okresie Świąt Bożego Narodzenia 1939 r. napisał kartę pocztową z obozu w Starobielsku. Karta ta, odebrana przez dalszą redzinę zamieszkałą w Warszawie, nie zachowała się - zaginęła w czasie powstania w 1944 r. Była jeszcze od Ojca depesza w marcu 1940 r., ale nie udało mi się ustalić z którego obozu - ze Starobielska czy z Kozielska. Depesza ta również zaginęła. Żadnych dalszych wiadomości od Ojca nie było.

Poszukiwania na terenie kraju nie dały rezultatów - zarówno PCK jak i Centralne Archiwum Wojskowe odpowiedziały, że nie mają żadnych wiadomości i o poszukiwanym nic nie wiedzą. Jedynie w lipcu 1988 r. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, w odpowiedzi na moje zapytanie, przesłał mi fotokopię 148 strony "Listy Katyńskiej" - oprac. Adam Moszyński, Londyn 1974 - na której znajduje się nazwisko mego Ojca z adnotacją (LZK).

Warszawa, dn. 10-III-1989 r.



(Tadeusz Pieńkowski)

ARCHIWUM WARSZAWIANSKIE

PS. Zastrzeżenia na stronie pierwszej.



POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
 Biuro Informacji i Poszukiwań
 B. Inf. 227/127 A

Warszawa, dn. 11.3.1984
 Mokotowska 14

Pan
 Tadeusz PIENKOWSKI
 ul. Solec 28 m. 22
00-403 Warszawa

~~Okxxx~~

W odpowiedzi na zapytanie dotyczące Ob. Ludwika PIENKOWSKIEGO,
ur. 8.06.1895 r. w Warszawie, s. Kazimierza i Walerii
zd. Mikulska
 uprzejmie komunikujemy, że Biuro Informacji i poszukiwań P.C.K. nie posiada
 dotychczas wiadomości o poszukiwanym(nej). Poszukiwania w toku. W wypad-
 ku uzyskania jakichkolwiek informacji o poszukiwanym(nej) — niezwłocznie
 zawiadomimy.

W załączeniu zwracamy fotokopie
 nadesłanych przez Pana dokumentów,
 szt. 2.

Kierownik Biura
 Informacji i Poszukiwań
 /mgr. A. Szydłowska/

EF

Jedn. P.W.H. Olsztyn 900/On/t8 ZG Łomża 134 10.000 plm. kl. 7 A5

Druk 8-B



POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ
 Nr B. Inf. 227/127A
 Konto w NBP IV Oddział Miejski
 Nr 1049-4444-132

13.03.1984

Warszawa, dnia 198... r.
 Mokotowska 14. Tel. 28-52-01
 Adres pocztowy: 00-950 Warszawa, skrytka poczt. Nr 47

Pan Tadeusz Pieńkowski
 ul. Solec 28 m. 22
00-403 Warszawa

W odpowiedzi na zgłoszenie Pana/Pani w sprawie poszukiwania
Ludwika Pieńkowskiego, ur. 8.06.1895 r. w Warszawie, syna Kazi-
mierza i Walerii z d. Mikulska,

uprzejmie zawiadamiamy, że mimo naszych usilnych starań przeprowadzone poszukiwania
 wyżej wymienionego(nej) dały, niestety, wynik negatywny.

Kierownik Biura
 Informacji i Poszukiwań

/mgr. A. Szydłowska/

CENTRALNE ARCHIWUM
WOJSKOWE

Nr 9154/4 III/ZP

dnia 11.12.1983 r.

00-910 Warszawa 72

WYDAJE SIĘ TYLKO RAZ —
POŚLUGIWAĆ SIĘ ODPISAMI

ZASWIADCZENIE

Zaświadcza się na podstawie dokumentów ~~archiwalnych~~ personalnych, że Ob. L u d w i kP I E Ń K O W S K I s. Kazimierza ur. 8.06.1895 r.

(Imię, nazwisko i imię ojca)

(data urodzenia)

pełnił służbę w Wojsku Polskim od 1 września 1919 r. do lipca 1939 r. Dalszego przebiegu służby oraz udziału w wojnie obronnej 1939 r. CAW potwierdzić nie może z uwagi na brak akt 1 dyw. pociągów panc. za ten okre.

Niniejsze zaświadczenie wydaje się dla ZUSPodstawa: sygn. akt CAW, tap. 3581; I. 324.21 t. 32 lp. VI/39

WZ/9.12.83 r.

MON-CAW-kw/1. WDE, zam. 1167 z 75/76. CW-78908

SZEF CAW

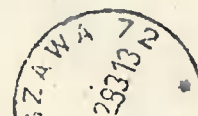
CENTRALNE ARCHIWUM
WOJSKOWE

Nr 9566 I/BG

dnia 15. GRU. 1983 19 r.

00-910 Warszawa

ARCHIWUM WSKŁADNIE

Ob. Jadwiga PIENKOWSKAul. Solec 28 m 2200-403 WARSZAWAStwierdza się na podstawie dokumentów ewidencyjnych, że Ob. Jadwiga PIENKOWSKA c. Edwarda ur. 17.03.1905 r. /rok urodzenia zgodny z aktami CAW/ pełniła służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie od 26 listopada 1941 r. Daty zakończenia służby brak. Dnia 19 marca 1946 r. w/wymieniona powróciła do kraju.Podstawa: CAW prot. 156/44 poz. 12/6017

WZ/13.12.83 r.

Szef Wydziału IV CAW

ppłk Henryk Kabisiański

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Nr 3084 Max

dnia 8. Czer 1974 19... r.
m. Warszawa

ZASWIADCZENIE

Zaświadcza się na podstawie dokumentów archiwalnych, że Ob. T a d e u s z

P I E Ń K O W S K I s. Ludwika ----- r. 1921 -----
(imię, nazwisko i imię ojca) (data urodzenia)

pełnił służbę wojskową w Wojsku Polskim: w 9 pp i 2 Brygadzie
Pancernej od 5 kwietnia 1944 r. do 1945 r. /dokładnej daty zakończenia służby
nie ustalono z braku materiałów w CAW/. Jednostka, w której wymieniony pełnił
służbę wojskową brała udział w walkach z Niemcami od 27 grudnia 1943 r. do
11 maja 1945 r.

Niniejsze zaświadczenie wydaje się dla Z U S

Podstawa: sygn. akt CAW, III-39-37, K-402, poz.2009; III-235-59, K-46

Zał. 3/5 - adresat.

SZEF
CENTRALNEGO ARCHIWUM WOJSKOWEGO

Dz. XXIX, z 1. 23, W. Dr. Gd. Nr 405, 71. CW-7990; XXIX 23

DZIELNICOWY
SZTAB WOJSKOWY
Warszawa - Śródmieście

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Z A Ś W I A D C Z E N I E

=====

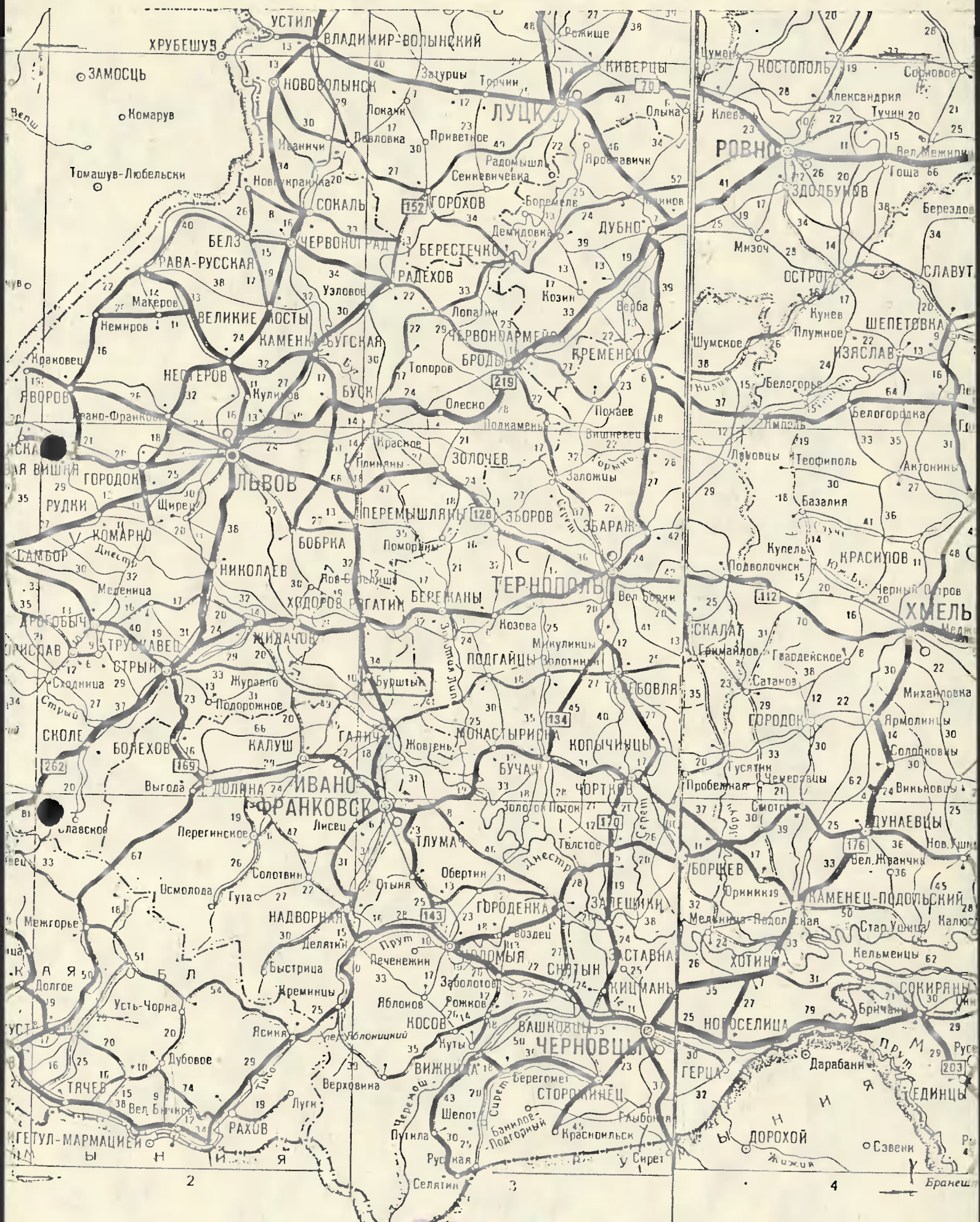
Stwierdza się na podstawie akt personalnych, że PIEŃKOWSKI TADEUSZ s. LUDWIK A służył w Ludowym
Wojsku Polskim od dnia 26 lutego 1944 do dnia 25 października 1945

Niniejsze zaświadczenie wydaje się na prośbę zainteresowanego.

ZASTĘPCA SZEFA
DZIELNICOWEGO SZTABU WOJSKOWEGO
WARSZAWA ŚRÓDMIEŚCIE



Warszawa, dnia 18. 02. 74r



Miejscowość założona w 1598 roku, położona nad rzeką Turą, w odległości około 350 km na północ od Swierdłowska (dawniej Jekatierynburg), na wschodnich stokach gór Uralu.

Wierchoturje było znane jako miejsce kultu religijnego. Zbudowano kilka okazałych cerkwi oraz duży klasztor. Jeszcze przed wybuchem wojny, w okresie intensywnej laicyzacji, obiekty kultu religijnego przeznaczono do innych celów. W klasztorze utworzono kolonię (obóz) dla więźniów niepełnoletnich, w cerkwiach na terenie wioski, w jednej - piekarnię, w innej - warsztaty naprawy sprzętu rolniczego itp. Jeszcze przed wojną żadnej czynnej cerkwi w Wierchoturje nie było.

O Polakach, zesłańcach lub więźniach z okresu naszych powstań narodowych w XIX wieku, nie słyszałem. Podobno za carskich czasów do Wierchoturje nie zsyłano Polaków.

Warszawa, dn. 22-IV-1989r.

T.P.

Załączniki:

- szkic wierchoturskiej kolonii
- wykaz obiektów
- fotografia (wykonana z odręcznego rysunku z 1945r.)

Tadeusz Piętkowski

Uwaga: Szkic wierchoturskiej kolonii i wykaz obiektów opracowali wspólnie:

- Zbigniew Chmielewski
- Tadeusz Piętkowski

adres:
ul. Solec 28 m. 22
00-403 WARSZAWA

Tadeusz Piętkowski

W I E R C H O T U R J E

Swierdłowskaja obłast

Wierchoturska kolonia (obóz) pracy dla niepełnoletnich
w latach 1940 - 1946 r.

Wykaz obiektów (załącznik do szkicu)

1. Cerkiew (duża)
(*monastyr*) - murowana, bardzo duża, wg ustnych przekazów zbudowana w latach 1901-1905. Magazyny surowców i wyrobów gotowych.
2. Cerkiew (mała) - murowana, podobno bardzo stara. Szkolne warsztaty mechaniczne.
3. Zarząd obozu - murowany, jędnopiętrowy, kryty blachą.
4. Wejście dla pieszych na teren obozu - drewniany budynek parterowy. Miejsce stałego pobytu wartownika.
5. Kuchnia i stołówka
Szkola (do 1942 r.) - parter } murowany budynek piętro-
- I piętro } wy, kryty blachą.
6. Warsztaty krawieckie i szewskie - budynek murowany, jędnopiętrowy.
7. Piekarnia (zlikwidowana po włamaniu w 1943 r.) - budynek parterowy, murowany, połączony z wieżyczką.
8. Dom kultury z salą widowiskową - budynek piętrowy, murowany - pokoje do zajęć w kółkach zainteresowań.
9. I blok mieszkalny - budynek parterowy, murowany.
10. II blok mieszkalny
III blok mieszkalny - parter } budynek murowany, piętrowy,
- I piętro } podpiwniczony.
11. IV blok mieszkalny - budynek piętrowy, murowany.
12. Budynek piętrowy, drewniany - przeznaczenie nie znane.
13. Garaże - budynek parterowy, murowany - garaże, magazyn podręczny, dyspozytornia.
14. Straż pożarna - budynek parterowy, murowany - sprzęt gaśniczy, motopompa.

15. Budynek mieszkalny dla dorosłych więźniów - budynek drewniany, parterowy - zbudowany w 1943r. z przeznaczeniem na chlew (hodowla świń). W 1944r. zlikwidowano hodowlę i budynek przeznaczono na sypialnie dla dorosłych więźniów.
16. Boisko sportowe - czynne do wybuchu wojny w 1941r.
17. Plac apelowy -
18. Warsztaty: mechaniczny, kuźnia, odlewnia żeliwa - budynek parterowy, murowany. Dawniej, prawdopodobnie wozownie i stajnie.
19. Ambulatorium, izba chorych - budynek parterowy, drewniany.
20. Łaźnia - budynek parterowy, drewniany.
21. Elektrownia - budynek parterowy, murowany. Wyposażenie: kocioł - opalany drewnem, maszyna parowa - Lanz z 1905 roku, prądnice i inne wyposażenie (produkcji niem.).
22. Tartak - budynek drewniany (szopa). Piła tartaczna (po rosyjsku: lesorama), wielostrzowa do cięcia wzdłuż odrazu całych pni drzew, napędzana silnikiem elektrycznym. Bocznica kolejki wąskotorowej oraz skład pni drzew z wyrębu w tajdze.
23. Suszarnia drewna - budynek parterowy, drewniany z zespołem torów wąskotorowych i z obrotnicami.
24. Warsztaty mechanicznej obróbki drewna - parterowa drewniana szopa. Wyposażenie: piły tarczowe, strugarki, frezarki, heblarki - do obróbki drewna - wszystkie z napędem silnikami elektr.

25. Montownia wialni do zbóż, - parterowa drewniana szopa, mieszcząca skrzynek na amunicję i również malarnię i magazyn wyrobów innych wyrobów gotowych.
26. Brama wjazdowa - główna.
27. Brama wjazdowa - rezerwowa.
28. Brama wjazdowa - kolejowa, przywóz surowych pni z tajgi.
29. Murowane, stylowe wieże strażnicze - pozostałość z zabudowań klasztornych
30. Drewniane wieże strażnicze - zbudowane po zmianie charakteru obiektu.
31. Ogrodzenie-mur - wysoki mur (pozostałość z zabudowań klasztornych) zwieńczony zasiekami z drutu kolczastego.
32. Ogrodzenie-płot - zbudowany po zmianie charakteru obiektu, z zasiekami z drutu kolczastego.

Obiekty poza terenem obozu (dawnego klasztoru):

- .Karcer i więzienie przejściowe - wszyscy przywożeni do obozu i ^{wywożeni} z obozu "na etap" byli tam osadzani. Nie- wielki murowany budynek parterowy z pomieszczeniami dla straży.
- .Ferma drobiu i hodowla krów - niepełnoletnich więźniów tam nie zatrudniano.

Uwaga: Wszystkie budynki i obiekty, za wyjątkiem tartaku i szop do obróbki drewna, to zabudowania klasztorne.

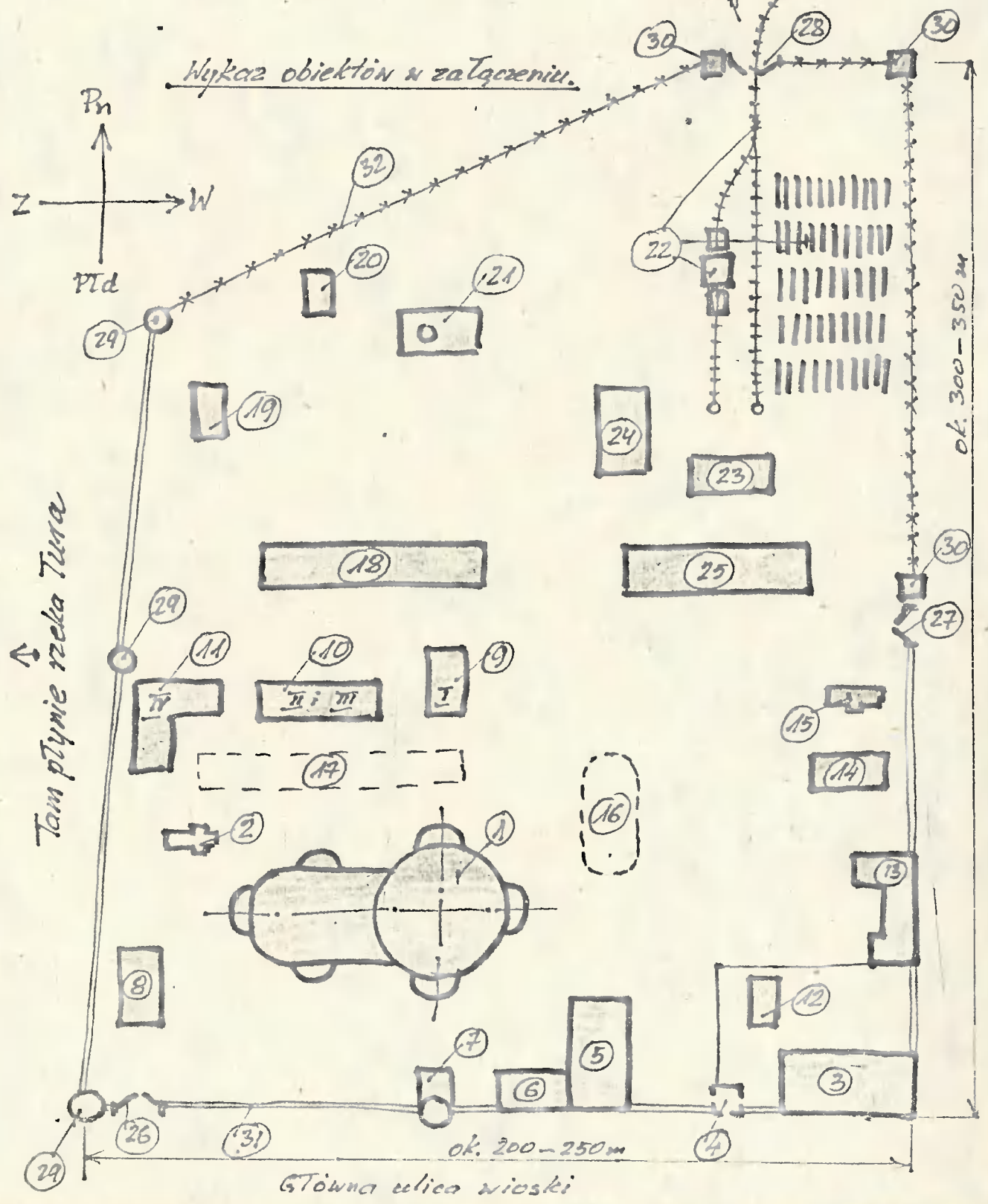
Według zasłyszanych ustnych przekazów klasztor zlikwidowano i utworzono konię (obóz) pracy dla więźniów niepełnoletnich (w wieku od 12 do 18 lat), w latach 1931-1933.

WIERCHOTURJE

Swierdłowska obłaść

Wierchoturska kolonia (obóz) pracy dla
niepełnoletnich w latach 1940-1946r.

(szkic odtworzony z pamięci dn. 22. IV. 1989r.)
Z.Ch. i T.P.



И/851

ПРОКУРАТУРА
УКРАЇНСЬКОЇ РАДЯНСЬКОЇ
СОЦІАЛІСТИЧНОЇ РЕСПУБЛІКИ
252601, м. Київ-11, Різницька, 13/15



ПРОКУРАТУРА
УКРАИНСКОЙ СОВЕТСКОЙ
СОЦИАЛИСТИЧЕСКОЙ РЕСПУБЛИКИ
252601, г. Киев-11, Рязницкая, 13/15

14 марта 1991 г. № 13-36959-91

На № 31-Д-5190-90 от 23.11.90 г.

© ARCHIWUM WSKŁADNIE

Посольство Республики Польша в СССР
Консульский отдел
гор. Москва

Согласно запросу направляется справка о реабилитации Пинковского Тадеуша Львововича /Пеньковского/.

Письмо Консульского отдела по вопросу реабилитации польской гражданки Пеньковской И.Э., репрессированной в 1939 году, проверяется.

О результатах проверки и принятых мерах по этому письму сообщим Консульскому отделу дополнительно.

Приложение: справка о реабилитации Пинковского Т.Л. на 1 л.

Начальник отдела по надзору
за следствием в органах
госбезопасности

И.В. Дриучаний

003373

Министерство
социального
УССР
И.В. Дриучаний

Друк. УУБ. Зам



И/851

СПРАВКА

ПРОКУРАТУРА СССР
ПРОКУРАТУРА
Львовской области

© АРСИВУМ ВСКРОВА

Настоящая выдана гр. Пинковскому
Тадеушу Людвиговичу
осужденному (ой) 23 июля 1940 года
Особым Совецанием при
НКВД СССР

0703.91. № _____
г. Львов

в том, что он (а) на основании ст. I Указа Президиума Верховного Совета СССР от 16 января 1989 г. «О дополнительных мерах по восстановлению справедливости в отношении жертв репрессий, имевших место в период 30-х—40-х и начала 50-х годов» — реабилитирован (а).

Зак
Прокурор области
государственный советник юстиции
3-го класса



Л. Ф. Изосимов

Л. Ф. ИЗОСИМОВ